

nr 2 | 2018 | Kraków
cena 10 zł (w tym 5% VAT)
ISSN 2544-8447
www.czasliteratury.pl

czas LITERATURY



AGATA DEBICKA 2018

MAKIS TSITAS | LESZEK ALEKSANDER MOCZULSKI | MIŁOSZ FESTIVAL 2018
CYCERON | PIERWSZE OPOWIADANIE ANDRZEJA BARTA | ZBIGNIEW DMITROCA
KORESPONDENCJA ZOFII HERTZ | CZESŁAWA MIŁOSZA | KRZYSZTOF BIELAWSKI



Lśnienia



Leszek
Aleksander
Moczulski

Pogranicze

..... **w tym czasie**

SIŁA SŁOWA, ZA KTÓRYM STOI BOSKI AUTORYTET

Z Krzysztofem Bielawskim rozmawia Jacek Hajduk | 2

FESTIWAL MIŁOSZA 2018

Wiersze: Ališanka, Gorečan, Hirshfield,

Kielar, Kozioł, Stiepanowa | 4

ROK MYŚLIWEGO Krzysztof Siwczyk | 10

Wiersze: Baczewski, Bąk, Operek, Padgett, Valdés | 11

BEZDUCH Krzysztof Siwczyk | 16

Wiersze: Jarniewicz, Szuba, Baran, Witkowska | 20

BOHATER CZASU

TŁUMACZ MUSI BYĆ OMNIBUSEM

Ze Zbigniewem Dmیتroczą rozmawia

Aleksandra Wiczorkiewicz | 25

CO RÓŻNI POEZJĘ OD PROZY?

Cytat Umberto Eco | 31

PO LEKTURZE

BÓG MI ŚWIADKIEM Makis Tsitas | 32

BÓG MU ŚWIADKIEM Krzysztof Lisowski | 35

PROZA

MAHLER I HRABAL Artur Dudziński | 36

Miniatury Agnieszka Domańska | 38

OCALONE Z CZASEM

ŚMIERĆ DELATORA Andrzej Bart | 40

LITERATURA DOJRZEWAJĄCA

LEŃ NIGDY NIE ZOSTANIE PISARZEM

Z Lidią Bogaczówną rozmawia Michał Zabłocki | 44

WIDOK Z MOJEGO OKA Lidia Bogaczówna | 45

PISARZ W PRACY

NIĘWINNE OKO Jerzy Franczak | 51

PO NITCE, BEZ WYBOJÓW Maciej Miłkowski | 53

UBEZPIECZENIA DLA PISARZY Anna Nasiłowska | 56

LESZEK ALEKSANDER MOCZULSKI

CZTERY OBRAZY („SUWALSKO-KRAKOWSKIE”)

Z LESZKIEM ALEKSANDREM MOCZULSKIM

Zbigniew Fałtynowicz | 59

Wiersze Leszek Aleksander Moczulski | 61

CZESŁAW MIŁOSZ

JAK POZNAŁEM CZESŁAWA MIŁOSZA

Adam Lizakowski | 63

ZOFIA HERTZ – CZESŁAW MIŁOSZ

wybór korespondencji z lat 1979-1980

Kamila Łabno | 67

WSCHODY

STYGMAT SMUTKU – Dmitrij Bykow, 50

Jacek Wojciechowski | 71

Wiersze Aleksander Błok | 74

Wiersze Anna Achmatowa | 76

ŹRÓDŁA KULTURY

SENTENCJE DELFICKIE O PRZYJAŹNI

Krzysztof Bielawski | 78

O CYCERONIE I ATTYKU

Katarzyna Różycka-Tomaszuk | 82

LISTY DO ATTYKA Marcus Tullius Cicero | 83

WIERSZY NA MURACH | 91

O KSIĄŻKACH

MOC DOBRYCH WŁOSÓW – Sofi Oksanen, Norma

WRACAĆ WCIAŻ DO DOMU – Susan Faludi, W ciemni

Anna Marchewka | 92

CZAS LITERATURY | KWARTALNIK

nr 2 | czerwiec 2018 | Kraków | cena 10 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 2544-8447

www.czasliteratury.pl

kontakt: czas.literatury@biblioteka.krakow.pl

pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków

Redakcja nie odpowiada za poglądy autorów i zastrzega sobie prawo do publikowania artykułów, z których treścią się nie zgadza, oraz do skracania i redagowania nadsyłanych materiałów, także bez konsultacji z autorami. Ponadto informuje, że dokłada wszelkich starań, by żadne prawa, w tym prawa autorskie, nie zostały nadużyte. W razie jakichkolwiek pytań, wątpliwości bądź sugestii prosimy uprzejmie o kontakt mailowy.

redaktor naczelny:

Jacek Hajduk | jacek.hajduk@biblioteka.krakow.pl

sekretarz redakcji:

Jan Burnatowski | jan.burnatowski@biblioteka.krakow.pl

opracowanie graficzne i skład: Agata Dębicka

zespół redakcyjny:

Stanisław Dziedzic, Szymon Kloska, Wojciech Ligęza,

Krzysztof Lisowski, Jadwiga Malina, Anna Marchewka,

Janusz Paluch, Aleksandra Wiczorkiewicz, Michał Zabłocki

korekta: Katarzyna Pawlik

wydawca: Biblioteka Kraków

pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3 31-154 Kraków

Z Krzysztofem Bielawskim
rozmawia Jacek Hajduk

Sita słowa, za którym stoi boski autorytet

Krzysztof Bielawski | ur. 1969.
Filolog klasyczny i religioznawca,
wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego.
Ostatnio wydał *Ofiara krwawa w Grecji starożytnej*.
Tragedia attycka i Delficki trójnóg.

Jacek Hajduk: Co to znaczy, że słowo jest święte albo pismo jest święte? Jak tę świętość uchwycić, co tekst czyni świętym? Czy Grecy, nie mając jednej świętej księgi, obcowali ze świętym słowem?

Krzysztof Bielawski: W tradycji chrześcijańskiej czy hebrajskiej kategoria słowa „święte” jest stosunkowo prosta: tekst jest święty, ponieważ to sam Bóg poprzez natchnienie ludzkiego autora lub posłannictwo przekaziciela jest takiego tekstu autorem. W Grecji starożytnej sprawa była znacznie bardziej skomplikowana. Samych kategorii „świętości” jest tam wiele i istotnie się między sobą różnią. Przymiotnik oznaczający świętość, pojawiający się w kontekstach związanych z pismem to *hieros*. Oznacza on to, co należy do sfery bóstwa w jakikolwiek sposób – tak jak święte są ofiary składane bogom i świątynie dla nich budowane. Ponadto pośród tekstów związanych z religią i cieszących się wielkim autorytetem jest bardzo wiele kategorii: są święte kalendarze obrzędowe, zapisy słów wyroczni (te akurat mogłyby uchodzić za *par excellence* „słowa boże”), zapisy cudownych uzdrowień z bezpośrednią interwencją bóstwa czy boskich epifanii.

Według Alkidamasa to Orfeusz był tym, który jako pierwszy wynalazł (dosłownie: „wywiódł” – *eksenenke*) pismo (*grammata*). Na jego grobie miał również być napis: „ten, który dla ludzi wynalazł pismo i mądrość”. Platon, Demostenes i Eurypides mówili o tym, że w rytuałach związanych z tradycją orficką jakieś święte księgi odgrywały wielką rolę. Największe bodaj odkrycie filologiczne XX wieku – papirus z Derveni – uchodzi w opinii większości uczonych za alegoryczny komentarz do poematu autorstwa Orfeusza, tekstu o wielkim autorytecie, zawierającego prawdy, w które inicjacja przez słowo miała moc zmienić jakość egzystencji toczonej w lęku przed śmiercią. W samej greckiej religii teksty i księgi święte, czyli związane z religijnym autorytetem, istniały i były ważne, nie tylko na marginesach jej funkcjonowania w orfickich sektach. Ważne były święte kalendarze, wyrocznie, regulacje kultu, przepisy dotyczące określonych rytuałów, wota i dedykacje, zapytania do wyroczni, nie wspominając o magicznych amuletach i papirusach. W jakimś sensie do tej kategorii należą też złote (lub kościane, jak w Olbii) tabliczki orfickie, odnajdywane w grobach wyznawców religii Orfeusza. To właśnie orfizm (biorąc w nawias

nerwową dyskusję nad jego naturą) był w jakiejś mierze „religią pisma” i systemem teologicznym zbudowanym wokół poezji. Nie był religią objawienia i w tym sensie nie mógłby stać się „religią księgi” w znaczeniu nadawanym temu sformułowaniu przez nowożytne teologię i religioznawstwo. Bez wątplenia jednak był religią, być może jest pierwszą taką religią w świecie „zachodnim”, w której tekst i to tekst pisany (raczej *grammata* niż *logoi*) staje w centrum uwagi.

Miłosz jako tłumacz ksiąg biblijnych. Jak to widzisz? Nie pytam o to, czy robi to dobrze? Ale czy takie przedsięwzięcie, pod piórem takiego poety, jest czymś więcej niż tylko przekładem literatury?

W Grecji starożytnej sprawa jest [...] skomplikowana. Samych kategorii „świętości” jest tam wiele i istotnie się między sobą różnią.

Nie mam zdania o biblijnych przekładach Miłosza, które różniłoby się w czymkolwiek od mojego stosunku do jego poezji – są piękne i przejmujące. Nigdy jednak nie oceniałem ich pod kątem ich teologicznej poprawności czy koherencji. Nigdy ich nie porównywałem z taką czy inną, kanoniczną czy nie, starą czy nową wersją przekładu. Dla mnie to była zawsze po prostu Miłoszowa poezja, do której się „zagląda”, przy której orzeźwia się umysł i uczucia. Zawsze pamiętam o legendzie opowiadającej o tym, jak powstała grecka wersja Starego Testamentu – *Septuaginta*. Siedemdziesięciu (gr. *septuaginta*) tłumaczy, nie kontaktując się ze sobą, miało przetłumaczyć cały tekst biblijny w takim samym czasie, po którym okazało się, że owe siedemdziesiąt przekładów jest co do joty identycznych. Legenda ta miała stać na straży boskiego autorstwa i praktycznie odbierała tożsamość tłumaczom. Myślę, że z jednej strony siła słowa, za którym stoi boski autorytet wpływa na tłumacza niezależnie od tego, czy wierzy, czy nie. Z drugiej – z greckiego przekładu *Septuaginty* wiadać, że owe siedemdziesiąt bezwolnych narzędzi translacji jednak dysponowało nie miałym talentem poetyckim.

Manierą poety jest na przykład kończenie wersu monosylabą, która w złożeniu z wielonutową kadencją ostatniego taktu brzmi wprost komicznie.

Pamiętam z benedyktyńskiego Tyńca, że w rozmowach dyskutowano możliwość użycia Miłoszowego przekładu psalmów w liturgii. Pomijając naukową adekwatność i Miłoszową „bezbożność”, zapamiętałem głosy, według których tej piękną polszczyzną spisanej wersji nie da się użyć w śpiewie chórowym w liturgii ze względu na frazę, jaka źle pasuje do chorału – manierą poety jest na przykład kończenie wersu monosylabą, która w złożeniu z wielonutową kadencją ostatniego taktu brzmi wprost komicznie.

Pamiętasz, że założyłeś kiedyś Polskie Towarzystwo Mertonowskie? Dlaczego Merton?

To długa historia. Mertona czytałem od czasów późnej podstawówki, oczywiście pod wpływem autobiograficznych *Siedmiopiętrowej góry* i *Znaku Jonasza*. *Posiew kontemplacji* i *Nikt nie jest samotną wyspą*, które na lata ukształtowały moją religijną wyobraźnię i bez wątpienia modlitwę – do czasu kiedy jeszcze ją praktykowałem. Później przyszło odkrycie osobowości Mertona, która we wczesnej *Siedmiopiętrowej górze* była jeszcze niedojrzała niedojrzałością neofity i przez niego samego później została nazwana „kabbotyńską”. Przyszły listy z Miłoszem, *W natarciu na niewypowiadalne*, *Zen* i *ptaki żądzę* oraz biografia Jima Foresta, którego poznałem i który z taktem i delikatnością opisał skomplikowaną drogę dojrzewania swego przyjaciela do postawy krytycznej, otwartej i ryzykownej, otwartej otwartością, która wśród większości czytelników *Siedmiopiętrowej góry* musiała uchodzić za przynajmniej niebezpieczną. *Dziennik azjatycki* i stopniowo

Potem przyszło odkrycie, że sam Merton uważał się najpierw za poetę i pisarza, a dopiero później za mnicha.

upubliczniane dzienniki mnicha, który bardzo kontrolował swój wizerunek i był w pełni świadom, że kiedyś będziemy się zastanawiać nad jego dramatyczną drogą, ukształtowały mój obraz Mertona jako właściwego patrona dla zaangażowania tego, co duchowe, w dialog ze światem w całej jego złożoności. Potem przyszło odkrycie, że sam Merton uważał się najpierw za poetę i pisarza, a dopiero później za mnicha. *Eseje literackie* – zwłaszcza te o Albercie Camus, do których napisałem wstęp, i te o Borysie Pasternaku – dopełniły to przekonanie, że życiowa droga, zainteresowania i zaangażowania Mertona mogą i powinny oddziaływać na wielu ludzi miotających się w wielokulturowych przygodach Kościoła w permanentnym kryzysie. Dziś już ta droga, którą przeszedłem z Mertonem, jest daleko za mną i już na nią nie wrócę, ale jestem świadomy tego, co mu zawdzięczam – w myśleniu, postawie wobec świata i wobec literatury, którą w równym stopniu pochłaniał i przetwarzał, co tworzył.

Jacek Hajduk | ur. 1982. Redaktor naczelny „Czasu Literatury”.

...i waga słowa

Andrzej Bart, którego debiutanckie, nieznane światu opowiadanie pt. *Śmierć delatora* publikujemy z dumą w numerze bieżącym, dał mi niedługo wielką lekcję literatury: skracać, skracać, skracać! Dopiero bowiem wówczas, kiedy zdanie nie może być już krótsze i bardziej precyzyjne, słowo nabiera odpowiedniej wagi. A zatem krótko: w imieniu Redakcji, dziękując Czytelnikom za wspaniały odbiór pierwszego numeru „Czasu Literatury”, zapraszam do lektury drugiego, i kolejnych!

Jacek Hajduk
Redaktor naczelny „Czasu Literatury”

wybór: Jadwiga Malina

Festiwal Miłosza

część pierwsza

Eugenijus Ališanka

umowa według niebiańskiego wzoru

zastrzegam sobie prawo do milczenia
nawet gdy grobowym głosem
czytam wiersz
prawo do mówienia
przez sen
do kichania
kiedy pyłą topole kiedy wdycham kurz
kiedy śpię na sianie
zastrzegam sobie prawo do gubienia duszy w kościele
do zapominania nazwy gatunku kawy
z której fusów wróżę co rano
prawo do krojenia szynki cieniutko a chleba grubo
prawo do strachu do duchoty latem do burzy z piorunami
do dachu nad głową bez piorunochronu
zastrzegam sobie prawo do pójścia w ślady celana samobójcy
i rilkego niezaradnego
choć ślad po nich zaginął
zastrzegam sobie prawo do pisanie po ścianach
farbami olejnymi i pokostem
pissania po śniegu
kukurydzianą whiskey i pszenicznym piwem
prawo żeby postawić krzyżyk
lub kółko na własnym nagrobku

pozostałych praw rzekam się
na rzecz wydawcy mojej książki
za minimum środków niezbędnych do życia
także po śmierci

z tomu **Zastrzegam sobie prawo do milczenia**, WBPICAK 2018
przeł. **Paulina Ciucka**

Eugenijus Ališanka | Litewski poeta, tłumacz i eseista; redaktor naczelny czasopisma „Vilnius”. Nietypowy głos w litewskiej poezji, pisze w kontrze do lingwistycznych i symbolicznych konwencji. Jego twórczość zakorzeniona jest w kulturze litewskiej, inspirowana europejskimi kanonami i historią. Laureat Poetry Spring Festival Oak Leaf Garland, najbardziej prestiżowej nagrody poetyckiej na Litwie (2012). Jego wiersze tłumaczone były m.in. na angielski, francuski, niemiecki, polski, rosyjski, szwedzki, fiński. Autor książek poetyckich: *Dievakaulis* (1999, *Kość Boga*), *Iš neparašytų istorijų* (2002, *Z nie napisanych historii*), *Exemplum* (2006) oraz zbiorów esejów: *Vaizdijantis žmogus* (1998, *Człowiek wyobrażający*) oraz *Dioniso sugrįžimas* (2001, *Powrót Dionizosa*). Przełożył na litewski wiersze m.in. Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta i Jacka Podsiadły. Mieszka i pracuje w Wilnie.

Katja Gorečan

Hana i poezja (Hanie się odechciewa)

jeśli chodzi o poezję, hana najchętniej siedziałaby cicho,
ale nie potrafię

swoje wiersze zaczęła chować i zakopywać w ziemi,
żeby ewentualnie ktoś je kiedyś odkrył.

jeśli chodzi o naszą poezję, hana najchętniej krzyczałaby.
w naszym kraju człowiekowi może zbrzydnąć wszystko, co
kocha.

hana nigdy nie powie, co myśli,
bo w ten sposób zakończyłaby swoją karierę poetycką.

hana myśli, ale się do tego nie przyznaje.

hana chciałaby czytać swoje wiersze,
hana chciałaby wydać jakąś książkę,
ale nigdy jej się nie uda, bo
hana nie jest typowym przykładem poetki
(*jaki jest typowy przykład, hana nie wie, ale wie, że to nie ona*),
i - co najważniejsze - hana nie ma znajomości.

hana ma już tego dość.
nie chce jej się dłużej walczyć z poetami.
dlaczego niby miałyby walczyć o swoją poezję?

hana lubi obserwować samozwańcze gwiazdy poezji,
wszystkie spod tej samej sztancy.
co roku wydają nowy tomik,
co roku odbywają tysiące spotkań autorskich,
na których mądrzą się i symulują miłość.
co roku ci sami dostają nagrody,
czy może czasem zdarzy się rok przerwy?
wszędzie widzi te same twarze, dające do zrozumienia
*a co ty tu robisz kobieto-dzieciaku nikt cię tu nie prosił
tylko my tu jesteśmy na szczycie parnasu
który trwa i dopóki nie umrzemy ty nie masz co fikać*
(albo jak cywilizacja utraciła wiarę)

a potem piją i stają się agresywni,
uderza im do głowy męska siła,
którą hana nigdy nie będzie dysponować,
dlatego może po prostu spadać tam, skąd przyszła.
myślała, żeby uklęknąć przed nimi
i błagać

*proszę przeczytajcie moje wiersze nie są takie beznadziejne
/ naprawdę,*

ale dziś jest jeszcze zbyt zmęczona i nie dość silna.
*kiedys zaczniesz pisać dobre wiersze, ale nigdy tak dobre,
/ jak moje.*

hana nie porzuci pisanie,
po prostu przestanie zwracać uwagę na wyzwiska i ciosy.
właśnie tego chcemy.
dlatego zawsze uderzam tam, gdzie najbardziej boli.

i właśnie w tym miejscu hana dzieli poetów na dwa rodzaje:
poeci, którzy pozostali ludźmi,
i poeci, którzy zmienili się w bestie.

z tomu **Cierpienia młodej Hany**, Korporacja Ha!art 2018
przeł. **Miłosz Biedrzycki**

Katja Gorečan | ur. 1989. Słoweńska pisarka. Ukończyła komparatystykę i teorię literatury na Uniwersytecie w Lublanie, a obecnie kończy studia magisterskie z dramaturgii i scenopisarstwa na Akademii Teatralnej, Radiowej, Filmowej i Telewizyjnej w Lublanie. W 2007 roku debiutowała książką poetycką *Angeli iste-ga porekla* (*Aniołowie tego samego pochodzenia*). W roku 2012 opublikowała tom *Trpljenje mlade Hane* (*Cierpienia młodej Hany*), który zdobył nominację do prestiżowej słoweńskiej nagrody poetyckiej im. Jenko. W 2017 roku ukazał się jej choreo-poemat *Neke noči neke deklice neke umirajo* (*Pewnej nocy pewne dziewczęta gdzieś umierają*). Jej wiersze tłumaczono na wiele języków, w tym czeski, maltański, baskijski, ukraiński, rosyjski, hiszpański, niemiecki, angielski, litewski, polski, serbski i francuski. Należy do europejskiej platformy poetyckiej Versopolis, uczestniczyła w licznych międzynarodowych wydarzeniach literackich. Zawodowo pracuje jako dramaturżka. Jest współautorką sztuki *Ada*, którą wystawiano w Słoweńskim Teatrze Narodowym. Należy do komitetu organizacyjnego odbywającej się w Lublanie międzynarodowej imprezy poetyckiej Pranger Festival. Naukowo zajmuje się poezją feministyczną, dramatem i performansem.

Jane Hirshfield

Guzik

Lubi i wchodzić, i wychodzić –
jakby się bawił w chowanego.
Nic nie wie o tym, co ubranie sądzi
na temat jego czarodziejskich mocy.

Nie dba o swoją naturę – jeśli przyjąć,
że jest nią zapinanie i rozpinanie.

Lubi pieszczotliwy dotyk dwóch palców
na swoim lekko pogrubionym brzegu.
Lubi zapach i ciepło pobliskiego ciała.
Euforia prania sprawia mu dużą rozkosz.

Amoralny, zmysłowy, na utrzymaniu bawełnianej nici,
śpi jak zwinięty w kłębek kot na płamie światła,
kragły i łaciaty.

Jego rozumienie jest rozumieniem miodu i jaśminu,
pozwalaniem, by przychodziło, co się zdarza.

Guzik nie zazdrości drugiemu guzikowi,
ani haftce, ani pętelce, ani poliestrowej przewlecze.
Spoczywa z pogodną nonszalancją na swojej koszuli w czerwoną
kratę.

Jest swoją własną historią, całkowitą.

Krótkotrwałość i długotrwałość nic nie znaczą dla guzika z masy
rogowej.

Nie dokuczają mu też sny o dawnych namiętnościach,
choć zdarzyło się raz, że przewędrował dziesięć tysięcy traw
z zapachem piżma w nozdrzach;
i szedł, szedł za tą wonią – tak było, mówię wam – przez całe mile.

z tomu *Słodycz jabłek, słodycz fig*, ZNAK 2018
przeł. **Mieczysław Godyń**

Jane Hirshfield | ur. 1953. Amerykańska poetka, eseistka i tłumaczka. Hirshfield jest autorką ośmiu cenionych tomów wierszy, dwóch zbiorów esejów o poezji *Nine Gates* (1997) i *Ten Windows* (2015), oraz czterech zbiorów dawnej poezji, m.in. antologii *Women in Praise of the Sacred: 43 Centuries of Spiritual Poetry by Women* (1994) oraz *The Ink Dark Moon: Poems by Ono no Komachi and Izumi Shikibu, Women of the Ancient Court of Japan* (1988). Wydała kilka tomów wierszy: *Alaya* (1982), *Of Gravity & Angels* (1988), *The October Palace* (1994), *The Lives of the Heart* (1997), *Given Sugar, Given Salt* (2001), *After* (2006), *Come, Thief* (2011) i *The Beauty* (2015). W 2002 w wydawnictwie ZNAK ukazał się wybór wierszy Hirshfield *Uważność* w przekładzie Magdy Heydel, ze wstępem Czesława Miłosza. Z okazji tegorocznego Festiwalu Miłosza ukazuje się wybór *Słodycz jabłek, słodycz fig* (2018), w przekładzie Magdy Heydel, Mieczysława Godynia, Agaty Hołobut, Czesława Miłosza i Adama Szostkiewicza, ze wstępem Adama Zagajewskiego. Hirshfield jest autorką wiersza *For the Women of Poland: December 1981* (*Kobietom z Polski: grudzień 1981*), którego inspiracją była prasowa informacja o wprowadzeniu racjonowania żywności podczas stanu wojennego w Polsce. Jest laureatką wielu prestiżowych nagród, m.in. The Poetry Center Book Award, The California Book Award, The Hall-Kenyon Award in American Poetry, Columbia University's Translation Center Award, oraz stypendiów przyznawanych przez, m.in. Academy of American Poets, czy National Endowment for the Arts.

Marzanna Bogumiła Kielar

Uczy mnie ziarnina młodych sosen zarastająca wyręb.
Światło – ma ciężar stali,

kiedy słońce ginie w paśmie roziskrzonej wody,
wlewa roztopioną miedź w dalekie lustra okien;

uczy mnie niebo dogasające w wełnistym zmierzchu,
morze nabierające czerni.
Słone olinowanie wiatru przy burcie portu.

Uczy mnie światło, co schodzi spod lodowych chmur,
/ na krótko,
głaszcze nastroszone skrzydło
zamarzającej zatoki.

Młody śnieg na wydmach, co przepada bez śladu.
Złomowisko jesieni wrastające w lód na podtopionym brzegu,
obtuszczone z kolorów, pordzewiałe.

Uczy mnie chmura dnia rozwiewająca się przy bazaltowej krawędzi.

Martwa fala żyjąca po ustaniu wiatru.
I fala stroma, krzywa, co łamie się i przewala, rozptywa po
piachu,
wyzbywając się siebie.

Uczą beztrwożności

z tomu *Nawigacje*, ZNAK 2018

Marzanna Bogumiła Kielar | Poetka, absolwentka filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, doktor habilitowana nauk społecznych, profesor nadzwyczajny Wydziału Pedagogicznego Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, wcześniej profesor nadzwyczajny Akademii Pedagogiki Specjalnej. Laureatka wielu polskich i zagranicznych nagród, m.in.: Nagrody im. Kazimierzy Iłłakowiczówny, Nagrody Fundacji im. Kościelskich, Nagrody „Czasu Kultury” i Paszportu „Polityki”, a także Kryształu Vilenicy w Słowenii i Nagrody Hubert Burda Preis w Niemczech. W 2007 roku została odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi. Autorka tomów poetyckich: debiutanckiego *Sacra conversazione* (1992), *Materia prima* (1999), *Monodia* (2006), *Nawigacje* (2018) oraz wyborów wierszy: *In den Rillen eisiger Stunden* (Niemcy 2000), *Umbra* (Polska 2002), *Salt Monody* (USA 2006), *Brzeg* (Polska 2010), *Materia prima* (Bułgaria 2015) i *Vaje iz neobstoja* (Słowenia 2018). Jej wiersze były tłumaczone na dwadzieścia trzy języki i znalazły się w ponad czterdziestu antologiach. Stypendystka – w obszarze literatury – fundacji kulturalnych i uniwersytetów w Europie, Stanach Zjednoczonych, Skandynawii i Azji. Członkini polskiego PEN Clubu i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Warszawie i Brukseli.

Urszula Kozioł

Bez Monumentunie wszystkim umrę (z Horacego)

Dzisiaj poeta powie – umrę wszystkim
bo nic trwałego na ziemi
jako i w niebie pod słońcem

próżno bając
że choć syn minie pismo
to wnuk z pewnością je sobie przyswoi

otóż wnuk dzisiaj wcale się nie pali
do wertowania bazgrołów dziadka
więc poeta „w siebie pochylon”
jednakże umrze cały
wszystek

bez monumentu
a jego imię zniknie w niesytej paszczy
nicości

czyli nie ogień je strawi
a niepamięć

co ciekawe
nawet zapisane słowa
potrafią wyparować z drukarskiej farby
i przepętnać z papieru do nigdzie
podobnie jak ten wydruk maili
od lat kilku
ślanych mi przez profesora ZB

więc umrę cała a wraz ze mną
zemrą wiersze
które kochałam u innych
i te pisane przeze mnie
i te co jeszcze są do napisania

wczoraj chodziło mi po głowie
że pięknie byłoby stać się kiedyś szelestem
choćby tej garstki pobielanych kartek
ze śladem po słowach
które mi zbiegły sprzed oczu

.....
w dzieciństwie
urzekł mnie szelest szuwarów
nad stawem
szuwarów z witrażem skrzydełek ważki
kolorowej jętki
ten pierwszy w życiu zachwyt
czy potrafię
unieść w sekrecie do krainy cienia –

ale to mrzonki
z niczym
nie ujdę stąd

więc póki zdołam
jeszcze
pisanym na kartkach słowem
sobie poszeleszczę

06.03.18

z przygotowywanego tomu **Znikopis**, Wydawnictwo Literackie

.....
Urszula Kozioł | Poetka, prozaiczka, felietonistka, dramatopisarka. Debiutowała w 1957 r. jako jedna z przedstawicielek tzw. Pokolenia „Współczesności” tomikiem *Gumowe klocki*, aby w ciągu następnych pięćdziesięciu lat wydać kilkadziesiąt tomów poetyckich (m.in. *Żalnik*, *Stany nieoczywistości*, *Klangor*, *Horrendum*, czy *Uciężki* z 2016 r.). W jej biografii artystycznej znajdziemy również kilkanaście utworów dramatycznych (*Gonitwy*, *Podwórkowcy*, *Magiczne imię*), eseje oraz felietony. Wieloletnia współpracowniczka miesięcznika „Odra”. Laureatka kilkudziesięciu nagród, m.in. Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius, Nagrody Fundacji im. Kościelskich, a także odznaczeń: Złotego Krzyża Zasługi i Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski. Doktor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Maria Stiepanowa

✱ ✱ ✱

mój brat powiedział o was: faszyści
zaintonuj, pociągnę dalej
wrócimy, gdy rozwiną się liście,
lecz ja przy swoim obstaję

wtedy w lesie rozwiną się liście
i jeleń przejdzie po ścieżce
i zagwiżdżą antyfaszyści
a las poruszy się jeszcze

słowa są związane z rzeczami
zwykłym sznureczkiem jedynie,
ludzie zaś w ziemi z warzywami
kładą się na spoczynek

a ci chodzą od domu do domu
z ołówkiem i listą
i okienne ramy po kryjomu
gnijącym językiem liżą

faszysta – myszaty uszaty mszysty
wysoki i wypachniony
powietrze wie jednak że nie jest faszystą
nikt z naszej ni z waszej strony

zdejm sznureczki ze słów i po prostu
odłóż je do kąta
i las odwoła swoich postów
i nie umrę do końca.

z tomu **Wojna bestii i zwierząt**, WOLNO 2018
przeł. **Zbigniew Dmitroca**

.....
Maria Stiepanowa | ur. 1972. Poetka rosyjska, prozaiczka, eseistka. Swoją pierwszy wiersz napisała w wieku trzech lat, studiowała w Instytucie Literackim im. Gorkiego, który ukończyła w 1995 r. Pracowała jako redaktorka naczelna OpenSpace.ru oraz niezależnego i utrzymywanego z darowizn serwisu Colta.ru. Została nagrodzona wieloma wyróżnieniami w Rosji i na świecie, w tym Nagrodą Andrieja Biełego i stypendium Josifa Brodskiego. Jej ostatnie utwory dotyczą m.in. problematyki polityki rosyjskiej i sytuacji w Donbasie. W 2014 r. wydała zbiór esejów pt. *Jeden, nikt, nie ja*. Do tej pory jej wiersze zostały wydane i przetłumaczone na wiele języków, w tym: angielski, fiński, francuski, hebrajski, niemiecki, serbsko-chorwacki i włoski.

Krzysztof Siwczyk

Rok Myśliwego

Rok myśliwego Czesława Miłosza to wyjątkowy diariusz jednego roku z życia dojrzałego poety. Zawiera w sobie aktualny dziś model światoodczucia. Doświadczamy rzeczywistości radykalnie fragmentarycznej. Świat wydaje się uchwytny tylko w chwili bieżącej. Towarzyszy nam przy tym poczucie rosnącego zagrożenia. Próbuje budować własną tożsamość w bliskim kontakcie z rzeczywistością, która nam nieustannie umyka. Na dobrą sprawę nie wiemy, czy rzeczywistość jest projekcją naszych lęków i wyobrażeń, czy może jednak tkwi w niej twardy rdzeń sensu, który możemy za pomocą literatury odkryć.

Prowadząc codzienne zmagania z widmowym i wirtualnym obrazem siebie samych, drażni nas tęsknota za jakąś ideą porządkującą istnienie. Kultura zwielokrotnionego obrazu wzmacnia egzystencjalne zagubienie. Próbuje sklejać sylwiczną opowieść, jednak w gąszczu wykluczających się narracji, tracimy ostrość krytycznego widzenia. W każdym akcie lektury i pisania polujemy na świat, który niechybnie nam umyka. Codziennie doświadczamy trwogi przemieszczania się ról w tym polowaniu.

Bywamy zwierzyną łowną, kiedy ideologiczne ciążenie redukuje skomplikowany obraz rzeczywistości do prostych, egzystencjalnych recept, wywołujących nas z prawa do złożoności naszych postaw i wyborów. Myśliwymi stajemy się w momencie, kiedy własne światoodczucie próbujemy wszczepiać bliźnim poza dialogiem i poszanowaniem odmienności czyjegoś języka i wyrażanych w tym języku wartości. Jedno nas łączy: jesteśmy uczestnikami gry o zmiennych regułach, gdzie stawką jest współistnienie w różnicy bądź ślepa przemoc instytucjonalnie zadekretowanej prawdy.

Miłosz, kreśląc w *Roku myśliwego* portrety zarówno ideowych przeciwników, jak i pobratymców, proponuje wielogłos ścierających się idei i literackich estetyk. Nie rezygnuje jednocześnie z artykulacji swoich, momentami twardych i kontrowersyjnych, przekonań. Literatura to dla Miłosza pole sporu o etykę, sprawy spójeczne, stosunek do ojczyzny oraz istnienie Boga. Spory te dziś znajdują się w stanie światopoglądowej erupcji. Powoli zalewa nas lawa ideologicznej przemocy.

Zanim jednak zastygniemy w figurach resentymentu, próbujemy wydobywać się z przekonania, że jesteśmy depozytariuszami prawd obowiązujących zawsze i wszędzie. „Zawsze i wszędzie” to imiona bóstw redukcji i zniszczenia. Poezja natomiast oddaje głos naszemu „tu i teraz,” w który należy się wstuchać.

Mamy nadzieję, że podobnie jak w poprzednich latach, tegoroczna edycja Festiwalu Miłosza stanie się wielkim świętem poezji i poetów różnych tradycji i języków, czasem spotkania i rozmowy o literaturze, o ideach i o świecie. Czasem, który mówi wielogłosem, a nie retoryką wykluczenia i politycznej stygmatyzacji.



wybór: Jadwiga Malina

Festiwal Miłosza

część druga

Marek K.E. Baczewski

Marina

Twój śmiech jest jak draśnięcie szyby styropianem,
w tej rozkołysanej wiatrem ciszy...

Nie mówię o Homerze, który stworzył wody,
ażebym, gotowe, czekały na przyjsie autora *Genezis*,
z jego bibliograficzną indolencją,
z jego mierną paletą wielbiciela sepii.

Nie mówię o milach sześciennych szampana,
sargassowych zaroślach, które zwiedza skrzętnie
Mistah Kurtz, ich dozorca, brzydki i bezsenny.

Tu plaża ustępuje czemuś, czemuś – czemu?
Nie odwracam się, by nie ujrzyć tego, co pochłania
krótkotrwałe pieczęci naszych ciepłych kroków.

Z głębi Jego – czy wolno mi powiedzieć „oskrzeli”? –
przychodzi ten zapach, ty mówisz: *plus douce*
qu'aux enfants la chair des pommes sures,
a gwiazdy w pobłażliwym spokoju patrzą, jak frachtowce
wydziobują z powierzchni wody ich odbicia.

Twój śmiech jest jak skrzekliwy rechot kabestanu.
Ty mówisz: to postanowione (morze,
jego pływy, upławy, przyczepiona do nieba
gigantyczna plantacja kursywy).

Mi coraçon, mniej wierzę w morze
niż w ciebie. Gdy mówisz, że przez całe życie,
w twoich słowach są zatoki śmiechu, dorzecz
zmarszczek, fiordy siwych włosów.

Marek Krystian Emanuel Baczewski wł. Marek Kowalik | poeta, prozaik, krytyk literacki, autor słuchowisk radiowych. Laureat nagrody głównej Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. R.M. Rilkego oraz III Tyskiej Zimy Poetyckiej. W 2007 r. był nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia za tomik *Morze i inne morza*. Autor jedenastu tomów poetyckich, m. in. *Fortepianu Baczewskiego i innych konstrukcji* (1994), *Wierszy żebranych* (1999) oraz *Była sobie książka* (2011).

Tomasz Bąk

It was there that I saw you

Bo było się czego chwycić,
choćby brzydko a kwieścicie –
sen o Polsce pełnoziarnistej,
w środku Polski miasto,
trzy kreski mefedronu w nazwie,
w mieście gruba, czarna kreska
wokół szarozielonych oczu
i usta pełne, w polszczyźnie biegłe,
jej wierne, może nie deska,
raczej ostatnia z dwunogich
szans danych miastu & światu.
Ale była też pora dropsów,
dwuletni kurs PowerPointa
z przerwami na schizę,
promocja warunków brzegowych na cały asortyment.
Wszystko było testem otwartym,
każde dwie kreski miały imię z urzędu,
Polska była biała jak buła z biedry
i tylko solaria świeciły jasno
depresją, ktoś miał voucher na zęby,
inny wyjebane i kamień,
taki kamień, że aż pani chciała go karmić.
Solaria świeciły jasno depresją,
Polska pełnoziarnista wchodziła w zęby,
odbłask wiosny na zgrabionych trawnikach,
światła aut aż do utraty prądu.
Wykolejona proporcja, naszyjnik z kamieniem
był kamieniem u szyi, Dar Młodzieży
utknął na mieliźnie jak mniej/ więcej/ wszystko,
ogniska patriotyzmu kojarzyły się
z wypalaniem traw i wróciło palenie,
budowniczy stawiali domy z sitraku
na działkach po dziadkach.
Piszę ci o tym głównie z braku alternatyw,
portale randkowe przesunęły mnie w lewo,
trzy kreski mefedronu
zabłądziły w przekładzie.
Piszę ci o tym, bo M. powiedziała, żebym napisał,
ostatecznie lepsze to, niż mieć zdjęcie z penisem,
wrócić do domu z kwiatkiem, ucałować mamę
i zrobić jej awanturę o aborcję –
wtedy na wszystko jeszcze nie było za późno,
wtedy nie wszystko jeszcze kompromis,
kochane dzieci, zapomnijcie, że miłość.

.....

Tomasz Bąk | ur. 1991. Kolektyw schizofreniczny. Autor trzech książek z wierszami, ostatnio wydał tom *Utylizacja. Pęta miast* (2018). Laureat Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius w kategorii debiut za tom *Kanada* (2011), za tom *[beep] Generation* (2016) nominowany do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej. Mieszka w Łodzi..

Joanna Oparek

Przyptyw

*Rybną zatokę zjawisk
omotam sieciami zmysłów –
patrz:
ryba biała i śliska, to biały i śliski dzień*
Zuzanna Ginczanka

Rzuciło mi morze czarną ośmiornicę
to lato w sepii uda się zapisać
ale słowa jak muszle otwarte są już puste

Ramiona ośmiornicy mają myśli osobne
nie muszą słuchać mózgu złęczone i wolne
lecz osiem różnych sprężystych intencji jedną staje się
/ w obliczu głodu

Piję jak wodę z solą moje dni zamknięcia
morze w strużkę się zwija sącząca się ciemność
jest czułym atramentem i żrącą trucizną

Tulę do siebie niesformną czarną ośmiornicę
zbuntowaną gwiazdę
która w wodę wpadła jak kamień
żeby oczami świecić na dnie i pod płaszczem
w ukryciu rosnać

Łowiłam ryby rozgryzałam muszle teraz to łóżko jest całą
/ moją plażą

sama dla siebie jestem
widokiem i powietrzem

Opieram stopy na wzburzonych falach
czarnoczerwone morze krzyczy od nadmiaru
drażnię ostrym ołówkiem
ośmiornicę amulet o papuzim dziobie
mój egzotyczny kwiat co barwę zmienia
i jak mój los odwrócony znak wiecznego istnienia
żyłasty kawałek mięsa w którym trzy serca biją
Trzymam ją
w wazonie

Tamtego lata dostałam jeszcze kwiaty niejadalne
/ i ładne powiem tylko

że morze śni się do końca
kiedy rybak i ryba kość i ość na słońcu
i kiedy nieskończoność przekwita i opada
a każde z ośmiu błogostawieństw
przekleństwem staje się
hebrajskim słowem
brzmiącym jak jęk kochanków
ośmioramiennych
śmiertelnych
słonych
utrwalonych w sobie

.....

Joanna Oparek | Poetka, pisarka, dramatopisarka. Pracowała jako dziennikarka i scenarzystka. Opublikowała tomy poetyckie: *Po kostki w niebie* (2003), *Czerwie* (2012), *Berlin Porn* (2015), powieści: *Mężczyzna z kodem kreskowym* (2004), *Jesień w Nowym Jorku* (2006), *Łoża* (2012) oraz sztukę teatralną: *Projekt Ameryka* (2010). Jako autorka tekstów teatralnych współpracowała z Narodowym Starym Teatrem w Krakowie, brała również udział w międzynarodowym projekcie Kraków-Berlin XPRS, przygotowanym przez Narodowy Stary Teatr w Krakowie i Maxim Gorki Theater w Berlinie. Uczestniczyła w polskich i międzynarodowych projektach kulturalnych łączących literaturę i sztuki plastyczne, publikowała wiersze i prozę w pismach literackich. Współpracowała z Teatrem Nowym w Krakowie, gdzie odbyła się premiera jej dramatu *Węzowisko*. Współtworzy niezależną scenę teatralną w Krakowie w galerii Otwarta Pracownia, gdzie wraz z reżyserem Sebastianem Myłkiem, zrealizowała spektakle *Mewa*, *Sztuka bez tytułu* oraz *Obcy*. *Tragedia grecka* (w ramach międzynarodowego projektu *Game over?* – o budowaniu ponadnarodowych relacji Polska-Niemcy-Ukraina – pod patronatem Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego). Angielskie tłumaczenia wierszy Joanny Oparek ukazały się w dwujęzycznym piśmie WIDMA w 2017 (tłum. Lynn Suh). W 2018 została przewodniczącą jury Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Rafała Wojaczka.

Ron Padgett

Ryzyko

Czasem, gdy oddzwaniałem do matki w Tulsa, słyszałem: „Chwileczkę, Ron, tylko to ściszę”. To, czyli telewizor. I zaczynało się szukanie pilota, potem zabawa z przyciskami, a we mnie rosła irytacja i zniecierpliwienie, i miałem ochotę wykrzyknąć: „Oglądasz za dużo, i jest za głośno, i dlaczego nie wyjdiesz z domu!”, ponieważ nie radziłem sobie z lękiem przed jej starością, a moje serce stwardniało, bo ją kochałem, choć przecież nie chciałem rezygnować z własnego życia i mieszkać gdzieś w pobliżu, żeby mnie mogła codziennie widzieć, a nie tylko słyszeć, i dlatego ściszała telewizor, i mówiła: „No, teraz lepiej”, a później, czasami, zdawała szczegółowe sprawozdanie z jakiegoś koszmarnego, właśnie oglądanego programu.

z tomu **Bezczynność butów**, Instytut Mikołowski 2018 r.
przekł. **Andrzej Szuba**

.....

Ron Padgett | ur. 1942. Poeta, prozaik, redaktor i tłumacz. Pochodzi z Tulsy (Oklahoma). Jako uczeń liceum założył awangardowe pismo „The White Dove Review”, w którym publikowali teksty m.in. Allen Ginsberg i Robert Creeley. Padgett jest autorem ponad dwudziestu książek poetyckich, m.in.: *Great Balls of Fire* (1969); *You Never Know* (2001); *How to Be Perfect* (2007); *How Long* (2011). Napisał również cztery wiersze specjalnie dla Jima Jarmuscha do filmu *Paterson*. Obok poezji wydał liczne kolekcje prozy, m.in.: *Blood Work: Selected Prose* (1993), *Ted: A Personal Memoir of Ted Berrigan* (1993) oraz *The Straight Line: Writing on Poetry and Poets* (2000). Mieszka w Nowym Jorku.

Olvido García Valdés

Kobiety o jednej jedynej
wyrażalnej filozofii: to co nie zabije
wzmacnia, wszystko się przydaje, również
o jedynej i szczególnie surowej
normie postępowania:
zwróć
uwagę, najwyższą
uwagę na to, by nie dowiedzieć
się o niczym, tym bardziej jeśli
mogłoby cię zranić. Dożywają
starości, generalnie to one
kończą opowiadając historię.

(*nocne łowy*)

z tomu **Obraz, który trwa tyle, co życie**, LOKATOR 2018
przeł. **Marta Eloy Cichocka**

Targam ze sobą rzeczy jak staruszka
ze wsi. Jestem nią. Z biegiem czasu
będę potrzebować tobołów, by do nich wrzucać
wszystko, co niezbędne. Niezbędne
jest zbyteczne – fetysze, książka, wachlarz,
nożyczki, zeszyt, pióro – jak gdybym
stopniowo coraz bardziej
czepiała się kurczowo, zamiast się pozbywać,
drobnych rzeczy, oto list żelazny
by przejść przez ulicę lub przełknąć kawę, nawet
nie siedem pestek granatu. I tak do niczego
nie dojdziemy. Prócz okularów i kluczy,
podręcznych kosmetyków upiększających,
butelki wody i składanego parasola,
który nic nie waży, wszystko w końcu ciąży.

(*I wszyscy byliśmy żywi*)

z tomu **Obraz, który trwa tyle, co życie**, LOKATOR 2018
przeł. **Marta Eloy Cichocka**

.....

Olvido García Valdés | ur. 1950. Hiszpańska poetka i eseistka, tłumaczka m.in. Piera Paolo Pasoliniego, Anny Achmatowej i Mariny Cwietajewej, współzałożycielka takich pism literackich, jak „Los Infolios”, „El signo del gorrión” czy „Hablar/ Falar de Poesía”. Absolwentka filologii romańskiej na Universidad de Oviedo i filozofii na Universidad de Valladolid, wykładowczyni języka hiszpańskiego i literatury w Instituto Ferrari de Valladolid i Instituto El Greco de Toledo, kierowała również Instytutem Cervantesa w Tuluzie. Opublikowała siedem tomów poezji: *El tercer jardín* (1986), *Exposición*, (1990), *Ella, los pájaros* (1994), *Caza nocturna* (1997), *Del ojo al hueso* (2001), *Y todos estábamos vivos* (2006) i *Lo solo del animal* (2012) oraz dwie antologie: *La poesía, ese cuerpo extraño* (2005) i *Esa polilla que delante de mí revolotea. Poesía reunida* (1982-2008). Jest laureatką m.in. Premio Ícaro de Literatura (1991), Premio Leonor de Poesía (1995) i prestiżowego Premio Nacional de Poesía (2007). Tłumaczona na angielski, francuski, niemiecki, polski, portugalski, rumuński, szwedzki, włoski, arabski i chiński, jest nieprzyciągającą poezji lekkostrawnej, schlebającej czytelnikowi.

Krzysztof Siwczyk

Bez duch

pamięci Czesława Miłosza
autora „Roku myśliwego”
(fragment)

Krzysztof Siwczyk | ur. 1977. Poeta, eseista. Laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (2014) oraz Nagrody Literackiej Gdynia (2017). Zastępca dyrektora Instytutu Mikołowskiego. Dyrektor artystyczny Festiwalu Miłosza.

Wracasz po swoich śladach, w kompletnie przemoczonych kapciach brodzisz w głębokich rowach, gdzie mieści się tyle stworzenia, teraz obudzonego pierwszym dniem zaśnieżonej wiosny. Czerwie i pomniejsze maleństwa żwawo pomykają w bieźniku, jaki zostawiły twoje kapcie. Próbujesz sobie nieustannie wyobrażać, jak to będzie z tobą, w jakiej mierze pogodzisz się z utratą substancji myślenia, co wyrazi się w absolutnym skupieniu nad przypadkami własnego ciała. Będziesz najpewniej nieznosnym heliocentrykiem, który uzna, że wszystko winno kręcić się wokół jego wygasającego źródła życia. Nie bacząc na nic, będziesz prądkować swoje zgorzknienia po możliwie dużej orbicie zainteresowanych jeszcze twoim losem ludzi. Nie stać cię będzie na krztę dzielności i dyskrecji. Rozwleczesz niemożliwie temat swojego zaniku, nie znajdziesz dla niego żadnej definitywnej formuły, po której każda głosa wydawać by się mogła przykrym obniżeniem rangi ostatecznego twierdzenia. Oprzesz się właśnie na głosach, na dogadywaniu życiu ciągów dalszych, będących najpewniej żałosną onomatopeją, niemogącą nadażyć za twoim rzeżeniem. A może jednak uda ci się zatrzymać w chwili, w momencie najwłaściwszym, w *teraz* decyzji o porzuceniu dawnych nawyków, czyniących z ciebie człowieka niedefinitywnego. Dopóki próbujesz w języku wypisywać resztkę dawnych potencji, dopóty nie będziesz w stanie przystąpić do paktu przeoczenia. A przecież marzysz o tym. Marzysz, żeby patrzeć przez okno bez zastanowienia, żeby nie patrzeć na nic. Nie wiesz, jak blisko jesteś już definitywnej ulgi, z jaką przyjmiesz rzeczy z prostym, użytecznym gestem akceptacji, która nie wie, że akceptuje, gdyż jest po prostu działaniem, ruchem pozbawionym refleksyjnego przestoju, który nie służy niczemu innemu poza konwencją zwątpienia, jaką opracowałeś pod każdym względem rzetelnie, zgłaszając ją przed samym sobą nawet w momencie narodzin twojej córki. Dziś próbujesz to wyprzeć, ale jednak tak było: fenomen obcego

życia musiał cię podbić. Musiałeś mieć czas. Musiałeś nauczyć się kochać. Dałeś sobie do tego prawo, nie pytając o zdanie. Kiedy pojawiło się pierwsze słowo, było to słowo twojego imienia.

Ściągasz mokre kapcie, grzejesz stopy na kaloryferze, podnosisz głowę do nieba, z którego wynika mamidło, receptura wzniosłości, miłe skądinąd zapośredniczenie w czymś większym niż tylko rozmiar twojego buta. Niebo jest kontrą faktyczności, a zarazem jej jedynym wymiarem. Idealna niebotyczność wzrostu i wegetacji, moralna obojętność cmentarzy, zabawna gra w zaklinanie dni, kończą się na neutralnym spojrzeniu do góry, spokojnym uchwyceniu pasma chmur toczących swoje piany melodii dla nikogo, niczego i po nic. Brak obciążeń, brak sensu. Twoje kapcie spokojnie schną, kurczą się do rozmiaru skorupki orzecha, w której mości się ziarno chwastu albo kiełek czegoś równie ekspansywnego. Twój film przyspiesza, implozywnie, klatka po klatce, wracasz do początku, kiedy postanowiłeś wyjść na zewnątrz, z krzykiem, witało cię światło. O niczym nie mogłeś wiedzieć, dopiero po jakimś czasie włączył się głos. Przekleństwo mogło polegać na tym, że go usłuchałeś, pisząc w odpowiedzi na pytanie, to co jest teraz, czemu nie mogłeś zaprzeczyć, niczego nie mogłeś potwierdzić.

Chciałbyś dzielić się z córką tym, co w tobie stanowi obiektywną wartość dodaną, którą wielokrotnie potwierdzają znający cię ludzie, czyli upodobaniem do wynoszenia miazmatów do poziomu zasady organizującej porządek symboliczny twojego życia. Ciekawe dla ciebie staje się to, że porządek ten utkałeś z zupełnie płowych i nieciekawych w sumie znaków, które biorą się z przywiązania do przeszłości, a właściwie do stygmatyzujących ją elementów wystroju rzeczywistości, jakie odnajdujesz w każdym muzeum w gablotce z charakterystycznymi gadżetami. Dzielisz tę skłonność z większą liczbą ludzi, ale w głębi serca wstydzisz się w towarzystwie apelować

do pamięci szczegółu, która natychmiast ujawnia swój wspólny rys, a ten z kolei budzi śmieszną nostalgię, powodującą, że chcecie paść sobie w ramiona, co po latach mogłoby ujawnić jeszcze większe przepaście, jakie dzielą was – ludzi metrykalnie pokrewnych. To jedyne pokrewieństwo, które czujesz z innymi. Inaczej interpretujesz alfabet tego pokrewieństwa. Ze znaków przeszłości starasz się odczytywać profetyczną wizję, która winna być równie spolegliwa jak twoje przeszłe doświadczenie życia, które nigdy nie było jakoś tragicznie ukierunkowane na poziomie faktów, co z kolei przekłada się na całkowicie neurotyczną mapę podróży twojej psychiki. Pragniesz dziecku zorganizować równie neurotyczną przeszłość. Masz świadomość, że może stanowić to szansę na obronę jej życia psychicznego, a jednocześnie wiesz, że jesteś całkowicie bezbronny, bo przecież doprowadzisz ją tylko do pewnego etapu wspólnego życia w języku, by dalej porzucić w szczerym polu środowiskowej dżungli. Takimi obawami zajmujesz swoje psychiczne zgłiszczą i złupione czasem pustostany. Uwniosłaś je, wprowadzając na scenę swoje dziecko, tak jakby miało to wzmocnić stawkę powagi bez jakiej nie możesz się już obyć, mając do dyspozycji jedynie gesty klauna, które nie sprawdzają się nawet przed lustrem, nie mówiąc już o większym audytorium bliższych lub dalszych ci ludzi.

Czytałeś ostatnio sporo o stylu wysokim i późnym w literaturze i sztuce. Odnosiłeś wrażenie, że styl ten mogą uprawiać jedynie ludzie epoki, ci, którzy przechowali w sobie przedwirtualny obraz rzeczywistości, jaki transferują w dziś, za pomocą skonwencjonalizowanej mowy epoki, w której duchowość wyrażana była w języku deklaracji, pod postacią słów takich jak *duch*. Tautologiczny charakter stylu wysokiego i późnego jest uchwytany dopiero dzisiaj, w tej chwili, kiedy każdy słownik porozumienia między ludźmi jest tautologią, a jedyną szansą jej estetycznego zainfekowania jest ostentacja, z jaką używa się pewnych, dawno wypadłych z obiegu, wyrazów. Cieszy cię odwaga innych, którzy decydują się mówić w tonacji wysokiej. Wiesz, że potencjalnie mości się w tym geście wyniosłość dandysów, ale masz dla nich coraz więcej zrozumienia w okolicznościach, w jakich przyszło ci teraz żyć. Wiesz, że nie możesz sobie pozwolić na ich konkretne nazwanie, że powinieneś dostrzegać mechanizmy ogólne zarządzające ideologiami rozkoszy, które organizują na każdym poziomie historię. Wzbranasz się jednak przed nadmierną oceną stanu obecnego, w konkretnym kraju i języku, jakie są ci przyrodzone. Na dobrą sprawę nic cię to nie obchodzi. Starasz się tylko wygodnie rozlokować w każdym reżimie, z jakim dotychczas miałeś do czynienia. Teraz radzisz sobie już całkiem sprawnie. Korzystasz ze swoich rozlicznych, naskórkowych znajomości, by wydoić jak najwięcej fruktów z określonych pionów administracyjnych piekła, jakim jest każdy organizm zbiorowy i państwo, wydalaające do melioracji ludzi takich jak ty – drobnych cwaniaczków, odczytanych, ale nieprzeżywających tego, co przeczytali, jako życiowych drogowskazów. To jest twój styl wysoki i późny. Z nim rosteś się jak osłonica z dnem swoich rozwojowych możliwości. Jesteś strunowcem, prostym mechanizmem biochemii, wylinką porzuconą przez postać dojrzałą cynika, który poszedł już w świat, by rzeczywiście go zawojować. Ty niczego nie chcesz już zmieniać. Masz nadzieję, że dzięki literaturze zmienisz się

w zdanie, które teraz wydaje ci się rezolutne i takie będzie również jutro w czyichś oczach przyznających ci rację, ale nie widzisz w takim układzie następstw realnej siły, z jaką winna zjawiać się literatura, o jakiej przywykłeś mówić *konieczna*. To ciekawe, że wynajdujesz na regałach odruchowo tych pisarzy, którym udało się przemieścić najintymniejszą konfesję wprost na widok publiczny, związując ją sprytnie z realnym czasem historycznym, z jakimiś bieżącymi wydarzeniami, które przesądzały o pokoleniowej identyfikacji tak bardzo potrzebnej komuś, komu leży na sercu zaznaczenie własnej odrębności, a brak mu odwagi faktycznie wziąć odpowiedzialność za wybór samotności, która nie zna głodu i pragnienia komunikacji swojej moralnej wyższości. Z jaką pasją czytasz teraz wyznania czynione przez prawdziwych fachurów poezji, którzy potrafią wlać w całkiem złożoną formę stosunkowo dużą ilość krwi tłoczzonej przez porywy serca właśnie na progu depresji, czy innej wątpliwości, albo w elegijnym nastroju wspomnień o samobójczo finiszujących kolegach, dla których starczyło miejsca w historii literatury, ale nie starczyło cierpliwego znoszenia niedogodności, z jakimi ty dopiero będziesz musiał się zaprzyjaźnić – darzyć sympatią karlenie postaci, jaką projektowałeś w sobie przez długie lata, a ona odwzajemniała ci się ryzykownym podszeptem każącym ci obstawiać w gestach literackich wysokie stawki egzystencjalne. Piszę, więc jestem – tak myślałeś, tym zajmowałeś się zastępczo, zamiast stanąć do prawdziwej gry w życie pozbawione górnolotnie brzmiącej fikcji artykułowanej w mniej lub bardziej zawitych frazach. Teraz przeszukujesz nerwowo regały w poszukiwaniu czegoś, co brzmi autentycznie nawet wtedy, gdy ten autentyzm wpisuje się w doskonale zorganizowane teoretycznie reguły sztuki gatunku, do jakiego nie przyznawałeś się od momentu osiągnięcia pełnoletniości. A teraz co wieczór wracasz do zwierzeń w konfesjonale wiersza, które tak pięknie brzmią, bo dziś dla ciebie tylko brzmią, a nie znaczą. Wiesz już, że znaczenie tego brzmienia zależne jest całkowicie od nastroju czytelnika, a nim jesteś jednak pierwzej, zanim jeszcze przepoczwarzysz się w postać piszącego słowa. Czytelnik jako taki nie może być niczym poruszony. Owszem, słowa rezonują z jego empatyczną predyspozycją lub układają mu się w znajomą melodię własnej melancholii bądź znużenia, ale ostatecznie słowa nie mogą go pchnąć do dalej, do głębi indywidualnego wyżarzenia. Wysoka temperatura lektury to oksymoron. Aby lektura była skutecznym impulsem autodestrukcyjnym, musi odbyć się w stanach średnich, w niskim pułapie chmur, w pełnym zachmurzeniu, z domyślnym zaledwie horyzontem jakiejś dali. Wszystko, co naoczne, ośmiesza bowiem wewnętrzną gotowość do rozpaczy. Naoczność zubożnia. Śmierć pod prężeniem opisu boli bardziej niż rakowa ścieżka. A jednak unikasz naoczności, wykręcasz się coraz częściej od perwersyjnego obowiązku towarzyszenia procesom rozkładu. Wypierasz i wypraszasz za drzwi percepcji wszystko, co nie stanowi potwierdzenia dla twojego postulatu trwania przy życiu i *afirmacji, która nie afirmuje nic*, tylko je podtrzymuje w gotowości do literackiego użycia. Tymczasem podziwiasz tych, którzy użyli życia, zupełnie go nie doświadczając. Pisali bowiem od siebie, w swoim imieniu, o swoich klęskach. Doświadczenie mylili z literaturą. W tych pomyłkach osiągnęli prawdziwe mistrzostwo, choć mówi się, że szkoła konfesji jest synonimem braku

smaku. Też tak uważasz. Coś jednak każe ci do niej uczęszczać, brzydzić się i czytać wciąż od początku o końcach miłosierdzia, jakim kiedyś była literatura.

Formuła pisania, jakiej szukasz, winna być niczym bezinteresowne zaproszenie słane do córki, która już dawno opuściła dom rodzinny i bez specjalnego żalu zamieszkuje swoją teraźniejszość z pełną świadomością, że zawsze może zdecydować się na powrót, niczego jednak nie tracąc ze swojej autonomii, ale też niczego nie zyskując poza pretensjami, które wcześniej czy później sformułuje którąś ze stron, znudzona dzielnością, jaką trzeba wykazywać w spotkaniu z absolutną przegraną w czasie i przestrzeni, którą omyłkowo nazywa się logiką następstw czy dumą z dorosłego dziecka. Ty też, poddany wielokrotnym próbom tak formułowanych pretensji, które tylko do pewnego momentu przynoszą z sobą zaskakującą wiedzę o rodzicach, a potem jedynie potwierdzenia tej wiedzy, nieświeżej już kazuistyki czy ludowego powiedzonka, przestałeś w końcu intencjonalnie ich traktować. Po prostu akceptujesz nieruchomą już sferę, zatrzymany pejzaż, automatykę języka i pneumatykę smutku, ściskanego w gardle, upychanego po kątach wciąż nowych zapytań o to, co i jak było. Też najprawdopodobniej będziesz operatorem smutku, jakiego nie da się zutilizować w konwencjonalnej z gruntu radości z odwiedzin, szczerzej, ale konwencjonalnie ogarniętej jak pokój twojego dziecka, który był jej królestwem, a dla ciebie stanowił stajnię nie do wymiecienia, ciągle odnawialny chaos życia, na który ciebie nie bardzo było stać, nawet kiedyś, kiedy jeszcze wykazywałeś bezproblemowość w kontakcie z ludźmi. Podziwiałeś w niektórych z nich ruchliwą gorączkę, ciągłą gotowość do skoku w zwyczajne zgoła emocje, ale przeżywane w ciągle rosnącej amplitudzie, we wrzeniu afektów, w granicznym czasami oddaniu, co czyniło z nich młodych duchem dziadków, chodzące przykłady żywego kontaktu z rzeczywistością najdrobniejszych rytuałów. Ty nigdy nie miałeś takiego temperamentu. Odpadałeś od spraw po ich załatwieniu lub obejściu, przepchnięciu dalej lub zwykłym zignorowaniu. Rzeczywistość zostawiała w tobie ślady już na wstępie spłowiata.

Blade akryle, pospolity impresjonizm wiszący na bramach wejściowych do wiekowych miast – oto twoje przytulne wnętrza. Próbowaleś się bodźcować, czasami wskakiwałeś w ryzykowne błagi, te jednak zawsze wymyślał ktoś inny. Byłeś raczej odbiorcą zawodu. Twoją odpowiedzią wysyłałą życiu była pełna zrozumienia defensywa, uśmiech klauna postawionego na końcu kolejki do wyjścia na scenę, kiedy aplauz dla spodziewanych gagów dawno już wygasł. Akceptowałeś półśrodki i półprawdy. Dla swojego dziecka oczywiście chciałbyś czegoś innego, podczas gdy dawać potrafisz właśnie to, czego ci się uzbierało już całkiem sporo: półżycie. Nie wiesz do końca, czy to źle. Kwadry księżyca, balans gwiazd w konstelacjach, pochurność – dużo mówisz o tym swojemu dziecku. Wiesz, że wygaszenie złóż i źródeł woli życia może prawdziwie doprowadzić to życie do zakończenia, na jakie przystanie bez żalu. Cała reszta reakcji jest buntem, głownią syczącą na pustyni, kiedy nie ma już nikogo i nic nie zostaje do powiedzenia. Bez wspomnień bliskich, dalszych już się nie ma. Ślepa i już niezaradna. *Śniłaś mi się dziecko, raz za razem. Kiedy nie ma już od ciebie wiadomości, polegam*

na snach, nawet takich, śnionych przez nieobecność, twoją o mnie pamięć. Zaproszenia ciągle aktualne, drzwi zawsze otwarte. Przechodzi przeciąg od furtki po ogród. Słychać w nim radosne krzyki, warkot nebulizacji, „sto lat” śpiewane nad tortem, zdmuchnięte kolejne fikuśne świeczki odkłada się na kolejną okazję. Nikt tego nie może widzieć, nikt tego nie słyszy. Nikogo już tu nie ma. Nowy właściciel plombuje nawet domek na śmieci, wyrzuca obce łachy, łamie ogrodowe krzesła. Leżak sam kruszy się jak płot.

Ślepe uliczki, do których wjeżdżasz, wiedząc, że za moment rezerwa zacznie pisać nieprzytomnie, są jak początki autobiografii. Ona zawsze pojawia się w momencie zabrnienia w jakiś życiowy zaułek, pod ścianę, gdzie możliwy jest już tylko autoreferencyjny manewr. Nie przeceniasz ważności tego, co masz do powiedzenia o sobie innym, ale nie przywiązujesz się także do szeptanych wieści, które przynosisz sobie samemu, u progu każdego dnia, dokonując wstępnych diagnoz sytuacji harmonii powtórzeń, bo tak chciałbyś widzieć poczynania własne i cudze, rytualizując chwilę namysłu tak bardzo potrzebną przy opiece nad kimś, kto jeszcze nie do końca porusza się po własnych trajektoriach wyborów i nie do końca również wie, dokąd prowadzi każda z nich. Ślepe uliczki, zamknięte przejazdy, wyłączone z użytku odcinki drogi – tak najczęściej widzisz zakres przestrzeni, po jakiej poruszasz się pewnie i bez większych emocji, ale wygodnie i bezpiecznie. Wybierasz pory puste, dni świąteczne, wielkanocne przymusy, kiedy większa część mieszkańców twojego miasta realizuje przewidziane z góry, świąteczne scenariusze. Jedziesz powoli, z samego rana po zmokłych alejach, wjeżdżasz w kałuże, z premedytacją, ale nikogo specjalnie tym nie prowokujesz. Twoje dziecko choruje, twoja żona już też. Odbierasz od rodziców awaryjne śniadanie i wracasz do domu, tymi samymi drogami. Jednak, wiedziony nie wiadomo czym, skręcasz wprost na chodnik, przebijasz się ku nabrzeżu, bliżej zorganizowanego koryta przecinającego miasto czarną nitką jak dratwę, z góry widać to dobrze. Żona szybowiała kiedyś, opowiadała później niestworzone rzeczy. „Korkociągi i beczki mnie pozamiatały”, nie było mowy o dole i górze, wszystko straciło na moment ciężki charakter. Nieusuwalny ślad wyroku – jak szyny wciekłe głęboko w asfalt – tym jesteśmy, myślisz, jadąc po kocich łbach, zerkając na pojedynczych żuli, szukających czegoś w koszach. Wsiadasz z auta, siadasz na murku, patrzysz się w spieniony nurt. Zamknięte urzędy i banki, spuszczone rolety we wszystkich oknach domu handlowego, pięknej, modernistycznej bryły, o której możesz powiedzieć troszkę dobrego, bo przecież właśnie w te okna patrzyłeś trzydzieści lat temu, w nich podglądałeś głowy anonimów, pisałeś o nich, jakby to były świetliki otwierające widok na szczególne nieba, prywatne tajemnice. Każdy był dla ciebie nikim i każdy nosił swój cień jak cały dobytek. Nowa pamięć i nowy kraj – tak jawił ci się ten diagram głów, widocznych w wysokich oknach reprezentacyjnej, miejskiej moderny. Dziś budynek nie ma żadnego znaczenia. Ludzie przy koszach nie mają znaczenia dla ludzi w autach. Wiszą na nich jakieś reklamy. Z płacht poszarpanego prochowca ścieka smar, pchany zacinającym deszczem do ziemi. Siedzisz na murku, nad rzeką, przemieszczasz się po nim. Siedzisz na rękach, włożonych pod pośladki. Trzesz nimi o szorstki beton, ranisz powoli naskórek na śródręczu.

Uśmiechasz się do siebie. Wiesz dobrze, że nie ma czego szukać na zewnątrz. Wracasz do samochodu, gdzie roznoszą się zapachy wielkanocnego śniadania, które wieziesz swoim schorowanym miłościom. Masz sens i cel. Mały i określony, wciąż relacyjny i konieczny. Po skończonej prymarii wylewa się w miasto ludzka strużyna, ze wstrętem omijająca przeszukiwaczy kosztów. Odpalasz silnik, chcesz jakoś zagłuszyć bicie dzwonów. Sięgasz do schowka w poszukiwaniu książki. Zaczynasz czytać, jakbyś znał autora, miejsce i czas akcji. A zaledwie domyślasz się pretekstu i jak zwykle braku konkluzywnej aury.

wybór: Jadwiga Malina

Festiwal Mitosza

część trzecia

Jerzy Jarniewicz

Sąd może orzec przepadek narzędzi

Oh, my God, oh, my God – cytuję listę dialogową z YouPorna w języku oryginału, praktycznie bez skrótów, zostawiając na moment kwestię jej teologicznej wymowy. Mój ostatni sen o tobie mógłby lecieć w prajmtnajmie, przed dwudziestą drugą, a Kościół, gdyby tylko zdjął czarne okulary, nauczyłby się z niego, czym może być dziś religia. I nie, że jest taki ból, który się kończy rozkoszą, albo że taka rozkosz, która szczytuje bólem. Bo śniło mi się, że w książce w jakimś obcym języku, gdzie tyle gęstych znaków nie składa się w żadne słowo, mogę odczytać tylko twoje imię, albo to, co przysniło mi się, że jest twoim imieniem.

z tomu **Puste noce**, Biuro Literackie 2017

.....

Jerzy Jarniewicz | ur. 1958. Poeta, krytyk literacki, tłumacz. Autor dwunastu książek krytycznoliterackich i eseistycznych, m.in. *Larkin. Odsłuchiwanie wierszy* (2006), *Od pieśni do skowytu. Szkice o poetach amerykańskich* (2008), *Heaney. Wiersze pod dotyk* (2012), *Gościnność słowa. Szkice o przekładzie literackim* (2012), *Podśluchy i podglądy* (2015) oraz *All You Need is Love. Sceny z życia kontrkultury* (2016). Opublikował trzynaście zbiorów wierszy, ostatnio *Makijaż* (2009), *Na dzień dzisiejszy i chwilę obecną* (2011), *Woda na Marsie* (2015) i *Puste noce* (2017). Przekładał Jamesa Joyce’a, Philipa Rotha, Johna Banville’a, Raymonda Carvera, Edmunda White’a i wielu innych. Opracował także antologie *Sześć poetek irlandzkich* (2012) oraz *Poetki z wysp* (2015, z Magdą Heydel). Mieszka w Łodzi.

Andrzej Szuba

29 czerwca 2011

jesteś słowem
wymykającym się słowu
które nie istnieje

Postscriptum DXCVIII

słowo którym jesteś
i nasz język
co od ciebie oddala

Postscriptum DCVII

to że cię nie ma
to nie żaden
dowód

.....

Andrzej Szuba | ur. 1949. Poeta, tłumacz poezji amerykańskiej i brytyjskiej, stały współpracownik „Literatury na Świecie”. Pracuje jako lektor języka angielskiego na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Na jego twórczość składa się dziewięć tomików poetyckich, m.in. debiutancki *Karnet na życie* (1976), *Strzępy* (1998) oraz *Postscripta wybrane* (2003). Jeden z najwybitniejszych tłumaczy poezji języka angielskiego na język polski, przełożył kilkadziesiąt książek poetyckich, m.in. Emily Dickinson, Allena Ginsberga, Ezry Pounda, Williama Butlera Yeatsa, Walta Whitmana.

Marcin Baran

Hedlajny dla Adama Dalgliesha

Płoną już, płoną ogniska na dziedzińcu domu arcykapłana.

Drżące cienie liści zmieniają ziemię w roziskrzoną taflę jeziora.

Szczury z gołębiami toczą małe wojny.

I nadciągnie trzecie ja – bezbłędnie ułomne, zwodzone i spłowiące.

Z nim będziesz dojadł resztki, z nim będziesz jeździł poprzecznymi windami, z nim pójdiesz po mokrych liściach przez Planty pod Wawelem, z nim będziesz szczał na umór w samym środku miasta.

Z głosu wygląda ono na kogoś innego, albowiem mówi, ale nie rozumie.

A za dobry wybór i za własne grzechy przyjdzie wam zapłacić cudzym nieszczęściem.

A do krzywdy dorzucona będzie zniewaga.

I rozpoznanie bezbłędnie te pozornie zbędne godziny, kiedy się spotykają dwie nicości.

A nie będzie koordynat, ani metryczek, lecz same przeciwwskazania.

Zaś wspomnienia pozostaną wstydlive i poniżające, a wydarzenia nieważniejsze, a to, co będzie miało się zdarzyć, podszyte będzie trwogą.

Ale ponoć z przemocy popłynąć mogą rozmaite pożytki – jako to: całuny utkane ze złota i krwi, zgrzyt giętych blach, rdzewiejące szkło...

I jeszcze likwidacja towaru: omszałych narzędzi, mechanizmów skazy.

A na granicach skóry trwać będzie niewzruszona wymiana szorstkich podbrzuszy, sepleniących pośladków, skarg, ud oraz blizn.

Utraty i żądze skotłują się, szczepią i skłębiają.

I ujrzysz rozkwit zanikania: przyczajone, niespieszne łzy, niedostatki świeckiej ceremonii pogrzebowej.

Ktoś zaskowycze: *Zlituj się, zmiłuj!*

A ty spróbujesz odetchnąć i wsłuchać się w tęskny szept: *Cisia Wola – topola, jemiola, cedr,
/ Przeginia Duchowna – modrzewie i cyprysy!*

Ale uważaj, bowiem, niestety, może zdarzyć się cud.

Poprzez mroczne tapety, na areale dymu, niczym gwóźdź programu może przybyć elektryczny pasterz bez języka.

I pocnie budować rzeczywistość oszczędnymi środkami – bo proste rozwiązania są równie kuszące, jak chwile słabości; tem bardziej, że słowo „popłoch” jest tu praktycznie zapoznane.

Niemniej wciąż jednak będą także (*Miejmy nadzieję! Miejmy nadzieję!*): atlas ryb lądowych, zdjęcia ze słów, szwadrony poezji, etui na wszystko – po prostu „Cóż pięknego i niedrogo”.

Co prawda nie będzie to praca naszych marzeń w ustabilizowanym regionie, a na dodatek potem trzeba będzie robić temu wszystkiemu aktualizującą korektę w kamieniu, ale za to już potem – potem, to już tylko pierogi z jelenia i doo wop, bezwzględny a niespodziewany doo wop na okrągło (niczym silny, ciepły i miękki wiatr listopadową nocą).

Kto wie, może nawet królowa wyjmie z fałd swojego płaszcza małą flaszeczkę?!

Aż inny anioł odcisnie pieczęć na naszych czołach.

.....

Marcin Baran | ur. 1963. Poeta, eseista, dziennikarz. W latach 80. i 90. związany z pismem „bruLion”, później – w latach 2000-2003 – współpracował z tygodnikiem „Przekrój”. Były pracownik Instytutu Książki oraz TVP Kultura. Dyrektor programowy Bruno Schulz Festiwal we Wrocławiu. Autor dwunastu tomów poetyckich, w tym debiutanckiego *Pomieszczenia* (1990), *Sosnowiec jest jak kobieta* (1992), *Gnijącej wiosenki* (2003). W 2013 r. w tomie *Zebrane* ukazały się jego wszystkie utwory poetyckie. Nominowany do Nagrody Nike za tom *Zabiegi miłosne*. W 2013 roku został nagrodzony Wrocławską Nagrodą Poetycką Silesius za książkę poetycką *Niemal całkowita utrata płynności*. Z Marcinem Sendecim i Marcinem Świetlickim współredagował *Długie pożegnania. Tribute to Raymond Chandler i Żegnaj, laleczko. Wiersze noir*.

Ilona Witkowska

świnie

o mój panie Jezu nabity na patyk –
owocu okrutnych lecz dziecinnych zabaw
my się teraz tutaj bawimy inaczej

równanie z trzema wiadomymi

majowe słońce piekło mnie w głowę

(choć odruchowo użyłam formy nas,
byłam wtedy sama)

(odruchowo używając formy nas,
kogo miałam na myśli?)

Ilona Witkowska | ur. 1987. Autorka książek *splendida realta* (WBPICAK 2012) i *Lucyfer zwycięża* (Korporacja Ha!art 2017); laureatka Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius w kategorii debiut roku oraz kulturalnej nagrody „Gazety Wyborczej” WARTO 2018 w kategorii literatura; ukończyła studia kulturoznawcze na Uniwersytecie Wrocławskim; mieszka w Sokołowsku.

Ze Zbigniewem Dmitrocą
rozmawia Aleksandra Wieczorkiewicz

Tłumacz musi być omnibusem

Zbigniew Dmitroca | ur. 1962. Tłumacz (m.in. Anny Achmatowej, Aleksandra Błoka, Josifa Brodskiego, Mariny Cwietajewej, Siergieja Jesienina, Osipa Mandelsztama), poeta, bajkopisarz, dramaturg. Przez wiele lat związany z Polskim Radiem, gdzie współtworzył m.in. audycje dla dzieci. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Aleksandra Wieczorkiewicz: „Jestże się poetą, czyli raczej tylko bywa się?” – pytał w jednym z wierszy Cyprian Kamil Norwid. W Pańskich notach biograficznych odnajdujemy pokaźny spis „tożsamości artystycznych”: poeta, bajkopisarz, tłumacz literatury rosyjskiej, redaktor, satyryk, dramaturg, twórca, autor i aktor w Jednoosobowej Trupie Walizkowej... Kim bywa Pan najczęściej i najchętniej?

Zbigniew Dmitroca: Wszystko, czym się zajmuję, sprawia mi jakąś satysfakcję, czasem chwilową, czasem nieco dłuższą, dlatego w moim osobistym słowniku nie ma słowa „chałtura”. Do wszystkiego, co robię, podchodzę jednakowo poważnie, nawet jeśli forma jest zabawowa. Jednakowo trudne jest napisanie wierszyka, który jest adresowany do maleńkich dzieci, szczególnie gdy temat narzuca ilustracja, jak i tłumaczenie klasycznego wiersza rymowanego, bo w obydwu przypadkach autor i tłumacz mają bardzo ograniczone pole manewru. Jak wynika z bibliografii, najczęściej bywam poetą dziecięcym, ale najwięcej czasu pochłaniają przekłady. Pomędzy tymi głównymi zajęciami zawodowego literata znajdują czas na drobne formy absurdałne i satyryczne, limeryki, epitafia,

fraszki. Był też czas, gdy na łamach „Przekroju” uprawiałem satyrę polityczną. Myślę, że to się wzajemnie uzupełnia. Dlatego nie wyobrażam sobie uprawiania jednej formy literackiej. Być może uprawianie jednego gatunku prowadzi do mistrzostwa, ale różnorodność jest płodozmianem, który zapobiega wyjąłowieniu. No i nie nudzi.

Pozostanmy jeszcze na chwilę przy Pańskiej biografii, która w swoich początkach przypomina „podróż młodego artysty do szkół”: z rodzinnego Niewirkowa wyruszył Pan do zamojskiego liceum, potem na studia polonistyczne – najpierw do Lublina, potem Poznania, a także Wrocławia, gdzie studiował Pan bibliotekoznawstwo, by przez Poznań i Trójmiasto powrócić na rodzinną Lubelszczyznę. Czy to niespokojny duch artysty gnał Pana po świecie?

Bogiem a prawdą, nie jestem kolekcjonerem wspomnień i trochę już o tej młodości górnej i chmurnej zapomniałem. To było trochę jak w filmie „Po godzinach”. Taka prawie ośmioletnia sekwencja domina, którą zakończył nieplanowany powrót na Lubelszczyznę. Czy byłbym niespokojnym duchem? Pewnie w jakimś stopniu tak, na szczęście nie był to duch autodestrukcji. Myślę, że szczególnie wiele zawdzięczał czasowi poznańskiemu. Moje pierwsze profesjonalne przekłady powstały około 1986 r. w akademiku

Zbyszko. Bo, co tu kryć, w czasie studiów bardziej zajmowało mnie tłumaczenie Jesienina, Wysockiego i Achmatowej niż zajęcia uniwersyteckie. Generalnie dużo w tamtym czasie podróżowałem po Polsce, uwielbiałem poznawać nowych ludzi i nowe miejsca. W końcu jednak *homo viator* przegrał z *homo domator*, z korzyścią dla moich przekładów.

W którym momencie na tych ścieżkach biograficznych pojawiły się po raz pierwszy tropy poezji i poetów rosyjskich? Co pociągało Pana w tym języku wtedy, a co fascynuje dzisiaj?

Pierwszy kontakt to były lekcje języka rosyjskiego w szkole podstawowej. Pierwsza próba przekładu to siódma lub ósma klasa podstawówki. To był wczesny wiersz Jesienina. Fascynacja poezją rosyjską zaczęła się jednak trochę później. Wcześniej było zauroczenie Heinem i... Cendrarsem. Następne próby tłumaczenia podjąłem chyba w drugiej klasie liceum plastycznego. To był Puszkina, do którego nigdy potem nie wróciłem, i Błok, do którego powróciłem dopiero po niemal trzydziestu latach, a teraz właśnie skończyłem przekład autorskiego wyboru jego wierszy. Zaskoczę panią, ale jednocześnie z próbami przekładów z rosyjskiego, próbowałem tłumaczyć poetów francuskich, Verlaine’a i Apollinaire’a. Wtedy podobają mi się rozlewność i śpiewność języka rosyjskiego. Ale dzięki Wysockiemu, Cwietajewej



AGATA DEBICKA 2018

i Brodskiemu dostrzegłem też jego dynamiczność i niezwykle bogate słownictwo.

Danuta Wawiłow pisała, że praca nad przekładami z literatury rosyjskiej i angielskiej była dla niej „dobrą szkołą”, „nauką warsztatu pisarskiego”. Jak było w Pańskim przypadku – poeta uczył się od tłumacza czy tłumacz od poety?

Myszę, że mój warsztat dużo zawdzięcza tłumaczeniu poezji, bo prozę tłumaczyłem do tej pory sporadycznie i tylko małe formy. To na przekładach nauczyłem się „nie łać wody”. Nauczyłem się też rymu dokładnego, który do tej pory króluje w poezji rosyjskiej, choć poeci współcześni stosują też asonanse i konsonanse, a nierzadko piszą również wierszem wolnym. Jako tłumacz najlepiej czuję się, gdy tłumaczę regularny rymowany sylabotonik. Co ciekawe, w moich wierszach lirycznych na ogół nie posługuję się wierszem metrycznym i rymowanym.

Czy tłumaczenia literackiego można się nauczyć? Tłumacz potrzebuje Mistrza (Mistrzów)?

Jako tłumacz jestem właściwie samoukiem. Co prawda w wieku dwudziestu czterech lat skontaktowałem się z Sewerynem Pollakiem, którego nawet nazywałem swoim mistrzem, ale dotarłem do niego, mając już na koncie pierwsze przekłady profesjonalne. Przy pierwszym spotkaniu pan Pollak powiedział, zdecydowanie na wyrost: „Czego ja mogę pana nauczyć? Pan już wszystko wie”. Oczywiście nie wiedziałem. Przekłady raz mi się udawały, raz nie. Myszę, że gdybym wcześniej zetknął się z kimś takim jak Seweryn Pollak, szybciej bym zaczął tłumaczyć profesjonalnie. Teraz przekłady ewidentnie nieudane zdarzają mi się rzadko, co nie znaczy, że jestem w stanie przełożyć dowolny wiersz. Niby teoretycznie tak, ale są utwory, które mimo najszczerzych chęci opierają się przekładowi. Inna sprawa, że należę do tłumaczy, którzy raczej ściśle trzymają się oryginału, a to bardzo utrudnia proces przekładu. Na ogół nie wprowadzam do tłumaczenia rzeczy, których w oryginalnym wierszu nie ma, a jeśli już jestem do tego zmuszony przez formę wiersza, są to słowa „moralnie obojętne”. Tego

nauczył mnie właśnie Seweryn Pollak. Generalnie dobrze na początku trafić na kogoś, kto zechce się podzielić swoim doświadczeniem.

„Adamowicz, Aleksiejew, Ajgi, Błok i jeszcze Brodski, [...] Buricz, Charms, i sam Chlebnikow, Fet, Jesienin i Gumilow, [...] Jest i Kuzmin, i Kuprianow, Lermontow i Mandelsztam, [...] Mets, Pasternak, Pomierancew i Wołoszyn, i Wysocki...” – pisał Pan w *Wierszu o poetach rosyjskich i ich tłumaczu*. Z nazwisk przekładanych przez Pana autorów można by z powodzeniem ułożyć cały alfabet. Czy istnieje jakiś klucz doboru twórców, którzy trafiają na translatorski warsztat Zbigniewa Dmitrocy?

Przez długi czas jedynym kluczem był mój gust literacki. A nie był on chyba zły, skoro przez nikogo niezachęcany już jako licealista tłumaczyłem Jesienina, Achmatową, Pasternaka. Inna sprawa, że początkowo o wyborze w dużej mierze decydowała dostępność lub raczej niedostępność tekstów. Czasem kupowałem jakąś książkę tylko dlatego, że były w niej dwa wiersze Achmatowej lub Pasternaka. Teraz nie ma z tym najmniejszego problemu, cała klasyka rosyjska jest dostępna w Internecie. Wracając jednak do wyborów. Lubię rosyjską poezję tzw. „srebrnego wieku”. Najbliżsi przez długi czas byli mi poeci z kręgu akmeistów, niekoniecznie do tej grupy należący. Z czasem zaczęły się pojawiać propozycje tłumaczenia innych autorów. W ten sposób zostałem np. tłumaczem Brodskiego czy zaprzyjaźnionego z nim litewskiego poety Venclovy, którego tłumaczyłem z języka rosyjskiego, z przygotowywanych przez niego „rybek”. Byli i są też autorzy, którzy sami zwrócili się do mnie o tłumaczenie ich wierszy. Myszę, że do tej pory uzbierało się koło czterdziestu autorów. Oczywiście są tacy, jak Achmatowa czy Cwietajewa, których przełożyłem ponad sto wierszy, a są i tacy, których tłumaczyłem tylko raz. W sumie przełożyłem ponad tysiąc sześćset wierszy, od monostychu Buricza po czterysta linijek poematu polsko-rosyjskiego pisarza i poety Leona/Lwa Gomolickiego.

„Nie wiem, czemu tylu panów, A tak mało czemuś dam?” – to z dalszej części *Wiersza o poetach rosyjskich...* A jednak,

poetki również pojawiają się w tym długim wyliczeniu, bo przecież słynie Pan jako tłumacz Anny Achmatowej i Mariny Cwietajewej, przekładał Pan także utwory Natalii Astafiewej, a ostatnio choćby Marii Stiepanowej – jej wiersze znalazły się w wydanej antologii *Radio Swoboda*. Czy mógłby Pan powiedzieć coś o tłumaczeniu tych poetek?

Pierwsza była Achmatowa, którą później wydawałem kilkakrotnie, a dwujęzyczny tom *Milczenie było moim domem* ma zostać w tym roku wznowiony. To jej przekładami debiutowałem jako tłumacz „książkowy” w dwujęzycznym tomie *Wiersze*, który miał się ukazać w setną rocznicę urodzin, czyli w 1989 r., wyszedł jednak z rocznym poślizgiem. Odkryłem ją chyba w 1980 lub 1981 r. Niewykluczone, że na jej nazwisko zwróciłem uwagę dzięki tłumaczonemu przez Czechowicza wierszowi Błoka *Do Anny Achmatowej*. Oczywiście najpierw to były przekłady. Tak czy owak, jej wiersze zrobiły na mnie tak silne wrażenie, że gdy tylko udało mi się dotrzeć do kilku jej oryginałów, zacząłem je tłumaczyć. Do niektórych z tłumaczonych wówczas wierszy wróciłem po latach i przełożyłem na nowo. Cwietajewą po raz pierwszy próbowałem tłumaczyć w 1983 r. i był to falstart. Nie wiem, dlaczego wróciłem do niej już na studiach, w Poznaniu. Wtedy powstały dwa udane przekłady, jedno z pierwszych, które przetrwały próbę czasu. Oba zamieściłem w wydanej w ubiegłym roku książce *Hardość i słabość*. Ale Cwietajewa jest dużo trudniejsza do tłumaczenia i w pewnym sensie dorastałem do niej przez całe życie. Niektóre jej wiersze ze względu na formę uważam za nieprzekładalne. Są tak mocno osadzone w języku rosyjskim, że w przekładzie niewiele by z oryginału zostało. A nie widzę powodu, żeby polskiemu czytelnikowi przedstawiać dalekie echo oryginału, udając, że to „produkt pełnowartościowy”. Ale udało mi się przełożyć kilka wierszy, o których długo sądziłem, że są nie do ugryzienia. Tak było z trzecim wierszem z tryptyku *Magdalena*, do którego podchodziłem wielokrotnie, chyba z sześć lat, aż w końcu przekład powstał bodaj w godzinę. Z tłumaczonych poetów od Cwietajewej dla tłumacza jest trudniejszy chyba tylko Brodski.

Jeśli chodzi o Astafiewą, napisał do mnie Władimir Britaniszski, prywatnie mąż poetki. A dowiedział się o moim istnieniu dzięki recenzji z ich wspólnej książki *Dwugłos*. Nie ukrywam, że jest to poetka jak na mój gust zbyt staromodna, ale poczułem się zobowiązany, bo nie dość, że to czystej krwi Polka, to na dodatek zasłużona tłumaczka polskiej poezji. Wraz z nieżyjącym już Władimirem Britaniszskim, poetą, eseistą i prozaikiem, przełożyła i opublikowała w rozmaitych książkach setki polskich wierszy, a przez polskich tłumaczy była traktowana nieco po macoszemu. A skoro tłumaczyłem żonę, to i męża nie mogłem pominąć, tym bardziej że jego wiersze były mi bliższe. Jak widać, nie zawsze się tłumaczy to, co się szczególnie lubi. Choć ja mam to szczęście, że na ogół tłumaczę autorów, których wybieram sam. Z poezją Marii Stiepanowej, należącej do nielicznych autorów młodszych ode mnie, zetknąłem się dzięki współpracy z Biurem Literackim, które zaproponowało mi stworzenie antologii współczesnej poezji rosyjskiej, ale zaangażowanej. To jedna z trzech autorek tej antologii. Miała być czwarta, rosyjska celebrytka literacka, ale po przełożeniu ośmiu jej wierszy uznałem, że to twórczość nie najwyższych lotów i zastąpiłem ją autorem, którego wiersze tłumaczyłem już wcześniej. A wracając do Astafiewej i Britaniszskiego. Współpraca z nimi była bardzo niekiedy uciążliwa. Często wtrącali się do przekładów, proponując rozwiązania dla mnie nie do zaakceptowania. Dochodziło nawet do sytuacji, że wydawało im się, że znają lepiej język polski niż ja. Między innymi dlatego wolę tłumaczyć klasyków.

Gdybym miała szukać punktu wspólnego dla przekładanych przez Pana poetów i poetek, powiedziałabym, że jest to przede wszystkim meliczność, która szczególnie ujawnia się w żywiole poetyckim – jak choćby w wierszu Gumilowa *Pijany derwisz*, w którym wyczuwamy lekko rozchwiany rytm, kołysanie, swego rodzaju piosenkowość. Jak to jest z poetycką muzycznością w tłumaczeniu?

Na ogół starannie odwzorowuję rytm oryginału. Nieco swobodniej podchodzę

do metrum. Nie staram się za wszelką cenę odwzorowywać rosyjskiego jambu, bo w języku polskim właściwie czysty tok jambiczny niemal nie występuje. Po średniowiecu najczęściej jamb się rozluźnia, zamieniając się w amfibrach. Zresztą i pierwsza część wersu rzadko bywa czystym jambem, często jest to taki „trochejamb”, czyli trochej i jamb. Taka jest uroda języka polskiego i nie ma powodu, żeby zawracać kijem Wisłę. Poza tym zawsze czytam przekłady na głos i jeśli coś nie brzmi dobrze, zazwyczaj skutecznie ten dysonans eliminuję. Swoją drogą, niekiedy, studiując przekłady Stanisława Barańczaka, odnosiłem wrażenie, że nie czytał ich na głos. Czytane po cichu były metrycznie idealne, czytane na głos ledwie mieściły się w ustach.

Innym miejscem wspólnym mogłaby być Historia, wdzierająca się często w poezję rosyjską, nie tylko tę z początków XX wieku. W wierszach Achmatowej pojawia się „Rosja ciemna” [**Gdy pośród samobójczej trwogi*], „krwawy strzelecki księżyc” w Moskwie (*Stance*), „ochrypły strach” (*Pamięci Sergiusza Jesienina*)...**

Lubię lirykę obywatelską Achmatowej. Co prawda dla polskiego czytelnika brzmi ona dziś zbyt podniosłe, ale mnie ta podniosłość nie przeszkadza. Tłumaczyłem także „historyczne” wiersze Cwietajewej i przerażające wiersze Wołoszyna: *Czerwona Wielkanoc*, *Terror*, *Rzeź*, *Głód*, które są niemal reporterskim zapisem bestialstw, których bolszewicy dopuszczali się na Krymie w 1920 r. A wiersz *Głód* jest bodaj pierwszym utworem o porewolucyjnym kanibalizmie, o handlu człowieczyną, czyli ludzkim mięsem. O porewolucyjnym głodzie pisał również Chlebnikow, którego kilka wierszy przełożyłem w związku z pracą nad *Antologią rosyjskiego wiersza wolnego*, w tym przypadku jako formy, która jednak nie zainteresowała żadnego wydawcy. Przełożyłem też trochę „historycznych” wierszy Astafiewej i Britaniszskiego.

Ciekawe, że wielu z tłumaczonych przez Pana poetów i poetek żyło w podobnym okresie historyczno-literackim: część należała do grupy akmeistów, którą w 1911 r. założył Gumilow wraz z Gorodeckim. W wielu wypadkach

było to jedno środowisko artystyczne, w którym rozwijały się nie tylko związki poetyckie, ale także przyjaźnie, romanse, miłości: Anna Gorienko, znana później jako Achmatowa, wyszła za mąż za Nikołaja Gumilowa, słynny romans Mariny Cwietajewej z Sofią Parnok zaczął się w jednym z moskiewskich salonów, wśród „zapachu *White Rose* i herbaty”. Czy „rosyjska bohema” początku XX w. oraz wszystkie te „sploty biograficzne” są dla Pana intrygujące i inspirujące?

Tych powiązań wśród tłumaczonych przeze mnie poetów jest znacznie więcej. Wołoszyn przyjaźnił się z Cwietajewą, a pojedynkował z Gumilowem. Z kolei pierwszy tomik Achmatowej *Wieczór* komentarzem opatrzył w Polsce niemal nieznany, Michaił Kuzmin, poeta wówczas w Rosji popularny, pierwszy, który nie ukrywał swojego homoseksualizmu. Od wielu lat mam gotowy spory wybór jego wierszy, ale jak dotąd też nie znalazł wydawcy, choć to poeta stawiany obecnie w Rosji obok Achmatowej czy Cwietajewej. Oczywiście muszę znać realia epoki, w których tworzyli „moi poeci”, ale nie czytam ich twórczości przez biografie. W pracy nad kolejnymi tomikami najmniej bawi mnie pisanie noty lub postowia czy, nie daj Bóg, wstępu. Ale mus to mus i szlus.

Tłumaczy Pan jednak nie tylko klasyków XIX i XX-wiecznych; trzy lata temu Biuro Literackie wydało antologię *Radio Swoboda. Współczesna literatura rosyjska*, której jest Pan w całości autorem. Dlaczego „młodzi” i dlaczego ci, a nie inni? Czy dzisiejsza twórczość rosyjska mówi nam coś nowego o świecie i poezji, czy jest nam potrzebna?

Znajomość innych literatur zawsze będzie potrzebna, choćby tylko po to, żeby się przekonać, że nie należy wobec nich mieć kompleksów. Poezja rosyjska w znacznie silniejszym stopniu niż polska była indoktrynowana i podlegała surowej cenzurze ideologicznej. Np. wiersz wolny jako forma był przez lata niemal zakazany. Wiersze Achmatowej i wielu innych poetów ukazywały się mocno poszlachtowane przez cenzora. Niektóre ujrzały światło dzienne dopiero podczas pieriestrojki. Zdjęcie cenzury spowodowało, że niektórzy współcześni

poeci napawają się językiem ulicy, nie stronią od wulgaryzmów, czasem nawet nimi epatując. Niektórzy piszą wręcz żargonem, który jest mieszanką języka wojskowego z więziennym i łagrowym. Wreszcie też zadowolił się w rosyjskiej poezji wiersz wolny, choć nadal królują rozmaite odmiany wiersza tradycyjnego. Trudno to się tłumaczy, dlatego wolę poezję klarowniejszą. Antologia *Radio Swoboda* jest antologią zrobioną na zamówienie wydawnictwa. Autorów zaproponował rosyjski Instytut Książki, pewnie dlatego są to poeci moskiewscy. Ale do tej grupy dodałem dwu „swoich” poetów starszego pokolenia, Pomierancewa i Kuprijanowa, których tłumaczyłem już wcześniej. Pamiętajmy, że Rosja to ponad sto milionów ludzi, więc i poetów jest tam co niemiara. Ponadto wydawca chciał, żeby to była antologia zaangażowana i starałem się to zaangażowanie jak najszerzej zaprezentować.

Wśród poetów z *Radia Swobody* pojawiają się dwie poetki: Jelena Fanajtowa i Maria Stiepanowa. Szczególnie ciekawa wydaje mi się ta ostatnia. Jej wiersze są z jednej strony „organiczne”, nasycone naturą ([*Bzem się objadam o bladym świtaniu*], [*To drzewo tak się do mnie garnie*]), z drugiej zanurzają się w kulturze, historii, są pełne napięcia i niepokoju... Czy jako ich tłumacz – a więc odbiorca „czytający intensywnie” – zgodziłby się Pan z taką intuicją interpretacyjną?

Gdyby to była „typowa” antologia, wybór utworów byłby bez wątpienia inny. Na pewno więcej byłoby w niej czystej liryki, bo - jak wiadomo - utwory mocno osadzone w realiach danego kraju są niekiedy dla czytelnika z zewnątrz niemal nieczytelne. Próbowałem tłumaczyć niektóre takie wiersze trzeciej z autorek, Linor Goralik, ale nie byłem w stanie oddać rozmaitych aluzji i kryptocytatów, a bez tego byłyby one wydmuszką. W tę stronę ewoluowała też poezja Stiepanowej. Pracuję właśnie nad jej cyklopoematem *Wojna bestii i zwierząt*, który tłumaczę na Festiwal Miłosza. Kto w Polsce odczyta nawiązanie do *Słowa o wyprawie Igora*? Albo do postaci z anonimowego wierszyka? Takie rzeczy to dla tłumacza istna z mora. Cieszę się, że zwróciła Pani uwagę na wiersze

wczesne, których sama autorka chyba trochę nie docenia, ponieważ proponowała mi głównie utwory późniejsze, mocno osadzone w kulturze i historii.

W tomikach Pańskich tłumaczeń niemal zawsze pojawiają się wstępy, postowia bądź noty biograficzne autorstwa Zbigniewa Dmitrocy. Czy ta „translatorska metatekstowość”, opowiadająca o życiu, twórczości i kontekstach, jest jakoś wpisana w rolę tłumacza, jest jego istotnym zadaniem?

Takie teksty są często wymogiem wydawcy. Nie lubię pisać o poezji, przez całe życie napisałem kilka recenzji, ostatnią chyba z dziesięć lat temu. Ale przymuszony piszę wstępy i postowia, staram się jednak ograniczać do faktografii, bo nie jestem ani historykiem, ani teoretykiem literatury. Mój żywioł to przekład. Po trzydziestu latach coś na ten temat wiem, choć też nie lubię teoretyzować. A przekład poetycki jest dla mnie osobnym gatunkiem literackim. I w pełni zgadzam się ze Stanisławem Barańczakiem, że przekład klasycznego wiersza rymowanego jest najtrudniejszy z form literackich.

Jakie inne zadania powinien przyjmować na siebie tłumacz? Ma być ambasadorem dla nie(rozpo)znanych, odnowicielem dla zapomnianych (nota bene Pańskie przekłady Władysława Chodasiewicza, *Powrót Orfeusza*, wyszły właśnie w serii Biblioteki Zapomnianych Poetów), pośrednikiem dla niezrozumianych?

Tłumacz musi być omnibusem. Im wcześniej to zrozumie i dorośnie do tego zadania, tym lepiej dla tłumaczonych przez niego autorów. Ale to niewdzięczna praca, zwłaszcza gdy wydawane książki są recenzowane z łaski, a wydawcy oszczędzają na promocji. Na szczęście są jeszcze czytelnicy, których entuzjazm bywa nagrodą za naprawdę ogromny wysiłek, jaki trzeba włożyć w przekład wielu wierszy. Ale przed tym, że to niewdzięczny i rzadko dający satysfakcję zawód, przestrzegam mnie już Seweryn Pollak. Nie wiedziałem, że aż tak niewdzięczny. Dlatego od pewnego czasu powściągam swoje translatorskie rozpasanie. Tak naprawdę przy dzisiejszych

nakładach książek i honorariach jest to praca dla maniaków lub bogatych rentierów, do których niestety nie należę. Poza tym gdybym nie pisał dla dzieci, nie mógłbym poświęcać czasu na tłumaczenie poezji.

Tłumaczy Pan również poetów polskich, choć z języka rosyjskiego: to *casus* Natalii Astafiewej i wierszy rosyjskich Bolesława Leśmiana. Wiersze tego ostatniego – w Pańskim przekładzie i po raz pierwszy w całości – ukazały się w zeszłym roku pod tytułem *Księżycowy żebak i inne wiersze rosyjskie*. Skąd narodził się pomysł tłumaczenia Leśmiana, którego Stanisław Barańczak nazywa przecież „koszmarem tłumacza”?

Wielu tłumaczonych przeze mnie autorów ma polskie korzenie. Ale – z wyjątkiem Leśmiana – to poeci rosyjscy, nawet jeśli, jak Astafiewa, uprawiali też twórczość w języku polskim. Chodasiewicz miał ojca Polaka, a matkę litewską Żydówkę. Ojca Polaka miał też akmeista Adamowicz. Polakiem po matce był mąż Astafiewej, Britaniszski. Ojca Polaka miał Arsenij Tarkowski, ojciec sławnego reżysera. Ale to nie biografie decydują o moich wyborach, choć sentyment niekiedy też odgrywa jakąś rolę. Jeśli chodzi o Leśmiana, to zostałem do niego namówiony. Uznałem, że jako przelotny zamościanin jestem w pewien sposób do tego predestynowany i zobowiązany. No i w końcu powstał przekład całości jego rosyjskich wierszy. Wcześniejsze przekłady Pankowskiego pozostawiają wiele do życzenia. Przekłady Ficowskiego są właściwie swobodnymi parafrazami, zresztą on sam pisze w postwiiu, że to są nie tyle tłumaczenia, ile spolszczenia. Faktycznie stanowią raczej imitacje na wzór Leśmiana z okresu środkowego, a więc takiego, którym poeta piszący te wiersze jeszcze nie był. Natomiast kilka przekładów pióra Trznadla należy potraktować jako wypadek przy pracy. Ale książka przeszła niemal bez echa. Trzy recenzje w pismach, i to w roku jubileuszowym, to po prostu śmieszne.

Czy Leśmian po rosyjsku jest tym samym Leśmianem, którego znamy jako jednego z najwybitniejszych polskich poetów? Wielu badaczy i translatorów twierdzi, że tłumaczenie jego wierszy

to „tłumaczenie niemożliwe” ze względu na idiosynkratyczny język, mnogość „leśmianizmów”, precyzyjny rytm i rym, a także kulturowe zakorzenienie poezji w słowiańszczyźnie. Czy takie trudności napotyka również tłumacz wierszy rosyjskich autora *Napoju cienistego*?

Rosyjskie wiersze Leśmiana powstały w latach 1905-1906. Nie ma w nich tego, z czym kojarzy nam się Leśmian. Niektórzy badacze zupełnie je lekceważą. Ja znałem jednak, że Leśmian, to Leśmian. Skoro są wydawane jego juvenilia i inedita polskie, to powinny zaistnieć też wiersze napisane po rosyjsku. Niektóre z nich bardzo mi się podobają, inne są tylko wierszami z epoki. Rosyjskie neologizmy są zupełnie inne niż polskie, niektórych nie dało się przetłumaczyć, bo powstawałyby dziwolągi typu „gwiazdoczcziciel”, podczas gdy rosyjski *ziewzodopokłonnik* brzmi naturalnie i siedzi w języku. Jak zwykle starałem się zachować maksymalną wierność, choć w niektórych przekładach pozwoliłem sobie na nieco większą swobodę.

W jednym z wywiadów mówił Pan, że „każdy język ma swoje prawa”. Jak poeci rosyjscy (lub polscy, piszący po rosyjsku) „czują się” w polszczyźnie? Czy w spotkaniu tych dwóch języków czekają na tłumacza siła „falszywych przyjaciół” (składniowych, leksykalnych, frazeologicznych), czy droga jest raczej prosta i bez pułapek?

Błędy zdarzają się każdemu. Ja też ich nie uniknąłem. Czasem to zwykła nieuwaga, czasem słowo bardzo podobne do innego, a znaczące coś zupełnie odmiennego. Kontekst nie zawsze jest strażnikiem sensu. Stosuję zasadę sprawdzania na wszelki wypadek. Korzystam też z podpowiedzi rosyjskojęzycznych znajomych, ale i im zdarzały się podpowiedzi mylące. Trzeba być czujnym i mieć do siebie dystans, gdy oko się omsknie, a ucho nie usłyszysz. Znajomym rosyjskim poetom moje przekłady się podobają, a niektórzy z nich znają język polski, np. Igor Biełow sam jest tłumaczem z dwu języków. Ale nie zawsze dowierzam ich pochwałom, bo polskie ucho słyszy inaczej niż rosyjskie, poza tym rosyjski przekład

poetycki jest inny niż polski, często bliski niemal parafrazy. Ale oczywiście każdy lubi słuchać pochwał.

Czy istnieje nieprzekładalność? A może wiersze, które „nie poddają się przekładowi”, jak pisał Tuwim w przedmowie do *Lutni* Puszkina? Jest Pan tłumaczem przeszło półtora tysiąca wierszy – czy były wśród nich takie, które na pierwszy rzut oka wydawały się niemożliwe do oddania w polszczyźnie? A może ta imponująca liczba byłaby jeszcze większa, gdyby nie zjawisko nieprzekładalności? Czy zdarzyło się Panu wywiesić białą flagę na murach translatorskich zmagani?

Uważam, że nieprzekładalność istnieje. Często forma oryginału jest tak silnie związana ze specyfiką języka, że nie da się jej odwzorować w innym języku, a jeśli nawet da się, to straty są tak wielkie, że z szacunku dla utworu nie należy tego robić. Oczywiście Anglosasi nie mają z tym problemu. Tłumaczą Cwietajewą na prozę, po której nie sposób poznać, jaka to wielka poetka. Pisał o tym kiedyś Tomas Venclova. Z kolei Isaiah Berlin zastanawiał się, jak to się stało, że Brodski, którego czytał też po rosyjsku, dostał Nagrodę Nobla, a przecież angielskie przekłady jego wierszy trącą wręcz grafomanią.

Litewski nokturn: dla Tomasza Venclovy Josifa Brodskiego (który na język polski został przetłumaczony po raz pierwszy właśnie przez Pana) powstawał podobno trzynastą lat. Czy istnieją w Pańskiej karierze przekłady, które dojrzewały latami? (Myślę tu szczególnie o pięknym wierszu *Kroki Komandora Aleksandra Błoka*)

Akurat *Kroki Komandora* tylko czekały czterdzieści lat na przekład, a powstały w trzech podejściach, nie licząc falstartu po zrobieniu „rybki”, od której zawsze zaczynam przekład poetycki. Jesieninowski *List do matki* miał wiele grafomańskich wersji, zanim powstała ta nadająca się do druku. Tłumaczyłem go chyba od 1983 r. A pięć lat temu znowu wróciłem do tego przekładu i powstała wersja, która będzie chyba ostatnią. Tak samo długo pracowałem nad niektórymi przekładami z Achmatowej,

niekiedy, koniec końców, je zarzucając, uznawszy za nieudane. Do wczesnego wiersza Pasternaka powróciłem po blisko trzydziestu latach, przekład powstał i był publikowany w „Zeszytach Literackich”, ale dalej nie daje mi spokoju i na pewno do niego wrócę. Inny wiersz Pasternaka czekał z kolej chyba z sześć lat. Ale sam przekład powstał potem w pół godziny i jest to jeden z moich najlepszych. Przez całe życie nawet nie marzyłem o przełożeniu Błokowskich *Scytów*, bo tłumaczenie Jastruna wydawało mi się niedoścignione, ale gdy się przyrzętałem w końcu oryginałowi, stwierdziłem, że jest miejsce na nowy przekład i choć to wiersz długi, liczący dziewiętnaście zwrotek, przełożyłem go chyba w czterech podejściach i uważam, że jest trafiony.

W przedmowie do *Roku myśliwego* Czesław Miłosz pisał o swego rodzaju „polowaniu poezją”: „moją zwierzyną był cały świat widzialny i życie poświęciłem próbom uchwycenia go słowami czy też trafienia go słowami”. Sądzę, że tę myśl można z powodzeniem odnieść do tłumaczenia poezji, które również stara się celnie trafić słowem: może nie bezpośrednio „świat widzialny”, ale inne słowo, które ten świat w sobie zawiera. Na kogo teraz prowadzi Pan translatorskie łowy?

Jak już wspominałem, zamierzam nieco ograniczyć swoje translatorskie zapędy. Skończyłem właśnie nieplanowany autorski tomik Błoka. Teraz tłumaczę Marię Stiepanową. Myślę, że powrócę do Jesienina, żeby wydać nieduży wybór jego wierszy. Mam też nadzieję, że w końcu znajdzie wydawcę czekający już jedenasty rok pierwszy polski wybór wierszy Michaiła Kuzmina, poety wybitnego, a w Polsce niemal nieznanego. Poza tym przez to translatorskie rozpamiętanie niemal przestałem pisać własne wiersze, a garść z nich ukazała się nawet w obcojęzycznych antologiach, a to znaczy, że są warte i mojej uwagi.

Aleksandra Wieczorkiewicz | tłumaczka,
doktorantka na Wydziale Filologii Polskiej
i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama
Mickiewicza w Poznaniu.

Umberto Eco Co różni poezję od prozy?

Genuieńczycy, podobnie jak Piemontczycy (zwłaszcza my, Piemontczycy z Alessandrii), to ludzie trzeźwo myślący i sądzą, że ze wszystkich definicji poezji i prozy zawsze wybiorą te najbardziej rzeczowe. Na przykład: poezja to coś, co przechodzi do nowej linii, mimo że nie kończy się miejsce, a proza to coś, co wypełnia całą szerokość strony, aż po marginesy, ponieważ papier ma swoją cenę, a jego marnowanie jest nieekologiczne.

(Fragment pochodzi z odczytu wygłoszonego podczas

X. Dni Filologii Uniwersytetu Genuńskiego

Cytat za: U. Eco, *Znak poezji i znak prozy* [w:]

Po drugiej stronie lustra i inne eseje, przeł. Joanna Wajs, s. 326)



Makis Tsitas
 przeł. Michał Bzinkowski

Bóg mi świadkiem

(fragment)

Makis Tsitas | ur. 1971. Grecki prozaik. Za debiutancką powieść *Bóg mi świadkiem* otrzymał European Union Prize For Literature (2014).

Oby człowiek mógł okazać skruczę i odnaleźć dawnego do-
 brego siebie. Jak wiadomo, nie urodziliśmy się upadli, stacząmy
 się podczas drogi. To znaczy, dla mnie człowiek jest jak samo-
 chód. Odbierasz go od dilerą – lśniący, nowiusieńki, wszystko
 wspaniałe i piękne, do czasu, aż się rozbije, zacznie krztusić,
 zardzewieje, schrzani.

Ruchomą trumną, spiżem dźwięczącym staje się człowiek,
 gdy tylko jego życie zaczyna się psuć.

Miałem trochę oszczędności, wpadłem jednak w pułapkę
 banków. W potrzask hasła: „Weźcie karty kredytowe i róbcie,
 co chcecie”. No i wpakowałem się. Wyrobiłem sobie stos kart,
 a tu nagle Czort ogłosił bankructwo. Nigdy nie wyobrażałem
 sobie, że sprawy tak się potoczą i że przez dwa lata będę bez-
 robotny. Wówczas wszystko zaczęło mi się psuć. Zmieniałem
 potem pracę trzy razy w ciągu dwóch lat. Jednak wydałem
 sporo pieniędzy: ubrania, restauracje, lekcje muzyki bizantyń-
 skiej, podróże, całe mieszkanie Eumorfii i jej czynsz przez pół
 roku. Oczywiście również lekarze i lekarstwa dla ojca i młodszej
 siostry. To jednak było z długu miłości.

Jak mam teraz spłacić swoje zobowiązania? Jestem zmuszo-
 ny się ukrywać. Komórka dzwoni, a ja nie odbieram. Czuję, że
 uykam wymiarowi sprawiedliwości. Jestem zaniepokojony.

Poszukuję pracy jak szalony i jeszcze bardziej się męczę
 i stresuję. Ale z pracą jak z zającem. Można złapać zająca
 bez sidła?

Znajomy psychiatra niedawno mi powiedział, że chciałby
 poznać Czorta i zrobić z nim wywiad – uważa, że jest on wyjąt-
 kowo cennym obiektem badań. Rzadkiej postaci schizofrenia,
 niewielu się nią zajmuje. Pokazałem lekarzowi wszystkie pisma
 pozasądowe, które mi rzeczony wysyłał, a on mi odpowiedział,
 że to przypadek szczególny, spotykany niezwykle rzadko.

Przed Czortem trafiłem do DEI¹. Daleki krewny mojej mat-
 ki, pan Nikos, aby mnie podnieść na duchu, załatwił mi tam

pracę na bardzo dobrym stanowisku. Niezwykły człowiek,
 rzadkiej prawości i uczciwości. Przy nim czułem się bezpieczny.
 Fruwałem.

Pewnego dnia zadzwoniłem do jego biura, żeby z nim po-
 rozmawiać, a tam powiedzieli mi: „Proszę posłuchać, pan Ni-
 kos umarł”. Słuchawka wypadła mi z ręki. Poczułem się jak
 statek, któremu pękła kotwica. Wyszedłem na ulicę i taziłem
 bez celu aż do świtu. Potem poczułem wielkie ciśnienie, żeby
 szybko znaleźć jakiegoś nowego protektora w urzędzie. Jed-
 nak nie znalazłem i w ten sposób, gdy skończył się mój kon-
 trakt, nie przedłużono mi go i ostatecznie straciłem zarówno
 DEI, jak i moje piękne biuro.

„Pełne grzechu moje życie, niczym morskiej burzy wycie”.
 Zastanawiam się, jaki napis powinien znajdować się na płycie
 nagrobnej po mojej śmierci:

*Tutaj spoczywa sługa Boży, Chrisowalandis,
 zaszczyty przez kobiety,
 pracownik drukarni, miłośnik słowa
 i wielbiciel piękna.*

Nie można pisarzowi powierzać czyszczenia schodów, to nie-
 stosowność. W Australii istnieje specjalny urząd, który decy-
 duje: ten, kto studiował to, może iść do takiej i tylko takiej
 pracy. Tutaj, w Grecji, nie ma czegoś takiego. Zdarza się, że
 ktoś dostał się do sektora publicznego z dyplomem gimna-
 zjum, a ktoś inny został sekretarzem takiego a takiego mini-
 stra. Dlaczego? Bo nosi stringi. Ale co studiowałaś, żeby mieć
 taką pozycję? Co czytałaś, co napisałaś, co badałaś? Ja, nawet
 gdybym miał dyplom, nie poszedłbym do sektora publiczne-
 go, dlatego że podoba mi się praca wymagająca walki. Rynek.
 Jestem wojownikiem, nie jestem trutniem.

Wszystko wychodzi z naszej głowy, żeby ostatecznie zado-
 wolić ciało. Jednak to nie przyjemność jest problemem, ale
 przesada. Nadmiar. Co innego wziąć kieliszek białego wina

1 Publiczne Przedsiębiorstwo Elektryczne (Dimosia Epichirisi Ilektrismou) –
 największy dostawca prądu w Grecji.

Agioritiko i powoli je saczyć, delektując się, a co innego wlać
 w siebie trzy butelki wina, upijając się w trupa.

Mama mojego taty, babcia Chrisowalandia, była kulawa –
 ukarali ją Święci Męczennicy. Wzięła kiedyś dwie świece,
 żeby im zapalić po jednej (za zdrowie mojego ojca, który
 w owym czasie był wrakiem, bo go zwolnili z wojska) w ko-
 ściółach Bogurodzicy i Świętych Męczenników. Zapomniało
 jej się i obie zapaliła w pierwszym kościele. Gdy tylko wyszła
 na dziedziniec, zrozumiała, co zrobiła, i wróciła, żeby zabrać
 jedną świecę. Święci jednak ją ukarali: upadła przed ich ikoną
 i na zawsze pozostała kulawa.

Mieszkała na wsi, ale często przywoziliśmy ją do Koridalos
 i wiele dni przebywała z nami. Była bardzo dobrą kobietą.
 Przeszła wszystko: raka, cukrzycę, zawał serca, w końcu umar-
 ła po wylewie. Słodka kobieta – przez cały dzień siedziała na
 łóżku, szyła i śpiewała. Znała wiele patriotycznych i ludowych
 piosenek. To ona mnie ich nauczyła. Miała melodyjny głos
 i piękne niebieskie oczy, niestety w tym ostatnim nie jestem
 do niej podobny. Bardzo mnie kochała. Szyła mi ubranka, da-
 wała mi po kryjomu czekoladę i karmelki – dlatego właśnie
 byłem gruby od dziecka.

Gdy poszedłem do wojska, mój ojciec zadbał o to, bym
 służył w Pentagono*. Pani K. powiedziała mi tam, że muszę
 zagadywać do kobiet, jeśli chcę miło spędzić czas. I trzyma-
 łem się tego, zostałem przyjacielem wielu żołnierek. Wtedy
 po raz pierwszy zobaczyłem, jak moja nieśmiałość chowa się
 w szafie, i powiedziałem sobie: kobiety, kobiety, kobiety!

Widywałem prawdziwych pułkowników, szychy w obec-
 ności kobiet kładące uszy po sobie – nie do wiary! Byleby
 się nie narazić ulubienicy dowódcy, bo ta, jeśli chce, może
 mu nagadać najgorszych rzeczy i mnie zniszczyć. Wszyscy się
 mieli na baczności.

Takim przypadkiem była Tatiana, pani kapitan, która rządzi-
 ła niepodzielnie w biurze ministra. Wszyscy się jej bali – poza
 tym była prześliczna, kwintesencja kobiecości. Wpadłem jej
 w oko. Wiedziałem, że mężczyzna jest myśliwym, a kobie-
 ta zdobyczą. A jednak była pierwszą kobietą, jaką poznałem
 w życiu, która miała się okazać kimś zupełnie przeciwnym:
 ona myśliwym, ja zaś zdobyczą. Ona lat czterdzieści jeden,
 a ja dziewiętnaście (dopiero co porzuciłem szkołę oficerską;
 mój ojciec bardzo chciał, żebym ją ukończył).

Początkowo pani kapitan rozegrała to jako przyjaciółka
 i zostałem jej ordynansem. Wprowadziła mnie do swojego
 domu, poznałem jej męża (również wojskowego) i ich dwoje
 dzieci. Później zrozumiałem, że mnie tam zabierała, żeby im
 zamydlić oczy. Miałem się stać przyjacielem ich wszystkich,
 jakby starszym synem. W pewnej chwili zaczęła ze mną flir-
 tować w salonie, ale ja, ponieważ miałem szacunek dla jej
 męża, wycofałem się i uznałem, że najlepiej będzie, jak już
 tam więcej nie pójde. Ona zaś, za każdym razem, gdy mnie
 spotkała w Pentagono², brała mnie na bok i mówiła: „Dlaczego
 mnie unikasz? Dbam o twoje dobro. Kiedy wpadniesz na
 kawę?”. Klasyczny typ kobiety, która robi dla seksu wszyst-
 ko. Sprawiała wrażenie bardzo ciepłej.

2 Potoczna nazwa greckiego Ministerstwa Obrony Narodowej znajdującego
 się w dzielnicy Aten o tej samej nazwie.

Zaprzestałem wizyt w jej domu, ale kontynuowaliśmy
 wspólne wychodzenie, nie robiąc jednak niczego bardzo złe-
 go – tylko całuski i pieszczotki. Obawiałem się, że gdybyśmy
 przypadkiem posunęli się za daleko, mogłaby się jakoś dziw-
 nie zachować wobec moich rodziców. Byłem pewien, że ta
 kobieta miała jakiś swój cel. Tak robią wszystkie. Nie mówią.
 Przed pieprzeniem nie powiedzą ci słowa, ale gdy tylko się
 skończy, zanim jeszcze się na dobre ubiorą, zapytają cię, dla-
 czego się z nimi przespałeś, i nie będziesz wiedział, co odpo-
 wiedzieć. Nie cierpiała moich rodziców. Zrozumiałem to po
 dwóch, trzech aluzjach, jakie mi rzuciła. Chciała mnie od nich
 oddalić. Pragnęła mnie zainstalować w swoim rodzinnym
 domu w Tebach, by mnie trzymać pod kluczem. Być może po
 to, bym go pilnował, dbał o ogród i tak dalej. Miała możliwo-
 ści finansowe, by to zrobić – bardzo mi się podobała ta kobie-
 ta. Nie chciała wydoić mnie z pieniędzy, wprost przeciwnie,
 regularnie zapraszała mnie na wytworne obiady i kupowała
 prezenty. Ubóstwiała spędzać godzinę w tygodniu, robiąc
 nielegalne rzeczy. Lubiła zbaczać trochę ze swojej marszru-
 ty. Strasznie jej się to podobało. Uwielbiała moją świeżość
 i mój charakter. Lubiła, gdy do niej mówiłem i opowiadałem
 jej różne historie. Słuchała ich podekscytowana. „Jak ty pię-
 knie opowiadasz”, mówiła, przytulając mnie. Ja opowiadałem
 i jadłem, a ona mnie przytulała. Byłem wówczas bardziej
 przebojowy. Mówiłem na przykład: „Boli mnie w piersiach”,
 a ona zaraz kładła swoją dłoń pod moją koszulą.

Kobieta soczysta i namiętna. Pewnego razu, gdy zaniósłem
 jej do biura jakieś koperty, rzuciła się na mnie. Zamknęła
 z trzaskiem drzwi i zanim do mnie dotarło, co się dzieje, do-
 padła mnie i obdarzyła głębokim pocałunkiem. Nie zdążyłem
 nawet pisać. W owej chwili poczułem, jakbym się oczyścił,
 jakbym wziął wspaniałą i orzeźwiającą kąpiel. Było to tak, jak-
 bym tkwił w brudzie i plugastwie, a pojawiła się jakaś praw-
 dziwa gąbka z Kalimnos³ z aromatycznym spienionym mydeł-
 kiem i wszystko się oczyściło. Tak.

Mimo to nie posunąłem się z nią dalej, być może dlatego,
 że czułem, iż we wszystkim miała przewagę, i wcale mi się to
 nie podobało. Przywłaszczyła mi sobie całkowicie, zrobiła
 swoim narzędziem. Mówiła mi, że pojedziemy tu, pojedziemy
 tam (była bardzo dobrym kierowcą i miała wygodny samo-
 chód): do Eretrii na ryby, do Vari na steki i tak dalej. Zazwy-
 czaj mi stawiała, ale ja też miałem pieniądze, ojciec mi dawał.
 Z jednej strony lubiłem to, z drugiej zaś dusiłem się. Pragną-
 łem wolności, niezależności i jakiegoś zdrowszego związku,
 z młodszą i niezamężną dziewczyną.

Wiem, że wciąż mnie kocha i o mnie myśli. Dowodem jest
 to, że każdego roku na urodziny dostaję przesyłkę, wiązan-
 kę czerwonych róż, tyle, ile mam lat. Wiem, że jeśli teraz za-
 dzwonię, w sytuacji, w której jestem, jeśli jej powiem: Tatiano,
 chodzi o to i o to – stanie na głowie, a być może znajdzie mi
 nawet jakąś pracę. Teraz ma siedemdziesiąt lat, jej mąż zmarł,
 dzieci się pożeniły, będzie potrzebować towarzystwa. Jednak
 rzadko do niej dzwonię, to niemoralne. Sam muszę dźwigać
 swój krzyż.

Doświadczenie życiowe nauczyło mnie, że w pewnej chwili
 tak czy inaczej udźwigniemy nasz krzyż. Dlatego też lepiej,

3 Wyspa znana z poławiaczy gąbek.

byśmy go podnieśli, póki jesteśmy wyprostowani. Lepiej teraz, gdy mam siły i rozum.

Bóg daje człowiekowi kompas, rzecze mu: to jest słuszne, tamto błędne, i dalej daje mu pełną swobodę ruchów, pełną inicjatywę. Zresztą wyraźnie wspomina o tym Ewangelia – narodziliśmy się wolni. Dlatego też widzisz, jak mnich, zdrowiuteńki i szczęśliwy, mówi: „Idę dźwigać swój krzyż”.

I jak to wszystko teraz skojarzyć z Tatiana? Za nic w świecie nie chciała widzieć swojego syna mnichem. „A jeśli będzie nalegał?”, pytałem ją.

„Dopiero po moim trupie”, odpowiadała. Mnie też chciała pozbawić wolnej woli.

Od dłuższego czasu zajmuję się pracami kosztorysowymi, a mój dobry przyjaciel – wszelkiego rodzaju problemami pracowniczymi. Rozmawiamy sobie i mówimy: „Czy to możliwe, żeby w kawiarni na Polu Aresa dwóch na trzech kelnerów było cudzoziemcami? Taką wizytówkę pokażemy na igrzyskach

olimpijskich? Przyjedzie francuski sportowiec, szwedzki tłumacz, angielski dziennikarz i będzie obsługiwany przez Rosjanina albo Kurda? Czy to możliwe? Dziennikarz, który wróci do Londynu i zrobi reportaż, co powie o tym? Że Grecy zapomnieli greckiego? Że greccy kelnerzy nie znają ani słowa po angielsku? To powiedzą o nas Europejczycy? Bądźmy poważni”.

Michał Bzinkowski | ur. 1975. Tłumacz m.in. Jorgosa Seferisa. Eseista, poeta. Wykładowca w Instytucie Filologii Klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego.



Krzysztof Lisowski

Bóg mu świadkiem

Bardzo byłem ciekaw, chciałem przeczytać powieść Tsitasa, bo widzę i wiem, że tłumacz utworu Michał Bzinkowski wybiera zawsze rzeczy ważne, niebanalne, ale i takie, które – zapewne – stawiają mu szczególne wyzwania: poezja greckich klasyków XX w., powieść Kostasa Akrivosa *Pandemonium* (najogólniej: o „republice mnichów” na świętej górze Atos), a teraz ten – mocno ryzykowny z pisarskiego punktu widzenia, miejscami ostro przerysowany – monolog niezguły, strumień świadomości antybohatera, historyka, mizogina, masochisty, ksenofoba; kogoś, kto nie powinien istnieć w takim „natężeniu”, ale prawdopodobnie istnieje, jako ofiara greckiego kryzysu, sytuacji prawie nie do naprawienia.

A zaczęło się, tych „pięć minut dla Grecji” po latach wyrzeczeń i ubóstwa, obiecująco, od tak pięknego kuszenia przez sprzedawców, banki, kredytodawców. Kiedy już pojawiły się pierwsze poważne konsekwencje zapaści ekonomicznej Grecji, gdy spora część mieszkańców wpadła jak nasz bohater w spiralę różnych zadłużeń, nikt prawie nie chciał wierzyć, że to się zdarzyło Helladzie, że to się przytrafia dzielnym i dumnym z dziedzictwa Grekom. Dlaczego?

A zaczęło się, tych „pięć minut dla Grecji” po latach wyrzeczeń i ubóstwa, obiecująco, od tak pięknego kuszenia przez sprzedawców, banki, kredytodawców.

Przypominam sobie anegdotę opowiadaną przez naszego przewodnika podczas niedawnego objazdu Grecji – mieszkają z żoną w jednym z największych miast greckich. Otóż poszli kiedyś do sklepu spożywczego, i małżonka chce kupować kilogram tego, kilogram tamtego. Mąż mówi zaniepokojony – Po co nam tyle, kupmy 20 dag fety, bo resztę się wyrzuci. Dlaczego chcesz kupować tak dużo naraz? A żona na to: – Nie chcę, żeby kasjerka uznała, że jesteśmy biedni.

Może ta anegdota oddaje istotę rzeczy i sedno opowieści Makisa Tsitasa? Wszystko jest „stanem greckiego umysłu”, paroksyzmami osobliwego egocentryzmu, źle pojętym budowaniem swojego wizerunku, błędną samooceną. Przeniesieniem takich i podobnych relacji z życia małych społeczności wiejskich, w których każda sprawa, uczynek, decyzja była poddana ocenie wszystkich. W labiryncie wielkich aglomeracji takie „prowincjonalne” myślenie nie zanika: jest rodzina, często dziwnie ukształtowana, z odwiecznymi rolami mężczyzny, głowy rodu, kobiety-matki, dziećmi, koligacjami,

ambicjami, karierami. Wszystko, co robimy, nie jest naszą decyzją, samodzielnym wyborem, ale decyzją „między-ludzką”, kształtowaną przez obyczaj, tradycję, modę, namowę, wpływ kultury masowej, sytuację, towarzyskie uwikłania...

W takiej sytuacji i takich relacjach pozostaje pięćdziesięcioletni, gruby, niski, schorowany, antypatyczny, bezradny, bezrobotny antybohater. Potrzebuje wsparcia, „czepia się” więc psychologa i spowiedników, łudząc się, że Ktoś (?) załatwi za niego problemy, uzdrowi, ułatwi, weźmie za rękę, wyprowadzi z pastwy.

W labiryncie wielkich aglomeracji takie „prowincjonalne” myślenie nie zanika: jest rodzina, często dziwnie ukształtowana, z odwiecznymi rolami mężczyzny, głowy rodu, kobiety-matki, dziećmi, koligacjami, ambicjami, karierami.

Niestety, rzeczywistość bywa prostsza, ale i okrutniejsza niż myśli Chrisowalantis. Jego życie jest pasmem klęsk, a będzie... jeszcze gorzej.

Tsitas pisarsko wiele zaryzykował, ale właściwie wyszedł zwycięsko z tej próby. Taka jest Grecja kryzysu, podobnie myśli wielu ludzi, takie sytuacje pojawiają się w życiu mieszkańców Aten i Salonik.

Może ta proza jest ostrzeżeniem, memento? Bóg wie...?

Krzysztof Lisowski | ur. 1954.

Poeta, eseista, redaktor Wydawnictwa Literackiego.

Ostatnio wydał *Niektóre miejsca na ziemi. Przewodnik wiojżera* (2017).

Artur Dudziński

Mahler i Hrabal

Artur Dudziński | ur. 1967. Prozaik.
Debiutował w „Twórczości”. Publikował też w „Krytyce Literackiej”,
„Przeglądzie Prawosławnym”.

Hrabal i Mahler. Pisarz i kompozytor. Wyrastają z jednej c.k. gleby. Obaj przychodzą na świat na Morawach: Mahler na siedem lat przed powstaniem Austro-Węgier, Hrabal – na cztery przed ich rozpadem, w roku kojarzonym z zamachem w Sarajewie, a rozpoczynającym ostatni rozdział historii monarchii, ale także pierwszy – powieści Haška o Szwejku.

Ulica tamtych lat i jej muzyka: uroczyste pogrzeby, parady wojskowe, przemarsze dętych orkiestr, ludowe kapele, podwórkowi muzykanci, piosenki praczek. Ulica jest miejscem, gdzie wyżyły idei, symbolizowane przez modernistyczne fasady gmachów, współlistnieją z plwociną trotuaru – ze zwykłością i prawdą. Ulica ma naturę kobiety: jest, jaka jest, by zaraz stać się swym przeciwieństwem, w naturalności i przesadzie, w prostocie i w tajemniczości. Barwny karnawał w tempie błyskawicy zmienia się w żałobny kondukt. Ulica odzwierciedla chaos świadomości. Komunikuje ukryte pragnienia. Jest pracownią sztuki powstającej tu i teraz, na gorąco. Karmi emocją i chroni przed szaleństwem. Żeby tego doświadczyć, trzeba porzucić dom na długie godziny włączyć po c.k. Wiedniu i Pradze. Ulica potrafi oczarować młodziutki umysł i odezwie się po latach w utworach Mahlera, któremu zarzuca brak smaku i banalność: czerpanie inspiracji z poziomu bruku. Miną dziesięciolecia, a żarliwie krytykowana muzyka Mahlera wstrząśnie Hrabalem.

Mówiono o Hrabalu jako o maniaaku Mahlera. Pisarz podziwiał kompozytora. Hrabal, w komentarzu do *Adagio lamentoso* pisanego w 1976 r., wspomina, iż bez opamiętania słuchał jego *Drugiej Symfonii*. Określona muzyczna fraza tak go zaciekała, że znalazła swe odbicie w tekście *Adagia*. Hrabal dostrzegł w niej uliczne echo koszarowej służby, capstrzyku zamykającego pułkowy dzień Igławy z dzieciństwa Austriaka. Hrabal słuchał muzyki. W prozie często wspominał muzyczne dzieła, które cenił i znał na pamięć. Gdyby zabroniono słuchania muzyki, pewnie skoczyłby z piątego piętra wcześniej albo zdążył utonąć w Wełławie piwa.

Zastanawiałem się, co łączy artystów poza położonymi blisko siebie punktami czasu i fizycznej mapy. Mahler i Hrabal mogliby spotkać się w Pradze, gdyby nie wiedeńska śmierć kompozytora w 1911 r.

Bernard Mahler miał gorzelnię. Produkował wysoko-procentowe wódki i likiery, najpierw w Kaliszcie, potem w Igławie. Gustav nie był amatorem trunków, co trudno powiedzieć o Bohumilu. Ten wzrastał w otoczeniu browarów, w miejscowościach: Polna i Nymburk. Ojczym Bohumila zarządzał miejskim browarem w Nymburku, którego część stanowiło rodzinne mieszkanie. Kiedy Bohumil wyrósł na młodzieńca, zamieszkał w Pradze. Nymburk odwiedzał w czasie wolnym, by w kantorze nymburskiego browaru w soboty i niedziele pisać swoje teksty. Już we wczesnej młodości zaprzyjaźnił się z ciężkim alkoholem. Piwo darzył estymą i sympatią należną ważnemu członkowi rodziny. Literatura na tym nie straciła, a nam przybył po latach napój serwowany przez nymburski zakład z podobizną pisarza na etykiecie. Z Mahlerem było inaczej. Wiecznie spięty i powściągliwy unikał towarzystwa. W domu Mahlerów, w Igławie, mieści się dziś nie piwiarnia, lecz *Café Mahler*. Gustav wolałby posiedzieć w secesyjnej restauracji Wiednia albo w praskiej kawiarni, by w anonimowym gwarze przejrzyć może przychylniejszą mu prasę. Bohumil zadowolonyby się gospodą z miejskich peryferii, konkretną ilością piwa i pogodnych twarzy pełniących rolę panaceum. Gdy słucham muzyki Gustava, fragmentów *Symfonii Pierwszej* (*Feierlich und gemessen, ohne zu schleppen*) i *Piątej* (*Trauermarsch*), czuję się jak w szynku z kapelą przygrywającą Mahlera do tańca. Oto zwyczajna niezwykajna knajpa staje otworem przed Gustavem. Teraz Mahler wchodzi po raz pierwszy do knajpy – drugiego domu Hrabala. Drugiego, bo zaraz po literaturze. W trzecim domu na Bohumila czeka wierna żona Pipsi. W tym względzie Hrabal jest zamożniejszy od Kafki i szczęśliwszy od Mahlera, którego Alma zdradza i którego

muzyki nie polubi nigdy. Oficjalny i bezdomny, jak zwykł siebie nazywać, Gustav w rubasznym kręgu braci po kuflu, ponieważ do tego stolika zawsze ktoś się dosiada. Taneczna i frywolna gawęda sąsiedztwa, która nie zamierza się skończyć. Mahlerowskie dłużyzny milczenia, jak jego adagia. Gustav poprawia krystalicznie czyste okulary, podnosi ze stołu wzrok i mówi:

– Chciałem komponować. Zamierzałem tworzyć muzykę, a uwiodła mnie dyrygentura. Ta, owszem, zaspokaja ego, lecz pożera energię. Nie rozumiem, jak to się stało. Na pisanie muzyki mam czas latem, w tak zwanych wolnych chwilach wypoczynku dyrektora wiedeńskiej opery... Rozumieją panowie? Jest to miesiąc, najwyżej dwa. Dwa miesiące w roku. Lato. Wakacje. Czas dla rodziny. Czas dla siebie, w którym nie umiem wypocząć i nie mogę. Nie umiem nawet wtedy, kiedy mogę. I jeszcze te odwiedziny i spotkania, które niczego nie wnoszą, prócz rozczarowań. A rozumieją panowie, co znaczy tworzyć przez jeden miesiąc w roku, najwyżej dwa? Dla kogoś, kto musi to robić, kto nieustannie zmuszony jest wybierać pomiędzy kochaną córką i symfonią, pomiędzy ukochaną żoną i żalosnym wiedeńskim towarzystwem, które wszędzie wlecze się za człowiekiem – oznacza zbliżający się obłęd albo rychłą śmierć. Tak naprawdę, nigdy nie chciałem być dyrygentem. To był przypadek, pomyłka, panowie. Do tego złośliwcy, którzy gardzą wszystkim, co żydowskie, twierdzą, że nic odkrywczego w moich partyturach nie ma, że słysząc w nich kompozytorów leżących sobie wygodnie na dyrygenckim pulpicie Mahlera, i tyle. Muzyczne *tutti frutti*. Porażka. Każde wykonanie mojej nowej symfonii – to porażka. Ludzie nie chcą słuchać Mahlera. Nie chcą być świadkami kolejnej porażki. Za to dla niemieckiego *Tristana* gotowi są umrzeć... Żle zaczyna się dzieć, kiedy człowiekowi czegoś się zachce: takiej kobiecy, glorii albo... sprawiedliwości. O tak. Tym gorzej, jeśli – sprawiedliwości. Tym gorzej... Nie chcieć nic. Naprawdę nic nie chcieć. To jest chyba szczęście, panowie... chyba to na tym polega królewskie życie. Po prostu – nic.

Mahler milknie. *Postřižinské* piwo stoi przed Hrabalem. Straciło chłód. Bohumil, który czuje się gospodarzem, podnosi kufel i trzyma tak długo, póki towarzysze prostych smutków i radości uczynią to samo. Nad stołem jako ostatni zjawia się kufel Mahlera. Słysząc brzęk szkła. Milczenie nie jest domeną knajpy, więc ktoś musi coś powiedzieć. Robi to Hrabal. Mówi, iż w jego domu, gdzie czeka na niego żona, ma takie małe radio odbierające Wiedeń i przez to małe radio słucha wszystkich bez wyjątku symfonii Mahlera: zachwycą się każdą bez wyjątku z osobna i jeszcze raz wszystkimi bez wyjątku razem, i potem pisze te swoje prozy, które nie chcą się skończyć, jak muzyka Mahlera, na którego nikt w domu nie czeka, co długo nie potrwa, i którego muzyka, dlatego nie chce się skończyć, a my, jeśli choć raz po nią sięgniemy, nie chcemy skończyć jej słuchać, nie chcemy, aby się skończyła, jak nie chcemy, nie chcemy, aby cokolwiek i kiedykolwiek się skończyło.

– Pan się urodził w Brnie, prawda?

– Tak.

– Filharmonicy z Brna, pewnie nikt tego nie pamięta, mieli w 1906 jubileusz, a ja dyrygowałem, w pana rodzinnym mieście, moją *Pierwszą Symfonią*.

– Myślę, że pierwszą minutę mego życia przeciął przyczajony w brneńskim zautku pogłos twej sztuki, mistrzu. Teraz rozumiem, panie Mahler, teraz o wiele bardziej rozumiem, kim jestem. Pana ołówki były zaostrome w szkole jak cyrkle, podczas gdy ja nie potrafiłem odnaleźć zagubionego zeszytu od czeskiego... Wyobraźnia – to *femme fatale*, zakazana w zwyczajnym świecie i niewidzialna piękność, która sprawia, że mężczyzna zatrzymuje się tam, gdzie wszyscy idą, widzi coś, czego inni nie dostrzegają i słyszy rzeczy, podczas gdy nikt nie słyszy nic. To dlatego nasze żony nie lubią wyobraźni. Są o nią zazdrosne. Ta *femme fatale*, w rozumieniu żon, czyni mężczyznę nieużytecznym, gapiącym się w pustkę i w końcu martwym. „Wczoraj”, na przykład, widzę jako przeoczony raj. „Jutro” jest dla mnie mężczyzną w cylindrze mijającym na welocypedzie zapatrzoną gdzieś staruszkę. Albo weźmy co innego: co to precedens? Precedens – to precelek na kredensie. Teraźniejszość – to knajpa. A do teraźniejszości wiedzie ulica, która jest jak mały statek unoszący twarz ponad nurtem czasu. Dlatego tak kocham rejs ku teraźniejszości – kocham praską ulicę. I powiem jeszcze jedno: tylko *femme fatale*, tylko ona kocha knajpę. I jest to miłość wzajemna. Tako Pabitel rzecze. A... a Czeši to podobno tyle piwa nawarzyli w tym Nymburku od 1895, że gotowi są zalać i zatopić całą Środkową Europę. Jeśli już zginąć, to może lepiej w odmětach piwa?

Knajpę trzeba kiedyś opuścić. Mahler jest odprężony i uśmiechnięty bez cienia gorzycy, co jest rzadkością. Hrabal trzyma pod rękę chwiejącą się *femme fatale*. Trójka pasażerów wkracza na pokład małego statku wieczornej i peryferyjnej Pragi. Ich sylwetki toną we mgle.

Mahler i Hrabal – nie jeden raz, z trywialności chodnikowej łążęgi, trampoliną obojga poetek wystrzelony bywałem w metafizykę lotu nad miastem. Oglądałem ulice w lśniących mundurkach bruku, dachy zamieszkane przez Hrabalowskie koty, magiczne studnie żydowskich podwórek, które przypominały prawdziwe sceny teatru życia, kino wylewające po seansie półprzytomne twarze. I od razu wiedziałem, że kino jest miejscem, gdzie Gustav spotkałby Bohumila ponownie. Film fascynował pisarza. Pan Doktor, jak go nazywano, pisał rzeczy stworzone dla ekranu. Pamiętamy dzieła czeskiego reżysera Menzla. Zasmucony mistrz batuty pociągał Viscontiego i Russella. Już na przełomie wieku dziewiętnastego i dwudziestego pisał muzykę, której nie powstydziliby się John Williams. Mahlera pokazują fotografie. Hrabala uwieczniono na filmowej taśmie. Widziałem materiał powstały na cztery lata przed jego śmiercią. Jest tam scena, w której, po powrocie do letniego domu w Kersku, pisarz, karmiąc swoje koty, próbuje je policzyć. Za każdym razem wychodzi inaczej. Hrabal macha ręką i wolnym krokiem przemierza zaniedbany ogród. Wyciąga przerażone kociątka z zakamarków. Na białej głowie starego człowieka, który nie może już swobodnie chodzić, płonie czerwona bejsbolówka z wyszytym białą nicią napisem „Stanford”. Po zdradzie Almy Mahler staje się impotentem. Biedaczek, zamiast tracić grube pieniądze na wielogodzinne seanse u Freuda, winien odwiedzić libeńskiego Pana Doktora w jego mieszkaniu przy ulicy Na Grobli Wieczności 24. Wypić po ludzku piwo, dwa i pogadać.

Bohumila Hrabala i Gustava Mahlera łączy coś jeszcze. Hrabal i Mahler, synowie jednej matki, morawskiej ziemi, są braćmi w sieroctwie. Mały Bohumil pozna swoją mamę dopiero, gdy ukończy trzy lata. Biologicznego ojca nie ujrzy nigdy. Żyje z dziadkami, którzy starają się jak mogą, ale to ulica wychowuje, zachwyca i wyrwa chłopca z domu. Z pewnością nie tylko w tej części Europy ulica tak fascynuje, pociąga, przynosząc raz miłość, innym razem śmierć. Kiedy patrzę na głowę starego Hrabala w czapce z daszkiem z napisem „Stanford”, widzę uliczną czerwień miłości splecioną z białą uliczną śmiercią.

Nadchodzi dzień, gdy praska ulica samotnie, gdy pragnie swego adoratora i piewcy, jego tęsknego zapatrzenia – miłosnego milczenia, które jak praski deszcz na nowo uczyni ją piękniejszą. Ulica wie, gdzie jest jej kochanek. Wyrwa się z samej siebie ze wstrząsem eksplozji. Roni w huk i pyle bruk i mknie w górę, w górę, w stronę piątego piętra praskiego szpitala, gdzie zza okna, udając, że karmi gołębie, zerka ku niej Bohumil. On lekko wychyla się na powitanie i – odtąd są razem: ulica świata i jej poeta. Na zawsze.

Agnieszka Domańska

Miniatury

Agnieszka Domańska | ur. 1991. Kulturoznawczyni, korektorka. Autorka bardzo krótkich form literackich.

Mosty

– Daj gryza.
Rozejrzałam się dookoła. Prócz szumu wody, potłuczonych szkieł pod stopami i dziwnego zapachu stale unoszącego się w tej okolicy, nic nie przykuło mojej uwagi.
– No dawaj, na co czekasz! Z czym masz?
– Z szynką – odparłam bez głębszego zastanowienia. Refleksja przyszła o kilka sekund za późno – już w moją stronę zmierzało nie kilka, a kilkadziesiąt wygłodniałych kaczek, w oczach których tała się żądza i dzika potrzeba skonsumowania dwóch bezbronnych kawałeczków chleba. W przerażeniu rzuciłam kanapkę skrzydlatym hienom, po czym, ukryta za balustradą mostku znajdującego się nieopodal, z bezpiecznej odległości obserwowałam żer.
Jadły tak, że gdyby posiadały małżowiny uszne, trzęsłyby się im one jak oszalałe. Ale uczta nie trwała długo – wkrótce przewodniczka kaczek gromady skuliła się w sobie, nastrożyła brązowawe pióra i wypluła to, co przed chwilą zjadła.
– Fuu, gluten! – wykrzyknęła. – Spadamy stąd, dziewczyny!

Gniazdo

Na pierwszy rzut oka była starą kobietą jakich wiele. Dopiero gdy przyjrzałeś się dokładniej, zauważyłeś w niej ptaka – skulonego w sobie, zmęczonego długim lotem przez życie.
Centralny punkt jej płaskiej, kwadratowej twarzy stanowił nos – spiczasty wierzchołek mocno kontrastujący z wgłębieniem, w którym powinny znajdować się zęby. Szeroko rozstawione oczy niespokojnie wodziły to w jedną, to w drugą stronę, rejestrując świat w całej jego wspaniałości.
Codziennie wieczorem wsiadała do autobusu, zawsze na tym samym przystanku. Z trudem robiła duży krok, by zaraz, pochylona niemal twarzą do ziemi, gorączkowo poszukiwać fotela. Siadała tuż przy miejscu dla wózków, tyłem do kierunku jazdy. Tak zagnieżdżona energicznie żuła bezzębne dziąsła.
Ale pewnego razu nie wsiadła. Nie widziałam jej na przystanku, ani w autobusie. Na ulubionym krześle leżało tylko kilka niedbale rozrzuconych gałązek i piór.

Ukamienowani

W lewym bucie stale przechowuję maleńki kamyczek. Ma mi przypominać, o tym, że żyję, bo przecież tak łatwo zapomnieć. Przetacza się w tę i we w tę – raz jest w przestrzeni między palcami, żeby zaraz znaleźć się pod piętą (to lubię najbardziej) i dawać o sobie znać kłującymi impulsami do mózgu.
Pewnego dnia spotkałam na ulicy szacownego jegomościa – równo przystrzyżona broda, długi, fioletowy płaszcz i fikuśny filcowy kapelusz przykuwały uwagę każdego przechodnia składającego swoim ubiorem hołd przeciętności. Gdy mijaliśmy się na chodniku w pobliżu apteki, rzucił jakby od niechcenia:
– Wyglądasz, jakbyś miała kamyk w lewym bucie.
– Z kim mam przyjemność? – spytałam, starając się przybrać pełen wyższości wyraz twarzy.
– Maxim Iwanow, kolekcjoner. Z wykształcenia psycholog. Prekursor kamiennej terapii poznawczo-zapoznawczej. Czy mogę cię prosić o zdjęcie buta?
– Nie mam czasu na pańskie wymysły, spieszę się na autobus! – odparłam cokolwiek grubiańsko.
– Jak uważasz, ale wydaje mi się, że mógłbym ci pomóc, znam twoje problemy.
– Guzik wiesz, człowieku w fioletowym płaszczu! – krzyknęłam, po czym gwałtownie ruszyłam w stronę autobusu. Nie minęło kilka sekund, a zza pleców dobiegł mnie cichy, ale stanowczy głos:
– Witamina D3 i żelazo nie zwalczą bólu istnienia. Zawróciłam i zgodnie z żądaniem podałam mu lewy but, balansując na prawej nodze.
– Tylko szybko, bo mi stopa marznie.
Elegancik wyjął kamyk, obejrzał dokładnie z każdej strony, aż wreszcie zacisnął go w dłoni, mruczając przy tym zaklęcia w sobie tylko znanym języku.
– Gotowe – powiedział z wyraźną ulgą, a kamień wrzucił do metalowej puszki po dropsach.
– Teraz powinno być już tylko lepiej.
I zniknął.

Wygwizdów

W piątek wieczorem Irek zagwizdał po raz pierwszy. Zerwałam się z fotela przekonana, że to pozostawiony na kuchence czajnik przypomina o swoim istnieniu. Odgłos dobiegał jednak nie z emaliowanego brzucha, a z klatki schodowej. Wesół jak skowronek sąsiad wyjście z mieszkania traktował jak święto, które wymaga specjalnej oprawy muzycznej.
Z początku dźwięki wydobywające się z jego stulonych warg nie przypominały żadnej znanej melodii. Ot, chaotyczne skoki po pięciolinii, badanie terenu, zdawało się. Jednak w sobotę przy śniadaniu przyszło nowe. Już po jednej nutce bezbłędnie rozpoznałam melodię z filmu o Indianie Jonesie, po czym aż oblażałam się na myśl o czekoladkach z wymagowanego kuferka, który niechybnie by mi się należał, gdybym tylko stanęła w szranki w znanym teleturnieju.
Dni mijały, a Irek wciąż gwizdał. W końcu pękłam, przyznając, puściły mi nerwy. Pamiętam jak przez mgłę, że wybiegam na klatkę w skórkowych laczkach, z jeszcze ciepłym odciskiem poduszki na policzku. Łomoczę.
– Panie, inteligent chciałby się kapkę wyspać! Skończcie wreszcie te trele!
I wtedy drzwi otworzyły się. Ze zbolatą miną męczennika wskazał tylko na swoje plecy, a ja wiedziałam doskonale, co powinnam zrobić. Bez chwili wahania całą skumulowaną złością uderzyłam go między łopatki. Plastikowy winowajca wypadł z Irkowych ust, poturlał się po podłodze przedpokoju, by ostatecznie wylądować pod lustrem.
– Co za ulga! – wykrzyknął oswobodzony sąsiad.
Spojrzałam jeszcze raz na podłogę, ale gwizdka już tam nie było. Przerywany pisk, dochodzący z pyska oddalającego się w stronę kuchni psa, nie zwiastował niczego dobrego.

Imponderabilia

I nagle orientujesz się, że dziewczęta całe popołudnie beztrako fikają koziołki w piaskownicy, a sąsiadka z naprzeciwka co i rusz przemyka w kuchennym oknie rozgogolona. Zieler! zaś staje się czymś tak naturalnym, jakby była z tobą zawsze, schowana w kieszeni niczym składany plastikowy kubek na czarną godzinę.
Wciskasz więc pedały w ziemię, z piskiem opon goniąc ulotne. Znajdujesz stałe, od lat ukryte w sosnowych szyszkach, których zapach już zawsze przywołać będzie te same wspomnienia. Jesteś na miejscu.

Andrzej Bart

Śmierć delatora

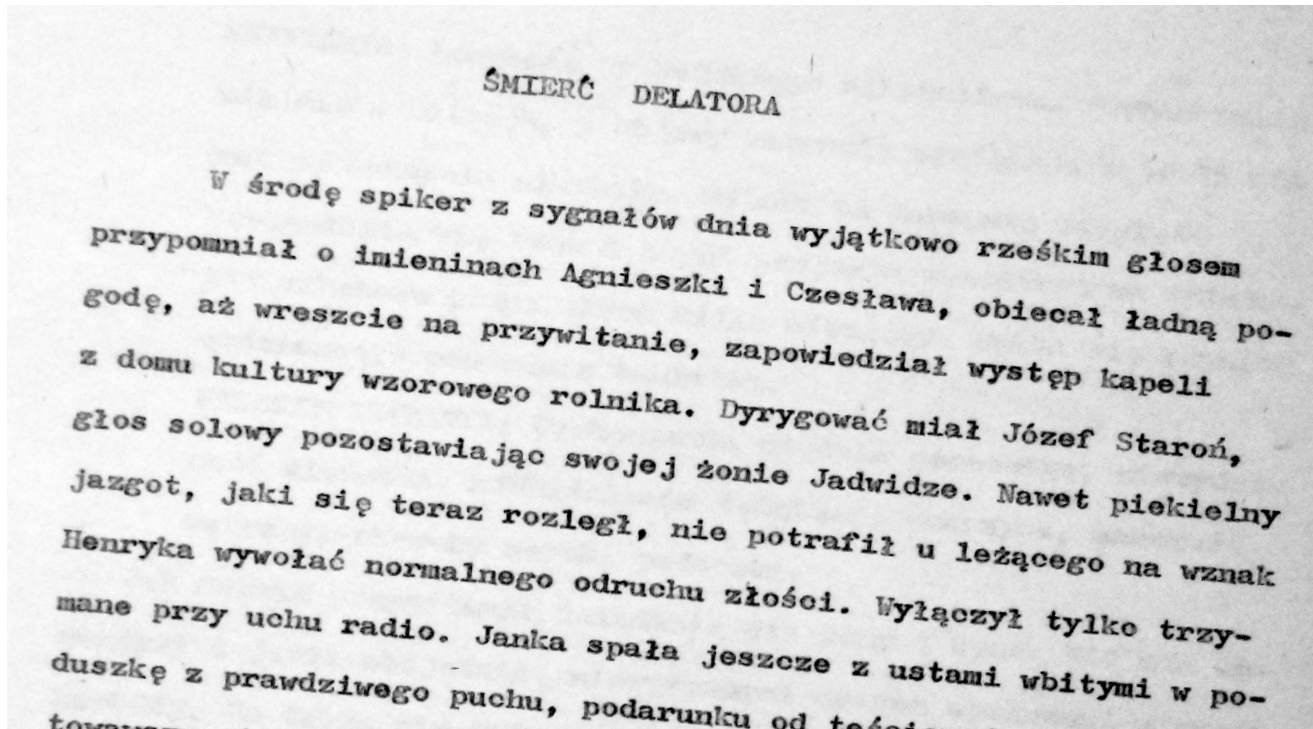
22 kwietnia 2018

Drogi Jacku,

pamiętam, obiecałem tekst do Twojego pisma, kiedy tylko zacząłeś o nim myśleć. Pracuję nad czymś, co z chęcią Ci pokażę, ale jeszcze chwila do tego. Nie chcąc Cię jednak zawieść, zacząłem przeszukiwać szuflady. Myślałem już nawet o ulubionym fragmencie scenariusza, który czeka na dobry czas, jednak znalazłem ciekawostkę – pierwsze opowiadanie, jakie napisałem w życiu. To jakby pierwszy wiersz kogoś, kto chciałby w życiu pisać wiersze. Napisałem je w połowie lat siedemdziesiątych, a potem jeszcze cztery, a w zasadzie pięć, choć piąte, pod zapisanym na teczce tytułem *Świat piękniejszy niż gdzie indziej* gdzieś przepadło. Za mało tego było, aby pokazywać wydawnictwu, a wkrótce zacząłem pisać *Rien ne va plus*, co – jak wiesz – zabrało mi kilka lat życia. To, że te pożółkłe kartki uchowały się przez te lata, uważam za cud. Pokazuję Ci przy okazji zdjęcie z tamtego czasu, na którym zobaczysz człowieka, który się uśmiecha, a więc pewnie wierzy, że życie potrafi być piękne. Jeśli uznasz, że warto przedstawić czytelnikom mój pensjonarski wiersz, drukuj.

Pozdrawiam,

Andrzej



Andrzej Bart | ur. 1951. Prozaik, scenarzysta (m.in. Rewers, Bezdech), autor wielu filmów dokumentalnych i słuchowisk radiowych. Laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1991). Ostatnio wydał *Bezdech* (2013).

Wśród spiker z *Sygnatów dnia* wyjątkowo rześkim głosem przypomniał o imieninach Agnieszki i Czesława, obiecał ładną pogodę, aż wreszcie zapowiedział występ kapeli z domu kultury wzorowego rolnika. Dyrygować miał Józef Staroń, głos solowy pozostawiając swojej żonie Jadwidze. Nawet piekielny jazgot, jaki się teraz rozległ, nie potrafił u leżącego na wznak Henryka wywołać odruchu złości. Wyłączył tylko trzymane przy uchu radio. Janka spała jeszcze z ustami wbitymi w poduszkę z prawdziwego puchu, podarunku od teściowej, która wykosztowawszy się przed laty z okazji ich ślubu, niebawem zmarła.

Wstał ostrożnie, lecz ręka żony i tak powędrowała natychmiast w stronę krzesła, na którym za kilka minut miał zadzwonić budzik. Nigdy nie dowierzała nocnej bezsenności męża. Po cichu przeszedł przez drugi pokój. Na amerykańce spał Grzegorz, od roku uczeń szkoły budowlanej. Ma taki sam głupi wyraz twarzy jak ja, kiedy byłem młody, pomyślał nie bez dumy.

Tego dnia postanowił lepiej się sobie przyjrzeć. Golił się starannie, wyproszoną u Janki nową żyletką, i patrzył w oczy namydlonemu facetowi. Ten gąbczasty tysoń z twarzą przejechaną przez samochód, to ja? Janka przed laty, kiedy pił jeszcze zwyczajnie żartowała, że łysieje od wódki. Nie miała racji. Dzisiaj, chociaż był zupełnie łysy, a ona już dawno przestała żartować, był tego pewien. Gdy wkładał spodnie od jedyne go niesprzedanego jeszcze garnituru (szara elanobawełna z wypaloną na kolanie, prawie niewidoczną dziurką), zerknął z trzymiesięcznym przyzwyczajeniem na ukrytą w fałdach obwisłego brzucha bliznę.

WSKAZANIA: Leczenie przewlekłego alkoholizmu. Szybko wchłaniania się w ustroju, a objawy zatrucia występują w 10-15 minut po spożyciu alkoholu. Metoda ta zapewnia ciągłość wchłaniania się leku i czyni pacjenta wrażliwym na działanie alkoholu przez okres kilku miesięcy. Unika się również codziennego podawania tabletek.

PRZECIWWSKAZANIA: Uszkodzenie mięśnia sercowego, niewydolność wieńcowa, nadciśnienie tętnicze, cukrzyca, marskość wątroby, choroby nerek, padaczka.

Jak zwykle przygotował śniadanie dla żony i syna. Nic nie zauważyli i jedli obojętnie, niewyspanymi oczyma wpatrzeni w swoje herbaty. On także nie zwierzał się nikomu z wagi dzisiejszego dnia. Dnia, na który czekając, zdążył się zestarzeć.

Tydzień temu, spotkany na ulicy dawny behapowiec Głabski: – Wiesz chyba, co się stało z Kotera? – Mówił Henrykowi „ty” jeszcze od czasu, kiedy forma ta była dla wielu zaszczytem, a nie tym, czym stała się później w długich kolejkach po poranne piwo. Usłyszał wtedy własne serce. Musiał być przy tym bardzo błądy, bo Głabski sterował nim w stronę najbliższej ławki. – Nie będę więcej mówił na ten temat. To cię denerwuje. Musimy się koniecznie spotkać. Najlepiej wpadnij do biura... – Stał jeszcze, lecz jego żółta wypchana teczka i kapelusz z piórkiem były już daleko. Z całej więc siły ścisnął wsuniętą mu na pożegnanie wilgotną rękę Głabskiego. – Mów, ale szybko! – Dawny behapowiec odetchnął z ulgą, widząc, że jeszcze

nie umiera na ławce. Zeznawanie w takich sprawach zabiera zawsze mnóstwo czasu. Wylał starannie spocone czoło i już z błyskiem w oku: – Kotera po ostatnim powrocie z Moskwy rozgrywał swoją cotygodniową partię tenisa ze znanym piosenkarzem czy może piosenkarką. Nagle upadł. Podobno w czasie forhendu. – Głabski nabierał humoru. – Wylew krwi do mózgu, natychmiastowa pomoc lekarska, ale niestety...

– Nie żyje? – spytał przestraszony nagle Henryk.

– Żyje. Jednak nie ma pewności, czy jest to dla niego najszczęśliwsze. Kompletnie sparaliżowany. Lekarze nie dają żadnych szans na wyzdrowienie. Wiesz, że nie miał rodziny. Jak on to mówił? Po co kupować browar, czy coś takiego... jednak kochanki, nawet liczne, szybko przestają odwiedzać facetów na wózkach. Dyrekcja, rada zakładowa owszem, kwiaty, odwiedziny. „Drogi kolego, życzymy szybkiego powrotu do zdrowia. Nikt nie jest w stanie zastąpić kolegi na tym odpowiedzialnym stanowisku”. Wszystko to przez pierwsze miesiące, potem coraz rzadziej. Ostatnio przewieziono go do szpitala dla przewlekłe chorych, wiem o tym od kuzynki mojej żony. Tam już chyba doczeka swego końca.

Henryk przygotowywał się przez kilka dni. Dzisiaj był gotów. Jak bardzo go nienawidził. Każde załamanie, zmiana pracy, przedwczesny wytrysk lub jego brak, izba wytrzeźwień, to był on, wymuskany gnojek niesiadający bez potrzeby, aby nie zagnieść kantów.

– Potrzebna mi twoja walizeczka – powiedział do Grześka, który z niewidzącą miną rytmicznie podnosił ciężarek zrobiony z puszek po konserwach wypełnionych cementem. SZYNKA MIELONA „ŚWIATOWID” WAGA NETTO 1,5 KG. ETYKIETA ZASTĘPCZA. Nie raczył nawet odpowiedzieć – tylko wdech, wydech i znowu wdech.

Przed wojną Kotera i on, obaj synowie biednych rodzin, dorabiali roznoszeniem gazet. OSTATNIE DEPESE! WOJSKA MUSSOLINIEGO W ABISYNII! ARESZTOWANIE HRABINY WIELOPOLSKIEJ NA DWORCU W BERLINIE! I w tym Kotera musiał być lepszy, jego twarzyczka cherubina i przenikliwy głos pomagały mu sprzedać nawet pięćdziesiąt popołudniówek. Nie było bijatyki na ulicach, w której by nie stali solidarnie obok siebie, nawet pierwszą młodzieńczą miłość ulokowali w tej samej dziewczynie. Nie ma lepszych kumpli, mówiono. Wojna i Regina, córka krawca z oficyny, w pociągu do Birkenau. Jej czarne, diabelskie owłosienie jeszcze długo nie pozwalało Henrykowi spokojnie zasnąć. Brak wiadomości o Jurku Koterze. Podobno, ale tylko podobno, dobrze mu się wiedzie. Może interesy? Do odważnych świat należy. Henryk dzięki matce (służyła wtedy u profesora Cichora: „Synku, jaki on mądry, tyle książek w domu, a ile kurzu na nich!”) przygotowywał się pod Warszawą do konspiracyjnej matury. Po wojnie przyspieszone studia i ze swoją świetną pamięcią do słówek znajduje pracę w rozwijającym się handlu zagranicznym. Pomimo młodego wieku miał awansować, i właśnie na międzyresortowym zebraniu spotkał po latach Kotereę. W czarnym, wytłuszczonym ubranku i z przylizanymi brylantyną włosami w niczym nie przypominał późniejszego eleganta.

Kratę jego niebieskiej, flanelowej koszuli pamiętał Henryk do dzisiaj. Jak się okazało, pracował tu dopiero od dwóch tygodni. Nie odpowiedział na pełen radosnego zdziwienia uśmiech, a kiedy zaczęto rozpatrywać kandydaturę Henryka, wstał i powiedział, że być może dzisiejsza postawa kandydata nie budzi zastrzeżeń, to jednak czy dawne błędy się nie liczą? Czy można tolerować na odpowiedzialnym stanowisku człowieka, będącego w sanacyjnej, wrogiej nam Polsce ministrantem? Czy człowiek, który w swoim życiorysie nie podał nam tego faktu, nie nadużył naszego, towarzysze, zaufania? Czy wystugiwanie się wsteczniectwu, nawet w młodym wieku, pozwala nam teraz zaufać?

– Twój ojciec idzie chyba sprzedać butelki – zauważyła dowcipnie Janka, smarując grubo chleb ulubionym masłem roślinnym.

Czarną walizeczkę z metalowymi okuciami dostał chłopak od brata Janki, Zenona, który dorobił się na delegacjach w zagranicznych metropoliach. Lubił Grzegorza, często zabierał go na przejażdżki kupionym samochodem. „Szczeniak bardziej mnie kocha od rodzzonego ojca”.

Elegancka walizeczka z naklejonymi kalkomaniami, w której ważny urzędnik mógłby zmieścić dokumenty, a także butkę z kielbasą, idealnie nadawała się na dzisiaj. Janka, wychodząc, popatrzyła na niego dziwnie. – Tylko nie zrób jakiegoś głupstwa. – Dopiero kiedy wyszła, zrozumiał, co miała na myśli. Głupia baba, ja jeszcze pożyję ładnych parę lat.

W tramwaju był tłok, stał więc na pomoście tyłem do kierunku jazdy. Kiedy był młodszy, wyobrażał sobie swoją zemstę zupełnie inaczej. Widział, jak wpada do gabine tu nowo mianowanego dyrektora Jerzego Kotery. Wpada oczywiście jak burza, za nim cisną się sekretarki, a on unosi w górę błagającego o litość Kotere. Wybite okno i unoszona wiatrem franka wypełnia cały pokój. Henryk spokojnie czeka na przyjazd milicji. Były to bardzo młodzińcze marzenia. W miarę staczania się próbował zemścić się prościej. Napisał w anonimie, brzydząc się sobą, że starsza siostra Kotery była eucharystką, a on sam nie został ministrantem tylko dlatego, że przyłapano go na kradzieży wina mszalnego. Była to prawda. Na szczęście nikogo już nie zainteresowała. Po miesiącu Kotera awansował na podsekretnarza stanu, a Henryk zaczął pić na dobre. Dlaczego Janka nie odeszła od niego? Może kochała go wtedy, a może nie miała dokąd odejść? Zmieniające się szybko prace są coraz gorsze. Był magazynierem, a później wagowym w składzie opałowym. Przez tydzień pracował nawet jako konduktor wagonu sypialnego na trasie Warszawa – Kołobrzeg. Załatwił mu to kolega nic niewiedzący o jego przypadłości. Wyrzucono go, gdyż pijany zamknął się w swoim przedziale i wyszedł stamtąd dopiero w Kołobrzegu. Na szczęście dla siebie, pracując później jako akwizytor w firmie malarskiej, spadł ze schodów. Był akurat trzeźwy. Otrzymał trzecią grupę i prawo na pół etatu. Przez kilka godzin dziennie, po napaleniu w piecyku i zrobieniu robotnikom kawy, spał na krześle w barakowozie.

W miarę mijanych przystanków denerwował się coraz bardziej. Myślał tylko o dwóch kieliskach wódki stojących przed nim w bliżej nieokreślonej knajpie. Nie ma wszystego esperalu i do pierwszego zabiera się powoli, łyćzek po łyćczku,

cały język świętuje. Drugi jednym haustem, wtedy szybkie ciepło w żołądku i spokojne ręce.

Tramwaj zatrzymał się nagle. Niebieska nysa z napisem: „Spółdzielnia Pracy Fotografia” tarasowała drogę. Motorniczy dzwonił i bluźnił smutnym głosem. Wreszcie od pobliskiego kiosku oderwał się mężczyzna w skórzanej marynarce, z fularzem pod szyją i o czerwonej nalanej twarzy. Miał minę faceta, który w swoim życiu uszczęśliwił więcej dziewcząt niż jego kolega rozwóżający masło lub sery. Był więc wyraźnie zadowolony. Siadł za kierownicą, wymachując gazetą, i odjechał. W tramwaju mówiono o nim aż do ogródków działkowych. Dopiero tam większość ludzi wysiadła. Zapach świeżej zieleni walczył teraz bezskutecznie ze smrodem tramwajowej dezynfekcji. Henryk usiadł i siedział do krańcówki.

Znał leżący daleko za miastem szpital z wojennych wypraw w poszukiwaniu żywności. Otaczał go kurczący się coraz bardziej park, dotykający swoimi krańcami chłopskich pól. Spodziewał się handlarek z kwiatami przed wejściem i wielu odwiedzających. Była tylko cisza. Senny portier zaczytany w wytuszczonym kryminale bez słowa wskazał mu drogę w stronę bielejącego z dala budynku. Starzy ludzie w barchanowych piżamach, a może kombinezonach, przekopywali klomb przed głównym wejściem. „Kotera? Ten z trójki? Powinien być w ogrodzie przy szklarniach. Trzeba obejść budynek, a potem prosto. Pan z rodziny?” – Salowa odprowadziła go wzrokiem.

Ominął dopiero co pomalowany fronton. W oknie kuchni, którą poznał po zapachu gotowanej kapusty, dostrzegł rumianą kobietę opartą o parapet. Pogwizdywała cicho znany przebój. Za jej plecami szamotał się mężczyzna w białym fartuchu. Niespieszony tym Henryk minął pomieszczenie gospodarskie, za którym kiedyś także był park. Ze starych topoli została tylko jedna. Wśród plastikowych tuneli uwijały się kobiety. Na trawniku przylegającym do szopy z narzędziami stał fotel na kółkach, w którym siedział siwy mężczyzna. Chciał go zapytać o Kotere, ale facet wyglądał, jakby spał na słońcu. Podeszedł więc i po kilku krokach zawrócił.

Na fotelu siedział przecież Kotera. Nie wiedział, po czym go poznał, ale był to na pewno on. Podeszedł bliżej na miękkich nogach. Dopiero kiedy jego sylwetka załoniła słońce, oczy tamtego otworzyły się. Postąpił jeszcze krok, przecząc dygot tydek. Właściwie czego się boję? Uśmiechnął się szeroko, z trudem rozciągając mięśnie twarzy. – Poznajesz mnie, stary? To ja Henryk.

Nie zareagował. Nie myśli? Może ja też wyglądam tak jak on? Może nie można mnie poznać? Zaczął jeszcze raz szybko: – Henryk z Ogrodowej. Pamiętasz gazety roznosiliśmy razem. Do kina z Reginą... Pat i Patachon, lubiłeś ich.

Kotera poruszył powiekami. Słońce odbiło się w jego tęczęczówkach, odstonięte przez pochylonego w gestykulacji Henryka.

– Przyszedłem cię odwiedzić. Dowiedzieć się, co słychać. – Rozejrzał się, chcąc na czymś usiąść. Nie zastanawiając się długo, rzucił niedbale walizeczkę syna i usiadł na niej. Zniknęły przez to kolorowe nalepki, jednak sam taki ruch miał także swoje znaczenie. Strzepnął niewidoczny pyłek z prasowanych długo spodni. – Co u Ciebie? – Patrzył wyczekująco. „Na pewno boi się teraz”. – Chyba nie najlepiej? Chorujesz trochę. No...

ale wyglądasz nieźle... opalony. U mnie wszystko pomalutku. Jestem prezesem sporej spółdzielni. Fotografiją artystyczną się zajmujemy. Nie wiedziałeś? Żadne чудо, ale otrzymaliśmy list pochwalny z Ministerstwa Kultury, wszyscy z nas zadowoleni. Jakoś się żyje. Dzieciak uparł się na akademię medyczną, same piątki w indeksie. Jak skończy studia, chce mieć samochód. Wariują ci młodzi czy co? Pamiętasz, ile się trzeba było naprosić o nowe buty? Ale ja tu się rozgadałem, a ty nic nie mówisz. Jak twoje dzieciaki? Racja, ty się chyba nie ożeniłeś. Miałeś rację. Obowiązki duże, a pożytku mało. Pewnie masz psa. Pies to wielki przyjaciel człowieka. Córką opowiedziała nam niedawno... mam też córkę, wygrała w zeszłym tygodniu olimpiadę matematyczną, a więc opowiedziała o psie, co to dwanaście lat czekał na swojego pana. Taki wierny. Popłakaliśmy się z żoną jak dzieci. Tak, miałeś rację z tym psem. To duża pociecha. Chart afgański? Droga rasa... Za większe pieniądze na pewno większa wierność. No co, chyba zapalimy. – Wyciągnął paczkę carmenów, otworzył jednym ruchem i podsunął w stronę Kotery. – Ach racja, przepraszam.

Wyjął jednego papierosa i wetknął tamtemu w usta. „Przydałaby się teraz jakaś ładna zapalniczka”. Zagrzechotał zapalkami i nachylił się z drgającym w dłoni płomieniem. Papieros nie chciał się zapalić. Henryk nachylił się głębiej i spojrzał Kotrze w oczy. Nie zobaczył w nich nic. Usta poruszyły się i papieros znalazł się na piżamie. Na prawym kolanie zaczynała brązowieć mała plamka.

– Rzuciłeś palenie? Dobrze robisz, to podobno trucizna... – Henryk strącił papierosa w trawę. – Stałeś się nieuważny, mogłeś się oparzyć. Kiedyś słyszałeś z dobrego refleksu, jak ten czas leci... – Zaciągnął się głęboko papierosem i rozluźnił krawat. Był już spokojny. – Ale upał, co? O tej porze roku to niespotykane, i te trzęsienia ziemi... diabli wiedzą co z tego będzie. O której macie obiad? Dobra kuchnia? Po co pytam, przecież inaczej nie byłbyś tutaj... – Wstał i podniósł z ziemi neseser. – Będę już leciał, masz tu pewnie dużo spraw. Jak się lepiej poczujesz, to koniecznie wpadnij do nas. Gospoia też dobrze gotuje, a i żona się ucieszy. Dzieciakom dużo opowiadałem o przyjacielu ojca z młodych lat. No, bywaj. – Poklepał Kotere delikatnie po plecach.

Szedł wyprostowany w stronę portierni. Czuł się młodszy o wiele lat. W domu jeszcze nikogo nie było. Położył się w ubrani na wersalce i natychmiast zasnął. Nic mu się nie śniło.

W następny piątek, nie wiedząc właściwie po co, znowu pojechał do szpitala. Był w starym poprzecieranym swetrze. Aż do jesieni przyjeżdżał prawie codziennie. Woził Kotere po parku i przecierał mu jabłka, kiedy były już tańsze. Pchając wózek, opowiadał przeważnie przedwojenne filmy, które oglądali kiedyś w kinie Rialto. Po szpitalu rozeszła się wiadomość, że Kotera w czasie wojny uratował mu życie, wynosząc na plecach z barykady i teraz on spłaca swój dług.

Kiedy we wrześniu umarł, Henryk nie poszedł na pogrzeb... Podobno był bardzo uroczysty.



Andrzej Bart, lata 70, archiwum prywatne

Z **Lidią Bogaczówną**
rozmawia Michał Zabłocki

Leń nigdy nie zostanie pisarzem

Lidia Bogaczówna | ur. 1957. Aktorka teatralna i filmowa. Związana z Teatrem im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. W latach 2006-2010 przewodnicząca oddziału ZASP w Krakowie.

Michał Zabłocki: Jesteś aktorką, więc po co ci pisanie?

Lidia Bogaczówna: Nie wiem. Jest mi zadane. Moją pasją w dzieciństwie były zeszytiki. Pisałam o wszystkim, co odkrywałam, językiem odkrywcy i poszukiwacza.

I to ci nie przeszło?

Nie.

Tak jak aktorstwo czy inaczej?

Zupełnie inaczej. Ja w ogóle nigdy nie chciałam być aktorką. Fascynowało mnie wszystko. Fizyka jądrowa, żeglowanie, archeologia śródziemnomorska. A potem nagle się obudziłam i stwierdziłam, że nie wiem, kim chcę być. I może dlatego zdecydowałam się na aktorstwo. Tu mogę być każdym po trochu.

Czy dobrze rozumiem, że pisanie jest dla ciebie w dalszym ciągu ważniejsze, niż aktorstwo?

Tak, zawsze było. Aktorstwo jest tylko zawodem, którym się zarabia na życie. A pisanie wynika z jakiegoś imperatywu wewnętrznego. Ja nic z tego nie

mam. Po prostu wiem, że muszę być świadkiem epoki. Bo czy zachowa się za sto lat pamięć o emocjach i myśleniu dzisiejszych ludzi?

Myślisz taką perspektywą?

Tak, nawet się martwię, że słońce za sto milionów lat wybuchnie. Jestem zaangażowana. Żyję bardzo intensywnie i obserwuję siebie. I patrzę, co się dzieje z moimi emocjami. Im więcej huku i zamieszania, im więcej się wydarza, tym ja mam większe skupienie. Spokój mnie dekoncentruje.

A jak to zapisujesz? Wiem o wierszach i znam *Widok z mojego oka*. Jest coś więcej?

Jest dziennik. Staram się w nim zapisywać moje zwariowane życie. Daję tam głos mojej zmarłej babci, która jest dla mnie najważniejszą postacią. Przywołałam ją z zaświatów i ona mi się wtrąca w życie. I jest jeszcze kot Mecenias, który też ma prawo głosu. Więc niby dziennik, ale wzbogacony o inne punkty widzenia.

Wspominałaś jeszcze o jakimś przewodniku.

Tak. Dużo podróżuję. Gdziekolwiek jadę, piszę przewodnik emocjonalny. Potem go przepisuję i wysyłam do znajomych. I nawet tak się zdarza, że niektórzy potem jadą na wyprawy z tym moim przewodnikiem. Nie obiektywizuję. Opisuję uczucia. Dzięki temu nigdy nie pomyli mi się żaden kościół, żaden zaułek.

Jakiś przykład?

Pamiętam, jak weszłam do impresjonistów w Paryżu. I tam była *Tancerka* Degasa. Stałam przed nią ponad pół godziny. Zobaczyłam w tym obrazie taką potworną wściekłość. Dziewczyna zawiązuje sobie baletkę. A na plecach czarna krecha. Nie powinno jej tam być O, wy buce, pomyślałam! Jak to było możliwe, że wyście tej sztuki nie rozumieli! Teraz go wystawiacie? A ilu pomijacie?

Mocne.

To samo w katedrach gotyckich. Zrozumiałam wreszcie to stare hasło *Ad maiorem Dei gloriam* – Dla większej chwały Bożej. Czy my jesteśmy w stanie sobie to wyobrazić, że taka katedra była budowana dwieście pięćdziesiąt lat? Z pokolenia na pokolenie? My chcemy wszystko mieć od razu. I mamy buble. A oni? Niesamowita była pokora tych

ludzi. To jest tak poruszające, wstrząsające. To trzeba sobie uprzytomnić. O tym jest mój przewodnik emocjonalny.

Przejdźmy do *Widoku z mojego oka*. Próbowалаś go wydać?

Wysłałam do wydawnictwa Pruszyński i spółka. I dostałam list pełen komplementów. Trzymam go na półkę. Że to jest bardzo piękne, co napisałam, ale że wymaga wrażliwości odbiorców, a oni takich nie mają, bo muszą zarabiać pieniądze.

To ja ci teraz powiem, co mi się spodało, a co nie. Jesteś na to gotowa?

Tak!

Byłem bardzo zaskoczony od samego początku. Tadeusz Peiper postulował pseudonimowanie rzeczywistości. Ty to robisz z wielkim sukcesem. Pisziesz o rzeczywistości, o życiowym konkrezie, który jest poddany pseudonimowaniu, i to jest gra, w której wygrywasz. Ale przegrywasz dalej, w tych fragmentach, których tutaj nie przedstawimy. Po prostu nie jesteś do końca konsekwentna.

Tak, wiem o tym.

Dlaczego zrezygnowałaś z pseudonimowania? Nie miałaś pomysłów?

Miałam wszędzie pseudonimy, ale je usunęłam. Wydawało mi się to manieryczne, zapętliliłam się w tym. Nie miałam koncepcji, jak z tego wybrnąć, więc to porzuciłam.

Byłabyś skłonna nad tym posiedzieć?

Jak najbardziej. Byłoby świetnie. Jestem pracowita. Ja zapisuję to, co we mnie puchnie. I jak to zapiszę, wracam po roku, dwóch i dopiero sprawdzam, co z tego wyszło. I może teraz znowu jest taki moment. Leń nigdy nie zostanie pisarzem.

Bardzo jestem ciekaw postępów tej pracy. Podoba mi się jeszcze jedna rzecz. Że nie wpisujesz się w bardzo dzisiaj modny nurt dekonstruowania rzeczywistości, wyśmiewania jej, przerażania nią. Przeciwnie – mitologizujesz ją, uwznioślasz. To bardzo niemodne. Jest wiele osób, które starają się przełamać tę tendencję, ale wpadają w banał. A ty ratujesz się pseudonimowaniem. I jeszcze subtelnością. Niedopowiedzeniem.

Lidia Bogaczówna

Widok z mojego oka

Moja cała obecna Przestrzeń płacze. Pewnie dlatego około tyle wody. Hm... coś mi się wydaje, że to przeze mnie. Muszę pomyśleć. Zaraz, zaraz, gdzie jest mój kciuk... jest. Ile razy trzymam go w buzi, lepiej mi się myśli. Ciekawe skąd to przyzwyczajenie. Wiem, że czeka mnie niedługo jakaś Podróż, potem ogromna Przygoda w innym Czasie i Przestrzeni. To nawet nie będzie podobne do tego, co było w Czasie Światła i Wiedzy.

Muszę zapomnieć wszystko to, co teraz wiem, a Przygoda polega na tym, żeby podczas jej trwania zdobyć jak najwięcej Świadomości tej, którą posiadam teraz. Podobno niewielu to się udaje. Och! To na pewno niezwykle ciekawe doświadczenie. Chwileczkę, a skąd ja to wiem? Kto mi o tym powiedział? Już zapominam? To znaczy, że Nieznane blisko. A tu coraz bardziej ciasno! Trochę się denerwuję, chociaż kiedy mnie wybra-

Bo ja z jednej strony muszę czerpać z życia, które mnie zapładnia, a z drugiej strony nie chcę na nim poprzestać. Staram się podciągać wszystko w górę. Na przykład poronienia...

No tak. To jest powiedziane, ale nie jest wywleczone. Nie wiem, czy wiesz, ale opowiedziałaś bajkę o sobie.

Tak, ja to nazywam żeńskim Małym Księciem.

Jako aktorka czytasz głównie dramaty?

No coś ty! Namietnie czytam wszystkie książki. Na przykład uwielbiam baśnie. Chciałabym właśnie takiego świata. Nie tylko literackiego – realnego. Że zło jest zawsze napiętnowane, że dobro zawsze zwycięża. Czy to nie jest możliwe? Jest! Po prostu się nie staramy! Dużo też czytam pamiętników. Na przykład pamiętniki z czasów wojny. I tam jest często taka odwaga! Tam jest taki niebotyczny heroizm! Uwielbiam to.

Michał Zabłocki | ur. 1964. Poeta, autor tekstów piosenek. Prezes krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Ostatnio wydał *Janowską* (2017).

Mieszkałam w drewnianym domu z duszą. Wybudował go Dziadek dla wszystkich, którzy z niego powstaną. Jest nas już wielu, ale tylko dla nielicznych ten dom jest Swoim Miejscem. Ten dom wie dużo, jednak milczy. Jest mądry, do niczego się nie wtrąca, ale się opiekuje. My nim też.

Mieszkałam w nim, myśląc, że on jest jedyny. Ale kiedy dorostałam, powiedziano mi prawdę:

- Są inne domy, jest ich bardzo, bardzo dużo, i wśród nich musisz znaleźć ten, który ma być twoim, ale najpierw musisz znaleźć To.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Wszyscy tak muszą robić. Tak robił dziadek, pradziadek. Jeśli ktoś się temu sprzeciwi, Coś się na nas gniewa. Ziemia staje się dla ciebie brzydsza.

Zmarwiłam się. Za nic nie chciałabym, żeby moje miejsce zbrzydło. Postanowiłam je obejść krok po kroku, zapamiętać i zapisać w oczach. Na zawsze. Żeby potem czerpać z tego siłę. Żeby w trudnych chwilach – jeśli by takie były – zamknąć oczy i kiedy pod powiekami z mgły i przeszłości odwiedzi mnie moje miejsce – słuchać. Ono przypomni mi wtedy moje chcenia i marzenia z czasów, kiedy wiedziałam, że wśród poziomek mieszkają krasnoludki. Na mojej polanie nigdy ich nie widziałam, ale czułam, jak mi się przyglądały, obserwowały. Szłam przez puszcę, która wznosiła ręce nad głowę i zasłaniała się przed ostrym czerwcowym słońcem. Szłam cicho, starając się nie deptać martwych liści dębu. Zmarły jesienią. Omijałam je z szacunku, ale też nie chciałam robić hałasu.

Powoli ocieplało się i jaśniało. Wchodziłam w Koniec, albo w Początek. Szłam przez złotą ścianę, chwilami nic nie widząc, oślepiona blaskiem Słońca lejącego się z góry. Wtedy stałam nieruchoma, prawdziwa na swoim miejscu. Byłam Czasem i Historią. Byłam tam od zawsze, nawet wtedy, kiedy mnie tam nie było. Nic nie wiecie o szczęściu, którzyście własnych miejsc nie zaznali.

Nagle obudził mnie drobny tupot, szelest. Ruszyłam głową i... byłam pewna, że to czerwona czapeczka. Biegłam w tamtą stronę, ale poziomki coraz słodsze, czerwieńsze wyrastały koło moich nóg, skrywając wszystkie inne czerwienie. Przekupywały mnie. Zbierałam je do kubeczka. Powoli zdradzałam leśne ludki, marząc o smaku poziomek ze śmietaną i z cukrem. Pachniały i smakowały tajemnicą.

- Ma! Gdzie znajdujesz takie piękne i smaczne poziomki? Nikt nie potrafi takich wyszukać.
- Na tej polanie, gdzie wszyscy je zbierają. Tej z krasnoludkami.
- Ma, bądź duża. To tylko polana. Zwykła polana.
- Muszę być duża?
- Wszyscy muszą być duzi. Tak musi być. Taki jest porządek.

Mam być duża, to będę. Ale tylko na zewnątrz. W środku będę mała, bo chcę, żeby mi zawsze smakowały poziomki. To jest moja Tajemnica, której nie wyjawiam nikomu. Wtedy też odkryłam moją pierwszą myśl i już nie byłam smutna. Nie będę miała innego domu, tylko będę miała dwa domy. Liczba domów nie jest chyba ograniczona zasadą. To ja jestem architektem i malarzem moich miejsc. I już spokojnie mogłam wyruszyć na poszukiwania To. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, co mnie spotka po drodze.

Od tej pory czekałam. Wiedziałam, że już niedługo. Zapachy wokół mnie były coraz bardziej intensywne. Świat zapachów kochał mnie. Kiedy teraz go przywołuję, przenosi mnie w te odległe czasy, niedosiężalne dla wyobraźni i pamięci.

Na początku był wawrzynek wilczełyko. Dostawałam go od dziewczynki, która mieszkała w Poziomkowym Lesie. Ostatnia chatka na skraju naszego świata. Wawrzynek – suche, ciemne, bezlistne gałązki obsypane różowymi kwiatkami pachnącymi końcem zimy. Potem fiołki. Na leśnych polanach wychodziły z ziemi zobaczyć, czy to już kwiecień. Z początku co odważniejsze, a potem więcej i więcej, całe zastępy odwdzięczały się słońcu delikatnym, słodkim zapachem. A kiedy oddały wszystko, co miały, przekazywały maj konwaliom. Przynosiłyśmy do domu całe naręcza. Babcia ostrzegała: „najpiękniej pachną w nocy, obejmują, odurzają. Nie wolno z nimi spać. To jest właśnie słodka zemsta”.

Wynosiło się je z sypialni, ale przez otwarte okno wsączał się zapach opiekuna naszych domów – bzu. Nigdy nie zabrakło nam zapachów.

Następne w kalendarzu były leśne storczyki. To już czerwiec? Rosły na podmokłych, leśnych terenach. Schowane w trudno dostępnych miejscach, o nieciekawych kwiatkach zdradzały się swoim zapachem. Już kilkaset metrów wcześniej szło się po tej smudze, jak po ścieżce.

Potem zapach łąk i polnych kwiatów, zapach zboża, zapach rozgrzanego powietrza nad rzeką na zakręcie, zapach pomidora i chleba z masłem roztopionym w słońcu kąpiącym się razem z nami na Pięciu Stawidłach.

Zapach pierwszych owoców w ogrodzie, zamknięty potem w słoiki przetworów; zapach szczapek smolnych na podpałkę w piecach, zbieranych szyszek w lesie, bo czymś trzeba było palić, a i las oczyścić. Potem choinka, potem ziemia pachnąca wiosną – i wszystko od początku. Po co nam kalendarze?

Na nieznane przygotowywała mnie Babcia. Babcie zawsze przygotowują na nieznane.

Po czym poznam To? Skąd będę wiedziała, że to on? Przecież nie mogę się pomylić.

- Nie bój się. Co czyje ma być, to będzie. Pamiętaj, jeśli spotkasz To, będziesz wiedziała od pierwszego uderzenia serca, że się nie mylisz. Ale pamiętaj, musisz być skupiona na sercu, daj mu wolność, nie prześlęp tego uderzenia. Pomagaj słabym i biednym, jeśli cię o to poproszą. Nigdy nie będziesz wiedziała, czy Coś nie chce cię wypróbować. Wiesz, że niektórzy nigdy nie spotkają swojego To?

- I co wtedy?
- Wtedy muszą być już do końca życia dwa razy jednocześnie. Muszą żyć dwa życia naraz, a mimo to są bardzo samotni i zmęczeni.

Nie chciałam, żeby mi się to przydarzyło.

Dużo czasu spędzałam teraz z Babcią. Byłam coraz bardziej gotowa. Pewnej nocy miałam sen.

Byłam w lesie. Szłam wąską, ciemną ścieżką, przy której rosły dziwne egzotyczne drzewa. Świeciły. Chciałam iść, ale nie mogłam wyobrazić sobie dali. Zatrzymałam się i zaczęłam układać bukiet z ogromnych, świetlnych liści i gałęzi karoliny obsypanej białymi kulkami śniegu.

Odwróciłam się nagle:

- Czego chcecie ode mnie?
- Soków.

Powróciłam zmęczona do bukietu. W dali grzmot, coraz bliżej, bliżej. Otoczyła mnie letnia ulewa. Drzewa zgasyły. Wraciałam ścieżką, a krople robiły mi drogę. Ulewa skończyła się nagle tak, jak nadeszła. Byłam zupełnie sucha. Coraz bardziej zmęczona postanowiłam czekać na Babcię.

- Jakie soki mam Im dać?

Walczyłam z obezważniającym mnie zmęczeniem. Karolina rzucała we mnie kulkami miękkimi, białymi, które odbijały się ode mnie jak ping-pongi.

Obudź się, obudź się, obuuuuu.....

Otworzyłam oczy i już wiedziałam, że to ten dzień. Wzywał mnie Świat. Niewiele zabrałam ze sobą: rady najdroższej Babci, mój świat pod powiekami i wiarę we mnie tych, co mnie kochali.

- To moja kolej. Na mnie już czas. Nie martwcie się. Na pewno tu wrócę. Nie sama. Taki jest porządek.

A potem wszyscy odprowadzili mnie do rozstaju dróg. Na Ziemi rozstaje to zawsze niepokojące miejsce. Do tej pory nigdy do niego nie dochodziłam, a teraz muszę go jeszcze przekroczyć. Sama. Wiedziałam, że kiedy przejdę na drugą stronę, już nigdy nic nie będzie takie samo. Zrobiło mi się smutno. Oglądałam się, a Oni byli coraz mniejsi i mniejsi. Kiedy stali w swoim miejscu, zrozumiałam, że to było tylko moje rozstaje. Oni go nigdy nie przekroczyli.

Szłam i szłam, aż wreszcie doszłam do miejsca na Ziemi, gdzie mieszkali Obcy, i gdzie nie było koloru. Był tylko szary. Nie było nawet białego i czarnego, chociaż Babcia zawsze mówiła, że biały i czarny to nie kolor. Tutaj nawet Zima nie była biała.

Obcy ciągle biegali i biegali. Nie mieli czasu ze sobą rozmawiać, ani ze sobą milczeć. Nie dawali sobie dobrych rad, ani nie patrzyli sobie w oczy. Też byli szarzy. Ja byłam kolorowa. Chciałam mieć czas i rozmawiać, i słuchać mimo wszystko.

Ale to, co było proste i oczywiste w moim Świecie, tu wydawało się trudne i dziwaczne. Tutaj nie było pór roku, nawet Słońca nie było, a w światłach Szarego Świata widać było wszelkie nieprawości Obcych.

Trudno z takiego miejsca zobaczyć poziomki. Musiałam nauczyć się kalendarza, bo tylko po tym poznawaliśmy, w jakim Czasie jesteśmy. Wszystkiego musiałam nauczyć się inaczej. Do życia też trzeba mieć zdolności, żeby umieć żyć. Ja umiałam coraz lepiej. Czasami nawet udało mi się wydobyć jakiś kolor. Niektórym Obcym to się podobało. Z czasem było ich koło mnie coraz więcej.

Polubili mnie i ja też ich polubiłam.

Ale To nigdzie nie było, a kartek w kalendarzu ubywało. Czasami napotykałam jakieś dobre oczy, wpatrywałam się w nie, były coraz piękniejsze, ale serce milczało. Powoli zaczynałam być znużona i traciłam wiarę.

I wtedy stało się.

Było ciemno i ciepło. Noc zarzuciła na Ziemię ogromny, granatowy muślin z malutkimi brylancikami. Zdziwiłam się, że widzę kolor. Nagle usłyszałam za sobą głos:

- Przepraszam, ty jesteś Ma?
- Tak. Skąd znasz moje imię?
- Moja Babcia często mi o Tobie opowiadała. Od dawna cię szukam. Jestem To.
- Ja Ciebie też szukałam. Jestem szczęśliwa, że wreszcie siebie mamy.

Podaliśmy sobie ręce i nagle poczułam, jak mocno zabiło mi serce. Czułam je wszędzie, a w brzuchu fruwały mi motyle. Chciałam, żeby zawsze tak było przy To. Był silny, ciepły i bezpieczny. Myślę, że kiedy Ma odnajduje swego To, to jest właśnie Szczęście. Przynajmniej na Ziemi. Nie mogliśmy rozstać się ani na chwilę. Musieliśmy opowiedzieć sobie przecież o Swoich Miejscach. Ale o krasnoludkach na wszelki wypadek mu nie powiedziałam. Nie chciałam, żeby się ze mnie śmiał. W tym świecie Obcych coraz bardziej wydawało mi się, że to tylko moje przywidzenie. Może później mu powiem. Jutro.

Rodzina To była na Ziemi od bardzo dawna, ale nikt z nich nie miał specjalnych zdolności do życia. No, może kiedyś mieli, ale czasy się zmieniły i To życie czasami zalewało. Dlatego ja uczyłam go, jak żyć, a on uczył mnie pewnych zasad, które teraz nie były już potrzebne, ale za to były bardzo ładne.

Na przykład, jak jeść potrawy, których od stu lat nikt już nie widział, albo jak powinien wyglądać strój na bal, chociaż nikt już bali nie urządzał. Taki Poradnik rzeczy nieprzydatnych.

Okazuje się jednak, że znacznie łatwiej i szybciej uczymy się rzeczy nieprzydatnych niż tych, dzięki którym możemy zmienić siebie i swoje bycie na Ziemi. Nie wiem, dlaczego tak jest. Kiedyś się nad tym zastanowię. Albo spytam Mądrego Człowieka. Jeśli się czegoś nie wie, trzeba o to pytać Mądrych Ludzi. Oni właśnie po to są. Ja zawsze tak robię.

Niedługo po tym, jak się poznaliśmy, dostałam od To pierwszy prezent. Granatowy, przezroczysty szal ze srebrnymi punkcikami. Mam go do tej pory. Podejrzewam, że to kawałek tamtej sierpniowej nocy, ale nie wiem, jak To go zdobył.

Nie tak łatwo stworzyć miejsce, które byłoby nie tylko moim i jego, ale które byłoby też jednocześnie naszym miejscem. Musieliśmy sobie z tym poradzić. Oczywiście najłatwiej byłoby klócić się, upierać przy swoim, co jest okrutnie nieciekawe, chociaż podobno niektórzy tak robią. My wybraliśmy trudniejszą, ale ciekawszą drogę. Wyruszając z dwóch przeciwnych krańców myślenia, musieliśmy spotkać się dokładnie w połowie. To świetna zabawa, chociaż wcale niełatwa. Ale często było też tak, że myśleliśmy dokładnie tak samo. Przecież byliśmy dla siebie stworzeni.

Powoli przyzwyczailiśmy się do naszego miejsca, a z czasem nawet je pokochaliśmy. Chociaż to nie była ani puszcza, ani mgły ranne nad łąkami z pieczarkami, które rosły na wolności i inaczej smakowały.

Wtedy zauważyłam, że rzeczy potrzebne człowiekowi do szczęścia zmieniają się z wiekiem. Przed drzwiami naszego domu było brzydko i szaro, jak wszędzie naokoło. Otaczał nas zimny kamień. Trzeba było mieć bardzo gorące serce, żeby nie dopuścić do siebie tego chłodu. Ale kiedy otwieraliśmy drzwi i wchodziliśmy do środka, pachniało ciastem, suszonymi jabłkami, konwalią, jedliną i szczęściem. Mieliśmy u siebie coraz więcej Obcych. Chcieli poznać świat zapachów. Lubiłam ich, chociaż niektórzy czerpali ze mnie soki, jak my wodę ze studni u Babci. Ale jeśli to im pomagało...

Ja nigdy nie byłam pusta. Wystarczyło zamknąć oczy i znaleźć się w świecie białych, wykrochmalonych prześcieradeł wygrzewających się na słońcu, w świecie kałuż pozostałych po letniej burzy, w których kapało się błękitne niebo. Zresztą ja też się w nich kapałam. Błoto jest cudowne. Tak cudowne, jak moje miejsce przy boku To.

Ale Życie na Ziemi jest zmienne. Szczęście nie jest nieszczęściem, dlatego jest szczęśliwe. Ale musi być też nieszczęście. Ja niestety wtedy tego nie wiedziałam. Cieszyłam się, bo miałam wszystko, o czym marzyłam. Nie chciałam żadnych zmian, ani rozwoju. A za to czeka kara.

☆☆

Pewnego dnia To zniknął. Dlaczego? Jak to? Zaczęłam się bać. Na pewno stało mu się coś bardzo złego. Czy Coś się gniewa na mnie? Nie mogłam spać, nie mogłam zrozumieć, znikły kolory i zapachy. To nigdzie nie było. Szukałam go całymi dniami, pytałam Obcych, czy go nie widzieli, wreszcie rozumiałam.

Nie było go w Szarym Świecie. Poczułam się ogromnie samotna. Wtedy nauczyłam się płakać. Ciekawe, skąd się biorą łzy. Na pewno nie z burzy, chociaż przychodzą z taką samą gwałtownością. A może z jesiennego deszczu, który zabija nadzieję na lepsze jutro? Z deszczu, po którym następuje śmierć, biała, zasypująca wszystko śniegiem? Po której nigdy nie zakwitną poziomki.

Byłam pusta w środku.

Pewnego brzydkiego, szarego dnia dostałam wiadomość. Ręce mi się trzęsły. Wiedziałam, że to niedobra wiadomość: „To ja, To. Kiedy odnalazłem Ciebie rozumiałem, że nigdy nie odnalazłem samego siebie. Muszę to zrobić teraz. Jeśli mi się uda – wróć. Przepraszam”.

Jeśli... Jak to się stało, że moje szczęście przyjmowałam jako nasze? Byłam aż tak w sobie i dla siebie? Dlaczego musi przydarzyć się nam nieszczęście, żebyśmy zobaczyli Świat naprawdę? Co mi z tego, że zmadrzałam. Zawsze mądrzeje się za późno. Nie wiedziałam, co zrobić z rękami. Do tej pory na końcu mojej ręki była zawsze ręka To. Musiałam znaleźć jakoś zakończenie tej historii. A może to był Koniec, i to on mnie znalazł?

Byłam teraz częściej między Obcymi. Robili wszystko, żebym zapomniała. Lubiłam ich za to, że próbowali. Aż pewnego dnia...

☆☆

Pewnego dnia pojawił się On. Powiedział, że jestem jego Ma. – Ale Ty nie jesteś moim To. To powinien być tylko jeden. Ja już go mam.

– W takim razie dlaczego nie jest z Tobą? To i Ma są nierozłączni. Ja Ciebie nie opuszczę nigdy, tak długo Cię szukałem.

Czy to możliwe, żeby znowu było takie samo szczęście, tylko z kim innym? Może warto spróbować? On był przeciwieństwem To. Kusił, obrzucał prezentami, przekonywał. Kiedyś nawet pokazał mi morze. W życiu nie widziałam czegoś tak ogromnego. Większy był tylko żal po To. Do tej pory kocham morze, ale się go boję.

A jeśli chodzi o Niego, to chyba go nie kochałam, chociaż starałam się bardzo. Czułam, że przy nim nie jestem sobą. Oddalałam się od siebie, od tej, którą lubiłam. On i ja byliśmy coraz bardziej podobni. Lepił mnie na swój obraz i podobieństwo.

Po jakimś czasie nie pasowałam już do siebie, do swoich miejsc, ale podejrzewałam, że do jego miejsc pasowałam idealnie.

I nagle znowu odkryłam pewną myśl. Zrozumiałam, że tak mógł przy mnie czuć się To, ale ja tego nie widziałam. Coś mnie ukarało. Nie przeszłam próby. Miałam wszystko, ale nie potrafiłam tego zatrzymać. Straciłam swoje szczęście. Jak żyć? Przypomniały mi się słowa Babci:

– Żyj tak, żeby – kiedy odejdziesz – płakali za Tobą, nigdy przez Ciebie.

[...]

Żyłam więc i nie żyłam. Kochałam i nie kochałam. Byłam szczęśliwa i nie byłam szczęśliwa. Wszystko „na niby”. To straszne. Nie życzę tego nikomu, bo najlepiej być na Ziemi naprawdę. Nie rozumiem tylko, dlaczego On nie widział, że wszystko było „na niby”. A może widział, tylko niektórzy wolą życie na niby?

Któregoś dnia powiedziałam nagle:

– Chcesz? Będę z Tobą na zawsze, mimo iż wiem, że nie jestem Twoją Ma, a Ty moim To.

– Całe życie czekałam na te słowa. Nie bój się. Będę Cię kochał za dwoje – tak mocno, że wreszcie zostanę Twoim To i zrozumiesz, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

W tym momencie zabiłam serce. Nie chciałam go więcej słuchać. Tak mijały dni, miesiące, deszcze, śniegi. Snuliśmy plany na przyszłość i udawaliśmy, że w nie wierzymy. Kiedyś On przyniósł mi ogromnego misia. Nie byłam już taka samotna. Miś rozumiał mnie bardzo i potrafił dochować tajemnic. Poznał moją duszę. Niedługo potem zobaczyłam, że Miś nabiera kolorów. Był coraz bardziej żółty. Co to ma znaczyć? Czyżby miało mnie spotkać coś, co przywróci kolory na Ziemi? O, jakże byłam podniecona, czułam, że niebawem wszystko się zmieni. Świat wygląda zupełnie inaczej, jeśli się ma Nadzieję... no i Misia.

Nastała kolejna Zima. Tym razem dziwnie biała, skrząca. Królowa Śniegu szczególnie się postarała. Czułam w tym podstęp. Czyżby chodziło o moje serce, które mimo ogromnych mrozów topniało?

Którejs nocy położyłam się do łóżka, ale nie mogłam zasnąć. Spojrzałam przez okno.

– Zapomniałaś o nas! – powiedziały gwiazdy.

Przestraszyłam się. Zamknęłam oczy. Leciałam w dół i w dół, i umierałam ze strachu. Czy jeszcze kiedyś będzie jutro? Złana potem spałam na łóżko. Ktoś pukał do drzwi.

– Ty jesteś Ma? Mam dla ciebie wiadomość.

Gdyby ta kartka miała świadomość, jakiej wagi posłanie nie-sie, ważyłaby tyle, co wszystkie moje ciężkie dni w życiu.

„Odnalazłem siebie po to, żeby zrozumieć, że bez Ciebie nie jestem sobą. Niedługo wrócę. Cóż warte jest życie bez Miłości”.

Bez podpisu. Po co podpis! Po co podpis, kiedy ktoś po drugiej stronie zna nas i oczekuje.

Oczekiwałam tyle czasu, widziałam setki razy nasze spotkanie, wiedziałam, co powie To, potem co ja, widziałam i czułam ogromną radość w wyobraźni. A teraz, kiedy to miało się stać, byłam przerażona. Bez żadnych konsekwencji wrócimy do siebie? A co z życiem i sercem tego, któremu obiecałam, że będę z nim na zawsze?

Nie przeszłam kolejnej próby. Zostałam ukarana za niecierpliwość i niewiarę. Łatwo się poddałam. Stara prawda mówi, że od przybytku głowa nie boli. Hm...no nie wiem. Co zrobić, żeby ktoś przeze mnie nie cierpiał? Którego wybrać? Nie mogę się tym razem pomylić. Limit błędów wyczerpany, a ja nie wiem, czego chcę.

Babcia! Moja najdroższa Babcia! Ona będzie wiedziała! Ona mi pomoże. Jest bardzo stara i zna wszystkie kombinacje tej układanki na Ziemi. Trzeba zawsze słuchać Starych Ludzi, bo oni patrzą NA życie, a nie PRZED życiem. Wybrałam się w podróż do Mojego Miejsca, które dla mnie zostawiło na zawsze wolną przestrzeń. Tam Czasu nie było, bo tam, gdzie jest Czas jest też Upływ, który niszczy. Tam była Babcia i poziomki. Szybko, szybko, byle do rozstaju, a potem już u siebie. Jednak rozstaju ciągle nie było. Nagle zobaczyłam mój dom. Zrozumiałam, że rozstaje mamy dla siebie w prezencie tylko w młodym wieku. Potem droga jest jedna, ale za to z wieloma zakrętami.

– Babciu, zbłądziłam, przestałam słuchać serca. Co dalej!

– Posłuchaj krasnoludków na polanie.

– Babciu! Zawsze o nich wiedziałaś? Wiedziałaś, że tam są? Wierzyłaś mi? Więc to mi się nie wydawało?

– A Ty myślisz, że skąd ja taka mądra byłam. Idź tam. Wróć do Początku.

Wróciłam. Szłam, zapadając się po kolana w śniegu. Nasłuchiwałam, czy w pobliżu nie usłyszę wycia wilków. Bałam się ich tak samo, jak tych, które wyskakiwały z kilimu nad łóżkiem w moje sny dzieciinne. Ale droga do Mądrości zawsze wymaga Odwagi. Drzewa przykryte śniegowymi pierzynami spały. Nie miałam świadków, ani obrońców. Byłam sama. Nie! Nie byłam. Poczułam czyjś wzrok. Stanęłam, wrosłam. Koło mnie pojawiały się różne zwierzęta. Wydawało mi się, że cała Arka Noego ociera się o mnie. Łączyła je jakaś mądra tajemnica. Nagle przede mną wyrósł wilk. Był dziwnie znajomy – pluszowo granatowy. To naprawdę było wilczyisko ze ściennego dywanika z sypialni. I chociaż tam rzucał się na oszalałe ze strachu konie zaprzężone do sań, to tutaj poczułam dziwny spokój. Patrzył prosto w moje oczy. Wstrzymałam oddech. Byłam pewna. Współczuł mi. Jego utkane życie było dla niego dużo bardziej zrozumiałe.

Odwrócić się i pogonić za resztą znikającą w coraz ciemniejszych kolorach.

Poczułam się mądra i spokojna. Znalazłam się na polanie i zamknęłam oczy. Po chwili usłyszałam znajomy tupot. Chciałam ruszyć powieki – były z betonu. Usłyszałam Dobrą Radę: „Wy – ludzie – zawsze wiecie, co zrobić, tylko się boicie. Odrzućcie strach i idźcie najprostszą drogą. Jeśli drugi człowiek poczuje w tobie siłę Prawdy – wybaczy. Jeden dar ludzie mają w nadmiarze. Dar komplikowania sobie życia. Im człowiek mądrzejszy, tym bardziej komplikuje, dlatego ludzie proszą są szczęśliwsi”.

Tup... tup... tup... Pusto, poczułam zapach poziomek. W zi-mie? Wróciłam do Babci. Wszystko stało się takie proste.

– Wiem, kogo wybrać.

– Ale pamiętaj, że wybór jest na zawsze. I bez względu na to, co Cię spotka po drodze od To, nie możesz narzekać. W życiu trzeba być konsekwentnym.

Czy jest coś na Ziemi lżejszego nad spokój sumienia?

Pożegnałam Swoich i znowu powędrowałam w Świat, którego Tajemnice coraz częściej odkrywałam.

Wróciłam inna. Odważna. On spojrzał w moją twarz. Nie, nie byłam odważna. Baliśmy się obydwójce tak samo. Serce nie chciało przy tym być – rozkołysane jak wahadło usiłowało wyskoczyć gardłem.

– To wraca?

– Tak.

– Wiedziałem, że kiedyś tak się stanie. Nie mów nic. Byłaś moim najcudowniejszym Miejscem w życiu. Zawsze będziesz moja, chociaż nigdy nie będę Ciebie miał. Poszukam Ma podobnej do Ciebie. Nie mów nic.

Poszedł.

☆☆

Nie wolno popełniać błędów, bo można zranić Kogoś, kto nas kocha, nawet wtedy, jeśli my Go nie Kochamy. Karą będzie Wieczna Pamięć i ból w dołku. Taka małułka blizna na sercu. Karą będzie Niepewność Wyboru, która zagnieżdża się w mózgu, żeby odezwać się w najbardziej trudnych momentach życia.

Czekałam. A jeśli To nie wróci? A jeśli się zmienił i nie jesteśmy już tym samym? A jeśli... Życie, to sztuka wyboru. Hm, ciekawe, czy sama to wymyśliłam, czy gdzieś usłyszałam.

Życie to wieczne czekanie na jutro. Dlaczego nie potrafimy żyć dzisiaj, tylko chcemy jutra? A przecież to „jutro” jutro będzie „dzisiaj”, ale wtedy to ono już nam się tak nie podoba. Kiedy „jutro” staje się „dzisiaj”, zawsze nas zawiedzie. A przecież życie jest dzisiaj. Nie wiadomo, czy „jutro” dostaniemy jeszcze kiedykolwiek w prezencie.

Ktoś zapukał. Niepewnie. Niepewność stała po obu stro-nach drzwi. No cóż! Trzeba je otworzyć, choć ważą całą naszą Przyszłość.

– Jesteś?

– Jestem.

Szczęście przysypał wstyd. Musimy się siebie uczyć od nowa – inaczej. Jak Adam i Ewa po zjedzeniu jabłka, kiedy to do Miłości i Wiary dochodzi Wiedza i Doświadczenie. Zaczęliśmy

od Przysięgi, „że cię nie opuszczę, dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Przysięga jest siostrą Niewiary i Rozsądku. Właśnie je poznałam. O, jakże wielka musi być wtedy Miłość! Mieliliśmy jej tyle, że można było w niej tworzyć. Dojrzeliliśmy do stworzenia nowego kształtu Miłości – ŻYCIA.

Tutaj na Ziemi to najważniejsze zadanie, jakie mamy do spełnienia.

Nastała Zima. Piękniejsza niż inne. Choinka pachniała bardziej, Ludzie byli lepsi, gwiazdy były bliżej, a prezenty najpiękniejsze na świecie.

Zbliżała się Wigilia. Wiedziałam, że będzie niezwykła, jak te z mojego dzieciństwa, z czasów, kiedy Świat widziałam z pozycji kilkudziesięciocentymetrowego człowieka.

Noc z piątego na szósteo grudnia była najdłuższą nocą w roku. Wiedziałam, byłam pewna, że tym razem nie zasnę i wreszcie go zobaczę. I kiedy wydawało mi się, że gdzieś z okolic poczty z dziwną wieżyczką słysząc dzwonki u sań, kiedy Wyjaśnienie było tuż-tuż, okazywało się, że z tą Tajemnicą nie wygram. Nagle siadałam na łóżku z szeroko otwartymi oczami. Jak to? Już dzień? A jeśli pod łóżkiem jest Nic? Wyskakiwałam z pierzyn, nie czując chłodu. Jest!!! Najpierw różga... Tak? Dlaczego? A jednak lekki rumieniec na buzi przypominał mi moje całoroczne powody. Różga nie pomalowana na złoto, z czerwonymi kokardkami, ale groźna, prawdziwa, z przedwojennych wiśni z ogrodu. Ale przecież prezenty też były! Buty zimowe z brązowego filcu, piżama flanelowa, dropsy pudrowe, miętowe z papierkiem w skośne złote paski, draże pomarańczowe, książka *Żegnaj koziołku*, czekolada, a nawet czasem pomarańcze. A Mikołaja nie widziałam. Znowu muszę czekać do następnego roku. Chyba że... uda mi się zobaczyć Aniołka, który w Wigilię kładzie prezenty pod choinkę, a to już niedługo.

Przywoływanie dzieciństwa jest sięganiem ręką po mgłę, jak po watę cukrową. Jaka to radość, kiedy z tej białej waty powstają na powrót figurki, obrazki, szczegóły. Takie małe szopki.

Nadszedł czas wyprawy po choinkę. Babcia, Mama, sanka i ja. Prosto do ośnieżonego lasu. Kiedy Mama wybierała z leśniczym drzewko, ja – po pas w śniegu – rozglądałam się niepewnie za wilczymi ślepiami. Wiedziałam, że wilki w Moim Miejscu były nie tylko na dywanie zawieszonym w sypialni u wezgłównia łóżek, ale te prawdziwe nie mogły być bardziej przerażające od tych z czerwonymi ślepiami, rzucających się na konie, które w panice wyskakiwały ze ściany prosto w mój sen.

Szczęśliwa wychodziłam z lasu z jodełką na sankach. Świerk nie należał do dobrego tonu. Jodełka pachniała i stała dumna zawsze do Trzech Króli. Każda choinka była po sufit, trzy razy taka jak ja.

Zmarznięta i wyszczypana przez mróz wracałam do domu. Mama szybko mnie rozbierała i hyc! Kładła na półce dużego pieca kaflowego w kuchni. Niedługo potem zaczynało się wreszcie przygotowanie Świąt. Każdy miał inną robotę. Dziadek robił gołąbki, Babcia i Mama piekły, a ja wraz z siostrą Za przeszkadzałyśmy. A najmłodszy brat Mamy to chyba w ogóle nic nie robił.

Potem było ubieranie choinki. Chociaż we wszystkich domach choinki są piękne, u nas oczywiście była wyjątkowa. A to z powodu nieprawdopodobnych lampek, których potem nigdzie indziej nie spotkałam. Wyglądały jak małe kolorowe talerze marsjańskie. Świetliki, które na czas Świąt spłynęły z nieba i odpoczywają przed dalszą podróżą. Każdy statek kosmiczny miał długi, szklany komin, podobny do termometru. Wypełniony przezroczystym, opalizującym płynem. Po paru minutach od włączenia płyn zaczynał delikatnie bulgotać, jak przed startem. Delikatne, kolorowe banieczki powietrza pykały subtelnie „wśród nocnej ciszy”, a ciepłem swoim zmuszały choinkę do dzielenia się z nami cudownym zapachem.

Z każdym kęsem Wieczery Wigilijnej czułam, jak ją zjadam, połykam i zaraz zjem całą. Żywimy się tym nastrojem na cały rok.

Potem prezenty od Aniołka. Nie wiem do tej pory, jak wyglądał. Jednak, tak jak Święty Mikołaj, nie dał się zaskoczyć.

Boże Narodzenie zawsze w domu. Nigdzie nie chodziliśmy i do nas nie przychodzili. Babcia mówiła, że to rodzinne święto, tylko dla domowników. Za to nie mogłam się doczekać drugiego dnia i wizyty u Cioć: Kasi i Stasi. Do bardzo starego, drewnianego dziewiętnastowiecznego domu najlepiej jechało się sankami. Przez mały, oszklony ganeczek, sień wchodziło się do niskiego pokoju dziennego, ciepłutkiego, obielonego. Pamiętam charakterystyczny zapach domu z rzadko otwieranymi oknami. Być może Ciocie bały się, że wyleci nimi wiek dziewiętnasty? Pokój z dużą choinką, komoda, nad nią lustro pochylone, jakby chciało połknąć nas i wewnątrz. Ciocia Kasia dreptała małymi kroczkami i zastawiała stół swoimi specjalnościami. Nie mogłam się nadziwić, jak Ciocie same potrafią zrobić kielbasy i pasztetówki. Kolędy, ciepło pobielonego pieca, pies Azor. I tak co roku. Drewniany dom Cioć stoi pusty obok zamieszkałego z pustaków. Ile razy wracam do Mojego Miejsca, idę tam i myślę, że dalej odbywają się te bajkowe Święta, misteria mojego dzieciństwa. Zastanawiam się tylko, czy ze mną?

A w Domu Moim i To miały być też piękne Święta, ale z innego powodu.

– Wiesz, To? Będziemy mieli DZIECKO!!!

Jeszcze nie wynalazłam słów na określenie takiego szczęścia. Wydawało mi się, że jestem przezroczysta i wszyscy widzą, jak we mnie dojrzewa Życie. Byłam Najważniejsza. Zauważyłam, że szczęście potrafi rosnać, jak drożdże, wylewa się z dzieży i pokrywa powoli wszystko, zaraża nawet kamienie. Wtedy właśnie spełnia się życzenie znalezione w Starej Księdze: „abyście byli jedno”. Wtedy Ma i To zawsze są „jedno”.

Wariacje | 2

Jerzy Franczak

Niewinne oko

Jerzy Franczak | ur. 1978. Prozaik, eseista, poeta, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ostatnio wydał *Sainte-Fabeau* (2017).

Zastony wdychały światło do szpitalnej sali. Nadymały się gorącym popołudniem i opadały na wysokie okna, łagodząc oślepiający blask. Ktoś otworzył drzwi i zastony poderwały się, falując na brzegach; zaszleściły poruszone wiatrem papie-ry, pokój pobielał, drżący huk robót drogowych lekko się wzmógł. Potem drzwi zamknęły się z głuchym odgłosem, zastony cicho odetchnęły i znów zrobiło się ciemniej.

– O nie, tylko nie kolejne kwiaty – powiedziała matka.

Widział wszystko zza przezroczystej ścianki swojego akwariowego łóżeczka. Czuwało nad nim lepkie oko rozwartej lillii. Czasem przeciąg owiewał go pieprznym zapachem frezji i chciało mu się kichać.

Edward St Aubyn, *Mleko matki*, przeł. Łukasz Witczak, Warszawa 2017.

Od pierwszego zdania wiadomo, że wylądowaliśmy w szpitalu. Pisarz, jak to często bywa, zafundował nam desant bez żadnej informacji o miejscu rzutu, więc rozglądamy się ciekawie po pomieszczeniu. To ostatnie naszkicowane zostało tyleż starannie, co subtelnie, a przede wszystkim – bardzo specyficznie. Nie dowiadujemy

się niczego o jego rozmiarze, usytuowaniu w budynku, funkcji czy umeblowaniu, zamiast tego obserwujemy grę elementarnych danych zmysłowych. Sala zdaje się żyć, przede wszystkim za sprawą zaston, które wdychają powietrze, niczym płuca. Skrawki falującej materii rozdzielają wewnątrz i zewnątrz, reagując na najłżejszy powiew. Razem z wiatrem, który wydyma zastony, do środka przedostaje się słoneczny blask. Dwa doznania splatają się ze sobą w znakomicie skondensowanych określeniach, przydając przestrzeni pozór życia: zastony nadymają się gorącym popołudniem i pokój bieleje, a gdy znów robi się ciemniej, towarzyszy temu ciche westchnienie tkaniny.

Powiedziałem, że „rozglądamy się” dokoła, od razu jednak pojawia się pytanie: z jakiej perspektywy i czyimi oczami? Obraz sali zredukowany został do kilku prostych kształtów, na pierwszym planie zaś toczy się walka światła i ciemności. Reszta tonie w niedookreśleniu; nie wiemy na przykład, kto zjawia się w drzwiach i do kogo mówi matka. Zupełnie jakbyśmy otrzymali wybrakowaną depeszę albo zadanie domowe z wykropkowanymi miejscami, w które trzeba wpisać to, co akurat przychodzi na myśl. Oczywiście, każdy wypełnia te luki własnymi wyobrażeniami; ja na

Sala zdaje się żyć, przede wszystkim za sprawą zaston, które wdychają powietrze, niczym płuca. Skrawki falującej materii rozdzielają wewnątrz i zewnątrz, reagując na najłżejszy powiew. Razem z wiatrem, który wydyma zastony, do środka przedostaje się słoneczny blask.

przykład widzę (nader stereotypowo) kobietę w białej koszuli nocnej, na której twarzy maluje się zmęczenie pomieszczone z radością, a która na widok gościa uśmiecha się i marszczy brwi, aż na czole wykwita jej pionowa zmarszczka. Trzymajmy się jednak tekstu, bo każdy zapewne łąca te dziury najbardziej własną materią, czy to zaczerpniętą wprost z doświadczenia, czy z *second handu* (na przykład z innych książek). A zatem „ktoś” (kto ciut dalej okaże się pielęgniarką) przynosi kwiaty, i to nie po raz

pierwszy, jak wnosimy z reakcji kobie-ty. Fakt, że zostaje ona nazwana mat-ką, każe domniemywać, że znajduje się w połogu – i że miejscem naszego de-santu był oddział położniczy.

No dobra, ale czyja to matka? Wie-le wyjaśnia kolejny akapit: bezimienny bohater – jakiś „on” – spoczywa w tó-żeczku i przygląda się temu wszystkie-mu przez jego przezroczystą ściankę (nawiasem mówiąc, słowo „bohater” dziwnie brzmi w tym kontekście, ale podejrzewam, że „protagonista” nie le-piej, zostaliśmy więc przy tym określe-niu pomimo jego heroicznych konotacji i pomimo tego, że bobas nie urwie łba żadnej hydrze). Każdy, kto ma za sobą lekturę paru powieści, zrozumie w lot ten sygnał – to oferta korupcyjna ze strony autora, który proponuje nam przyjęcie pewnej umowy w zamian za bliżej nieokreślone korzyści (takie jak wzruszenie, zamyślenie lub rozbawie-nie). Umowa brzmi tak: „strony zgodnie ustalają, że ten, kto opowiada niniejszą historię, nie mówi wcale o sobie, tylko o wymyślonych przez siebie postaciach, a robi to w ten sposób, że przyjmuje perspektywę jednej z nich, wcale przy tym nie udzielając jej głosu”. Tak na-prawdę co rusz idziemy na takie układy, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, a godzimy się na nie dlatego, że taki *deal* często się optaca (uczciwość oraz intratność tych układów bada nieza-leżny organ zwany krytyką literacką). Teoria literatury szukała dla tego chwy-tu rozmaitych określeń, jak mediatyza-cja albo fokalizacja, podczas gdy idzie o bardzo prosty manewr: snuję opo-wieść o moim bohaterze, przyjmując jego punkt widzenia (słyszenia, czu-cia, myślenia itd.), ale nie nakazuję mu wcale mówić we własnym imieniu i nie próbuję zανάdto upodabniać swoje-go języka do tego, którego on używa. W przypadku *Mleka matki* mamy do czy-nienia z jednym z najbardziej ryzykow-nych wariantów takiego zabiegu. Dłaczego? Ano dlatego, że nasz heros ma kilka dni – nie umie jeszcze mówić i bez wąt-pienia zupełnie inaczej postrzega świat.

Oczywiście St Aubyn nie jest pierw-szym pisarzem, który wziął na siebie ta-kie ryzyko, a cytowany fragment może budzić rozmaite skojarzenia – chociażby z firankami powiewającymi w pokoju małego Marcela, który kontempluje

swój pokój przez kilkadziesiąt pierw-szych stron *W poszukiwaniu straconego czasu*. Rzeczywistość oglądana ocz-a-mi dziecka nabiera swoistego kształtu (niekoniecznie „magicznego”, równie dobrze może upodobnić się do kosz-maru) i ujawnia swoje archaiczne pra-wa. Przy pomocy literatury próbujemy odświeżyć utracone doświadczenie życia w tej „demokracji obcości” (jak pisze dalej St Aubyn), czyli w świecie, w którym rzeczy, pozbawione imie-nia, zjawiają nam się po raz pierwszy i podlegają zadziwiającym metamorfo-zom. Co innego jednak obrać sobie za medium ośmiolatka czy choćby przed-szkolaka, a co innego wczuwać się w życie wewnętrzne noworodka.

Dodam od razu, że tylko początkowe partie powieści opierają się na takiej karkołomnej sztuczce, później narrator wychodzi z dziecięcego łóżeczka, by swobodnie wmieszać się w dorosłe towarzystwo. I to jakie towarzystwo!

Filtrowanie narracji przez wrażli-wość oseska siłą rzeczy musi operować konwencjonalnymi rozwiązaniami i tak właśnie dzieje się w tym przypadku. Mały Robert – tak ma na imię latorośl Melrose’ów – leży sobie spokojnie i obserwuje. Nie zabiera głosu, którego, jako dziecko, nie ma. Notabene we-dług *ancien régime*’owego powiedzon-ka nie mają go też ryby, więc chłopiec, umieszczony w „akwariowym łóżeczku”, wydaje się kwintesencją niemoty. Nie tylko milczy, ale też nie snuje żadnego monologu wewnętrznego, i bardzo do-brze, bo wyszłoby coś w rodzaju „I kto to mówi 4”. Przyjmujemy, że w kilka dni po narodzinach mógł „widzieć wszyst-ko”, słyszeć i rozróżniać dźwięki, czuć zapachy etc. – widać w naszej umowie z autorem zostało to zapisane petitem. Ale zauważamy też, że Robert wyjąt-kowo dużo rozumie: jego doznania wiążą się z nazywanymi przedmiotami

(okna, drzwi, papiery, lilia) i uzupełnia-ją o domyślne, bardzo złożone obrazy („huk robót drogowych”). Cóż, jego perspektywa i jego percepcja to rodzaj chwiejnej hipotezy, formułowanej w ję-zyku, który ją niweczy. Znaleźliśmy się w samym sercu konwencji, która obsłu-guje „wyrażanie niewyraźnego” – bo ostatecznie jak oddać w mowie świat niemowlaka?

Dodam od razu, że tylko początkowe partie powieści opierają się na takiej karkołomnej sztuczce, później narra-tor wychodzi z dziecięcego łóżeczka, by swobodnie wmieszać się w dorosłe towarzystwo. I to jakie towarzystwo! Przedstawia nam najznakomitszych przedstawicieli współczesnej arysto-kracji (skojarzenie z Proustem zachowuje moc) i portretuje ich z niebywałą złośliwością. Karty jego cyklu powie-ściowego (*Mleko Matki* stanowi przed-ostatnie ogniwo pięcioksięgu) zalud-niają potomkowie znakomitych rodów, których jedynym tytułem do chwały jest szlachetne pochodzenie, którzy dochody czerpią z kapitalizacji niebo-tycznych majątków i spędzają czas na niekończących się podróżach, przyję-ciach i rautach, a wykwint i ogląda ma-skują jedynie ich wewnętrzną pustkę i dwulicowość, grę interesów i zawiści. Zdzierając zasłonę i ukazując nam ze-psucie angielskiej socjety, pisarz wcho-dzi w rolę *Nestbeschmutzera*, twórcy kalającego własne gniazdo – rodowe i klasowe. Na pierwszym planie sytuuje się historia życiowa Patricka Melro-se’a, molestowanego w dzieciństwie, duchowo okaleczonego, walczącego ze skłonnościami do autodestrukcji i z nałogami. Robert to jego pierwo-rodny syn – i tylko w pierwszej części utworu zmuszeni zostajemy do przyję-cia jego perspektywy. Potem spojrzenie niewinnego, dziecięcego oka przestaje rządzić opowieścią, która, co znamien-ne, od razu wytraca swój liryzm i osu-wa się w wiwisekcję psychologiczną i satyrę społeczną.

Okazuje się też, że obrazy pierw-szych chwil życia były zapośredniczone w imaginacji kilkulatek: „mniej więcej tyle Robert zapamiętał z pierwszych dni życia” – czytamy (i odruchowo pod-mieniamy „zapamiętał” na „wyobrażał sobie”). Impuls do tych rozmyślań dały narodziny młodszego brata, Thomasa,

który wzbudza zazdrość, gdyż skupia na sobie całą uwagę rodziców, ale przy okazji intryguje; co ten kandydat na człowieka widzi i co rozumie z tego, co widzi? „Kiedy znało się już słowa – roz-myśla Robert – mogło się wydawać, że świat jest wszystkim, co daje się opisać, ale świat to były też rzeczy, których nie daje się opisać. W pewnym sensie lepiej było wtedy, kiedy nie dawało się opisać. (...) Człowiek, który wpadł w język, mógł już tylko tasować za-tłuszczoną talię kilku tysięcy słów, z której korzystały wcześniej miliony ludzi”. Oto paradoks całego przedsię-wzięcia: wpadliśmy w język, a próbuje-my odzyskać przedświatne zdumienie.

Jak można by inaczej potasować tę zatłuszczoną talię? Opis ożywia salę szpitalną, ale nadzwyczaj nieśmia-ło (wystarczy przypomnieć sobie, co wyprawiały tapety w opowiadaniach Schulza!). Czy dałoby się wyraziściej ukazać ten ruch, w którym kształty, dźwięki i wonie łączą się, utożsamiają

i znowu rozdzielają? Może przysłużyłoby się temu rozerwanie niezwykle re-gularnej składni, która porządkuje i hierarchizuje drobiny doświadczenia? Co oddałoby wrażenie tajemniczej wie-lorakości, rozsyпки i poplątania – urwa-ne zdania, pojedyncze słowa, neologi-zmy? Pisarz zespala doznania z różnych kanałów zmysłowych („drżący huk”, „lepkie oko”), a jednak daleko mu do mistrzów synestezji (jak Vladimir Nabokov). Czy dałoby się pójść dalej w stronę „barwnego słyszenia”? A gdyby tak uruchomić pracę metafory; czym jest ta zimna i biała przestrzeń w chwilę po narodzinach – niegościnnym łonem, miejscem wygnania, atrapą (to jednak wymagałoby ostrożności; raczej delikat-nej sugestii niż prostej przenośni)?

Tym razem pointę zastępują pyta-nia, bo też postawione przez St Au-byna zadanie pisarskie przybiera tryb podwójnie pytajny: z jednej strony „jak wygląda świat odbity w niewin-nym oku?”, a z drugiej „jak odnaleźć

drogę do tego raju utraconego, jak odzyskać pierwsze chwile w całej ich nagości”? Maksymalistyczne przed-sięwzięcie, uwikłane w sprzeczności, ubrane w konwencje i z góry skaza-ne na klęskę! A jednak coś sprawia, że chętnie pakujemy się w tę kabałę. Mnie na przykład kusi w niej obietnica odzyskania materialności świata, który uwalnia się od sensów i staje się sen-sualny. Nad łóżeczkiem, miast Opatrz-ności, czuwa „lepkie oko rozwartej lilii”, a reszta istnieje o tyle, o ile błyska, mruczy albo wierci w nosie. To samo chyba nęci kilkuletniego Roberta – w jego pamięci „niemowlęctwo bra-ta eksploduje jak bomba głębino-wa” i powraca niejasne wspomnie-nie „gradu przedmiotów bez nazw, nazw bez przedmiotów”.

Szukajmy więc takiej sekwencji zna-ków, w której osadzi się coś z tego nie-mego doświadczenia. I nawet jeśli się nie uda, będzie to piękna katastrofa.

Anatomia opowiadania | 2

Maciej Miłkowski

Po nitce, bez wybojów

Jak skonstruowany jest „Zbiór, którego nie było” Stefana Zweiga

Maciej Miłkowski | ur. 1980. Prozaik, krytyk literacki, tłumacz. Ostatnio wydał tom opowiadań *Drugie spotkanie* (2017).

Trudno o bardziej prostoduszną stra-tegię pisarską niż streszczenie całego opowiadania w samym jego tytule. Zweig, nadając swojej noweli tytuł *Zbiór, którego nie było*, udowadnia, że z pewnością zaskakiwanie czytelnika rozwojem fabuły nie jest jego celem.

Taki tytuł nie tylko podsumowuje wy-darzenia, zanim zostaną one opowie-dziane, ale również rozwiązuje wszelkie zagadki, zanim te zdążą się pojawić. Wszystkie niedopowiedzenia zostają z góry wyjaśnione, wszelkie inter-pretacje narzucone, wszelkie pędy

narracyjne przycięte. Mamy do czy-nienia z opowiadaniem liniowym – nie będzie tu żadnych rozrastających się ścieżek.

Zbiór, którego nie było to opowieść o niewidomym starcu, przed laty słyn-nym kolekcjonerze rycin i szkiców.

Starca odwiedza berliński antykwariusz i ku swemu przerażeniu odkrywa, że cały zbiór został wyprzedany z powodu trudnej sytuacji materialnej rodziny. Żona i córka starca, korzystając z jego ślepoty, ukrywają przed nim likwidację zbioru, każąc mu „ogłądać” umieszczone w teczkach puste arkusze. Antykwariusz prześladowany przez kobiety włącza się do gry i przez kilka godzin „podziwia” puste karty, wysłuchując objaśnień kolekcjonera, jakiego to niby ma przed oczami Dürera czy Rembrandta.

Zweig był rówieśnikiem Musila. Był też rówieśnikiem Joyce’a. Urodził się rok po Musilu, kilka tygodni przed Joyce’em. Zmarł rok po Joysie, kilka tygodni przed Musilem. Fascynujące jest, że niemal zupełnie ominęła go „rewolucja joyce’owska” – jeśli w ogóle do niego docierała, pozostał na nią całkowicie odporny.

W oryginale jest *Die unsichtbare Sammler*, czyli raczej *Niewidzialny zbiór* – może dla niemieckojęzycznego czytelnika sprzed stu lat w tym unsichtbare kryła się jakaś tajemniczość. Jeśli nawet jakaś groza w tym unsichtbare tkwiła, to Zweig ją natychmiast usuwa, dodając do tytułu podtytuł. Już samo użycie podtytułu w literaturze pięknej mówi nam dużo o autorze i jego sposobie myślenia o pisaniu, o pisarzu, o czytelniku, o sensie literatury w ogóle. Gdyby Zweig pisywał dramaty, z pewnością lepiej czułby się w didaskaliach niż w dialogach. Podtytuł *Opowiadanie z czasów inflacji z roku 1924* jest swego rodzaju przypisem postawionym, z nim w ogóle pojawił się komentowany tekst. Gdyby czytelnik nie wychwycił całego kontekstu historycznego, to mu

się ten kontekst dokładnie objaśni. Na wszelki wypadek objaśni się go z góry. Czytelnik ma od samego początku wiedzieć wszystko. Odpowiedzią na taki rodzaj literatury jest słynny początek *Człowieka bez właściwości* Roberta Musila, w którym autor drobniawo wylicza warunki meteorologiczne panujące w dniu, gdy zaczyna się fabuła powieści.

Zweig był rówieśnikiem Musila. Był też rówieśnikiem Joyce’a. Urodził się rok po Musilu, kilka tygodni przed Joyce’em. Zmarł rok po Joysie, kilka tygodni przed Musilem. Fascynujące jest, że niemal zupełnie ominęła go „rewolucja joyce’owska” – jeśli w ogóle do niego docierała, pozostał na nią całkowicie odporny. Wraz z nim odporna pozostała również czytająca publiczność: za życia Zweig był szalenie popularny, częściej czytany niż Joyce, nie wspominając już o Musilu. Lekceważąc w znacznej mierze poszukiwania modernizmu, Zweig w najlepsze tworzył prozę „pre-modernistyczną” (podobnie jak nieco od niego starszy Thomas Mann). Nowele Zweiga (tak jak powieści Manna) są swego rodzaju łabędzim śpiewem wieku dziewiętnastego: śpiewem, który nieskrępowany rozbrzmiewał w pełni w tym samym czasie, gdy T.S. Elliot oznajmiał, że Joyce wiek dziewiętnasty „zabił i pogrzebał”.

Pisanie prozy przed Joyce’em (tak jak komponowanie przed Schönbergiem czy malowanie przed Picassem) musiało być dość pracochłonnym, a jednak niezbyt wymagającym zajęciem. Pisało się od lewej do prawej, nie stawiając przy tym żadnych szczególnie wyrafinowanych pytań warsztatowych. Pisało się tak, jak się czyta. Właściwie wszyscy pisarze dziewiętnastowieczni (może prócz Flauberta) byli swego rodzaju „Nikiforami literatury”. Pisarzy niewielkiej miary (Kraszewski, Dumas), średniej miary (Balzac, Dickens) i wielkiej miary (Dostojewski) łączyła w zasadzie ta sama metoda twórcza. Po linii, po nitce, bez wybojów, najlepiej w gazetowych odcinkach, trochę dookoła, ale generalnie jednak do jasnego – dla autora i czytelnika – celu. Holenderski prozaik Harry Mulisch mówi, że nazywało się to realizmem, chociaż wcale realizmem nie było, bo realne nie są wcale wymyślone zdarzenia, a tylko i wyłącznie

sam akt opowiadania, sama sytuacja, że ktoś komuś opowiada pewną – nie-realną – historię.

Pisarze pre-modernistyczni albo w ogóle nie zadawali sobie żadnych pytań warsztatowych, albo uznawali je za na tyle mało istotne, że automatycznie przypisywali do nich stale te same, wielokrotnie wypróbowane odpowiedzi. Nawet jeśli tych pytań nie widać, to doskonale widoczne pozostają same odpowiedzi. Fascynujące jest obserwowanie, w jak lekki sposób, jakim mimowolnym wzruszeniem ramion można było zrzucić z siebie kwestie, które pisarzom przyszłych epok (a w wypadku Zweiga – pisarzom współczesnym) będą zajmować więcej czasu i będą ich kosztować więcej trudu niż samo pisanie.

Dwa najważniejsze pytania, na które musi odpowiedzieć sobie autor każdego opowiadania (Zweig też, nawet jeśli tego sobie nie uświadamia) pozostają niezmiennie od początku istnienia gatunku. Po pierwsze: kto to komu opowiada? Po drugie: kto co wie? Śledząc odpowiedzi, jakich udzielił sobie Zweig, pisząc *Zbiór, którego nie było*, mimowolnie myślimy nie tylko o jego własnym warsztacie, ale również o licznych możliwościach, jakie z pewnością wykorzystałaby większość pisarzy współczesnych, opisując tę samą historię. Jak to jest zrobione? I jak to mogłoby być zrobione?

Problem pierwszy: kto to komu opowiada? Odpowiedź na to pytanie służy podstawowemu uwiarygodnieniu literatury pięknej, z samej definicji zajmującej się nieprawdą. Rozwiązanie typu „ja-pisarz opowiadam to tobie-czytelnikowi” nie jest satysfakcjonujące i raczej się go unika, a jeśli w ogóle pojawia się w starszej literaturze (na przykład Mann miewa takie wtręty), to stosowane jest dość niekonsekwentnie i jest raczej wyrazem bezradności niż wyrafinowanej strategii pisarskiej. Inaczej sprawa wygląda u postmodernistów. Tam jest to rozwiązanie stosowane najczęściej, tyle tylko, że ujęte jest ono (jak wszystko u postmodernistów) w swego rodzaju nawias. Na jakiejś płaszczyźnie „ja-pisarz opowiadam to tobie-czytelnikowi”: i z jednej strony nie będziemy tego ukrywać, ale z drugiej na tym mostku zbudujemy zaraz jakieś dekoracje, które niby będą tę relację uwypuklać, ale równocześnie też nieco maskować.

Zweig w *Zbiorze, którego nie było* sięga po jedną z najbardziej wyeksploatowanych odpowiedzi. Historię opowiada narratorowi (przypuszczalnie tożsamemu z pisarzem) nieznajomy w pociągu. „Zaraz za Dreznem wsiadł do naszego przedziału jakiś starszy pan, uklonił się pasażerom uprzejmie – a potem drugi raz skinął głową, specjalnie pod moim adresem, jak gdybyśmy się znali (...). Początkowo rozmowa przeskakiwała z tematu na temat. Nagle mój towarzysz podróży powiedział: – Muszę panu opowiedzieć historię, której byłem świadkiem”. Na kolejnych stronach „towarzysz podróży” faktycznie opowiada historię, stając się faktycznym narratorem opowiadania, przejmując tę rolę od narratora pierwszego i całkowicie go uciszając.

Co ciekawe ten pierwszy narrator jest u Zweiga zupełnie niewykorzystany: w opowiadaniu modernistycznym czy postmodernistycznym pełniłby z pewnością o wiele ważniejszą rolę i regularnie by powracał. Gdyby takiego ramowego narratora wprowadził Nabokov albo Barth, to z pewnością nie dałby czytelnikowi ani na moment o nim zapomnieć. „Słuchacz z pociągu” nieustannie komentowałby historię „opowiadacza z pociągu”, a na koniec okazałoby się, że sam odgrywa w niej jakąś rolę, że słuchający jest jednym z jej bohaterów, a opowiadacz zastawił narracyjne sidła na samego siebie. Bez wątplenia grano by również relacją narrator-autor. Czy słuchający opowieści nieznajomego z pociągu to sam autor? Czy może raczej jakiś kolejny narrator, który gdzieś kiedyś (gdzie? kiedy?) opowiedział/ opowie tę historię narratorowi? Zweig tej gry nie podejmuje. Raz porzucony pierwszy narrator więcej się już w opowiadaniu nie pojawi. Kiedy drugi narrator (nieznajomy z pociągu) kończy swoją opowieść, kończy się i całe opowiadanie. Otwarty w pierwszym akapicie nawias nie zostaje w ogóle zamknięty.

Nieliczone powieści i opowiadania zaczynają się w ten sposób. Dyskusja w pociągu otwiera *Sonatę Kreutzerowską* Tolstoj, w pociągu zaczyna się *Idiota* Dostojewskiego. Ogólnie środki lokomocji dobrze służą literaturze: sam Zweig umieszcza akcję dwóch swoich słynnych opowiadań, *Amoku* i *Noweli szachowej*,

na statku. Podróż jest jedną z nielicznych sytuacji, w czasie których da się w sposób wiarygodny zainscenizować spotkanie z kimś nieznanym – w dodatku trwające wiele godzin. Może nieprzypadkowo era podróży samolotowych, wagonów bezprzedziałowych oraz stref ciszy jest też czasem uwiadu prozy narracyjnej. W połowie dwudziestego wieku wielką rolę w zawiązywaniu opowiadań zaczęły pełnić środki komunikacji zbiorowej (Cortázar!), ale wszechobecne słuchawki wyraźnie tę rolę podkopały. (W pewnym stopniu lotniska przejmują rolę, którą dawniej pełniły przedziały kolejowe – to na lotniskach toczy się akcja wielu współczesnych opowiadań).

Podróż tworzy swoisty czas poza czasem, tworzy strefę wyjętą ze zwyczajnego życia, równocześnie stanowiąc samą kwintesencję zwyczajności (sprawy żywieniowe i toaletowe w podróży odgrywają większą rolę niż w jakiegokolwiek innej sytuacji). Podróż zmusza do wchodzenia w intymne – niekiedy nazbyt intymne – relacje z zupełnie obcymi ludźmi. A ponieważ dokładnie tym samym jest czytanie czyjejś książki, to i nic dziwnego, że pisarze tak chętnie sięgali po podróżę jako punkty zawiązania fabuły. Generalnie jednak jest to otwarcie z repertuaru pisarzy dziewiętnastowiecznych – i ich spadkobierców – a sięgnięcie po tę technikę dowodzi, że pisarz nie przywiązuje specjalnej wagi do kwestii konstrukcji.

Co ciekawe, epoki wcześniejsze wcale nie wykazywały się podobną nonszalancją. U Cervantesa czy Sterne’a zagadnienie „kto to komu opowiada” stanowi jeden z głównych problemów powieści. U jednego i drugiego problem ten nie zostaje zresztą rozwiązany i powraca w całej powieści, domagając się aktualizowanych rozwiązań. Dwa główne źródła, z których rodzi się nowożytnie opowiadanie – *Księga 1001 nocy* oraz *Dekameron* – opierają całą swoją konstrukcję na kunsztownej odpowiedzi na pytanie, kto jest opowiadającym, a kto słuchaczem. Odpowiedź na to czysto warsztatowe pytanie staje się istotną częścią fabuły, bez której nie sposób sobie wyobrazić żadnego z tych dwóch zbiorów. To właśnie inteligentna i bardzo wiarygodna konstrukcja szkieletu czyni z tych cykli opowiadań prawdziwe arcydzieła. Późniejsi

twórcy będą szukali równie wyrafinowanych rozwiązań – wiek osiemnasty zaowocuje powieścią epistolarną oraz wszelkiego rodzaju „odnalezionymi” rękopisami. Dopiero w wieku dziewiętnastym większość twórców zacznie się ograniczać do zgranych sztuczek. Nic dziwnego, że pisarze modernizmu i postmodernizmu będą sięgać raczej do Cervantesa i Rabelais’go niż do Balzaka i Dickensa – tak jak twórcy muzyki atonalnej sięgali do Bacha ponad klasykami i romantykami.

Pisarze pre-modernistyczni albo w ogóle nie zadawali sobie żadnych pytań warsztatowych, albo uznawali je za na tyle mało istotne, że automatycznie przypisywali do nich stale te same, wielokrotnie wypróbowane odpowiedzi.

Podobnie rozkłada się historia odpowiedzi na drugie najważniejsze pytanie opowiadania: kto co wie? U Boccaccia częściowa niewiedza poszczególnych postaci stanowi prawdziwy fundament opowieści. U pisarzy dwudziestowiecznych nie wszystko wiedzą nie tylko postaci, ale również i czytelnik, a wreszcie sam autor. Pisarze dziewiętnastowieczni (i ich następcy w typie Zweiga) zwykle ograniczali się do prostej strategii: autor wie wszystko, a czytelnik ma się w miarę szybko wszystkiego bezboleśnie od niego dowiedzieć.

Gdyby *Zbiór, którego nie było* pisał jakiś współczesny, świadomy możliwości technicznych autor, to z pewnością rozegrałby na wielu płaszczyznach problem wiedzy i niewiedzy. Przede wszystkim nie wszystko od samego początku musi czytelnik wiedzieć (trzeba by zmienić tytuł). To, że ryciny pokazywane antykwariuszowi są puste, dałoby się powiedzieć znacznie później,

a po drugie na raty. Byłoby o wiele lepiej, gdyby czytelnik najpierw zaczął to podejrzewać, a dopiero potem został o tym wprost poinformowany. Ta wiedza powinna pojawiać się najpierw w minach, gestach i niedopowiedzeniach obu kobiet, potem w zachowaniu antykwariusza, a dopiero na końcu – jeśli w ogóle – można by ją zaserwować bezpośrednio.

Druga możliwość wymagałaby rozdzielenia obu postaci kobiecych (u Zweiga są one w zasadzie jedną osobą, niczym się nie różniąc w swoich motywacjach i zachowaniach). Gdyby – na przykład – córka ukrywała fakt sprzedaży rycin przed matką, a nie tylko przed niewidomym ojcem, to wówczas wizyta antykwariusza miałaby zupełnie inne znaczenie. Nawiązanie z nim przez córkę błyskawicznego i niemego porozumienia stanowiłoby prawdziwą oś opowiadania. Można by pójść w drugą stronę i zamiast poszerzać pole niewiedzy, zainwestować w pole wiedzy. Oczywiście rozwiązanie:

stary ślepiec wie. Niewidomy wie, że jest oszukiwany, ale udaje, że nie wie, a tylko w jakimś jednym opuszczeniu gardy, w jakimś drobnym przejęzyczeniu zdradza się ze swoją wiedzą. Przez moment wydaje się, że Zweig gra z takim rozwiązaniem, kiedy pisze, że ślepiec „spojrzał” na żonę. Prawdopodobnie jednak jest to tylko niezręczność stylistyczna.

O ile rewolucja joyce'owska całkowicie ominęła Zweiga, o tyle na jego pisarstwie silne piętno wycisnęła inna dwudziestowieczna rewolucja – freudowska. Analiza psychologiczna jest bez wątpienia najmocniejszą stroną wszystkich najlepszych opowiadań tego autora. Tłumiona seksualność, natręctwa, fiksacje i regresje stanowią filar jego najlepszych fabuł. Szkoda, że nie zapożyczył od Freuda także problemu nieświadomości i nie implementował jej swoim postaciom oraz czytelnikom. Jak wybitne mogłyby być jego opowiadania, gdyby do nastroju i szerokiej palety emocjonalnej dołożyć jeszcze trochę rzetelnej roboty konstrukcyjnej. Z powodzeniem jednak mogą sobie

wyobrazić, że ktoś stawia odwrotny zarzut wszystkim Pynchonom, Cooverom i Barthom, wszystkim Calvinom i Perecom. Jaka szkoda, że do wyrafinowanej konstrukcji, nie potrafili dołożyć nieco „psychopatologii życia codziennego”. Bo oprócz rozwiązania problemu, kto to opowiada, trzeba oczywiście mieć jeszcze coś do opowiedzenia. Oprócz rozwiązania kwestii, kto ma co wiedzieć, trzeba mieć jeszcze jakąś wiedzę do pokazania lub ukrycia. Zweig tę wiedzę i tę opowieść ma. Jak wspaniałe mogłyby być te opowiadania, gdyby je trochę technicznie podkreślić! Wielka szkoda, że w literaturze jakoś nie przyjęły się remaki. Dużo bym dał za to, aby móc przeczytać *Nowelę szachową*, *List od nieznajomej*, *24 godziny z życia kobiety* czy właśnie *Zbiór, którego nie było* zrekonstruowane i „cyfrowo” odnowione przez jakiegoś Mario Vargasa Llosę albo Milana Kunderę.

Sprawy | 2

Anna Nasiłowska

Ubezpieczenia dla pisarzy

Anna Nasiłowska | ur. 1958. Poetka, pisarka, pracownik Instytutu Badań Literackich PAN. Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Droży Państwo, jest dobra wiadomość! Trwają prace nad projektem ustawy zapewniającej artystom specjalny status wobec ZUS i umożliwiającej im uzyskanie dostępu do świadczeń zdrowotnych na takich zasadach, że możliwe stałoby się ich opłacanie z dochodów uzyskiwanych z umów

autorskich. Jeszcze nie wiadomo, jak miałyby wyglądać konkretne rozwiązania, ale rozmowy się toczą. Uczestniczą w nich przedstawiciele różnych organizacji, starszych i nowszych, zrzeszających pisarzy, muzyków – wykonawców i kompozytorów, aktorów, reżyserów filmowych i teatralnych oraz – uwaga,

gdyż sprawa jest delikatna – plastyków oraz przedstawicieli sztuk wizualnych. Ci ostatni określenie „artysta-plastyk” uważają za archaiczne, a nawet uwłaczające i kontrują stanowisko „starych związków”. Także w dziedzinie literatury po kilku felietonach prasowych Jacka Dehnela, dotyczących sposobu

przyznawania specjalnych uprawnień, zanosilo się na konflikt, doszło jednak do spotkania „struktury poziomej” i im dłużej dyskutowaliśmy nad szczegółami możliwych rozwiązań, tym więcej pojawiało się punktów wspólnych.

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich nie jest bardzo starym związkiem, gdyż powstało w 1989 r., z pewnością jednak starszym niż Unia Literacka, która w momencie, gdy piszę ten tekst, nie została jeszcze zarejestrowana w Krajowym Rejestrze Sądowym. Ze względu na różny wiek i doświadczenie członków SPP mamy także świadomość wielu zaszłości. W PRL istniała możliwość opłacania emerytury twórczej jako podstawowej lub jako dodatku do świadczenia wynikającego z etatu. Ten system był kontynuowany po 1989 r., po czym w 1999 r. w ramach reformy emerytalnej możliwość taką zniesiono. A co się stało z płaconymi przez lata składkami? Z punktu widzenia ZUS składki te a-n-u-l-o-w-a-n-o, z punktu widzenia samych zainteresowanych zostały zawłaszczane przez państwo czy też ukradzione. Po reformie artyści mogą opłacać składkę na takich samych zasadach jak przedsiębiorcy, a jej wysokość jest wyliczana nie na podstawie ich realnych zarobków, ale średniej województwa. Wychodzi 1200 złotych miesięcznie. Bardzo dużo!

System ten nie uwzględnia też specyfiki pracy artystycznej. Książkę pisze się przecież kilka lat, w każdym razie tyle trwa praca nad powieścią, zbiorem esejów czy biografią. Dochody są zwykle jakoś podzielone, najpierw zaliczka, potem coś kapie po trochu ze sprzedaży. System podatkowy i system opłat na ubezpieczenia społeczne dostosowany jest wyłącznie do sytuacji zatrudnionych, którzy regularnie otrzymują comiesięczne pensje. Nie znam nikogo, kto opłacałby emeryturę z dochodów uzyskiwanych z twórczości na tych zasadach. Wymyślono kilka innych, bardziej racjonalnych rozwiązań, jak: należy podać się za rolnika i korzystać z dobrodziejstwa KRUS albo kupić jakieś atrakcyjne mieszkanie i żyć z wynajmu. Poza tym dobry jest comiesięczny felieton albo naukowy etacik. Każda z takich sytuacji ma swoje wady: żeby zostać rolnikiem trzeba mieć ziemię; żeby żyć z wynajmu – trzeba by mieć

ze trzy mieszkania i jeszcze jedno dla siebie; żeby żyć z felietonów, trzeba obsługiwać ze trzy pisma. Także etat naukowy to teraz sprawa poważna, trzeba się wykazywać, doktoryzować, nauczać, poza tym pisanie naukowych tekstów wymaga stosowania specjalistycznej terminologii, co fatalnie wpływa na język literacki.

Bywa też, że pisanie wierszy angażuje tak bardzo, iż poeta zatrudnienie się na jakimkolwiek etacie uważa za rzecz niemożliwą i – wbrew naturze – woli żyć bardzo biednie ze stypendiów, nagród, drobnych publikacji i honorariów za spotkania autorskie, a emeryturę się nie martwi, gdyż na przyszłość przewiduje Nobla.

Wprowadzenie specjalnych zasad dla niezatrudnionych na etacie, nieobjętych ubezpieczeniami społecznymi free-lancerów byłoby ogromnym krokiem naprzód. Kto miałby prawo korzystania z tego typu systemu? I tu pojawia się problem, choć w obowiązującej dzisiaj oficjalnej klasyfikacji zawodów istnieje zawód „pisarz”. Definicja być może wymagałaby niewielkiej korekty, ale wiadomo, że pisarz tworzy dzieła oryginalne, objęte ochroną praw autorskich. Gdy jednak zastanowimy się nad tłumaczem i artystycznym wymiarem jego pracy – sprawa zaczyna się komplikować. Wszystko jest jasne, gdy arcydzieło otrzymuje swój znakomity polskojęzyczny odpowiednik. Jeśli jednak dzieło oryginalne jest pospolitym popkulturowym wytworem lub zwyczajnym gniołem? Jeśli tłumacz je poprawi, jego tłumaczenie nie spełni podstawowego wymogu – adekwatności.

Twórcy wizualni (w przeciwieństwie do plastyków) podkreślają, że jakkolwiek ocena wartości pracy czy jej poziomu pachnie cenzurą, wejście do systemu powinno wypływać wyłącznie z faktu uzyskiwania przeważającej wysokości dochodów z pracy o charakterze artystycznym. Tego typu podejście nazwano w trakcie dyskusji „modelem przychodowym”. Inny model (nazwijmy go „merytorycznym”) opierałby się na opisie dorobku i rekomendacji stowarzyszeń; miałby on tę zaletę, że uwzględniałby na przykład sytuację poetów, których dochody z publikacji mogą być minimalne, ale znaczenie dla literatury – często ogromne. Bywa też, iż pisanie wierszy angażuje tak bardzo, że poeta zatrudnienie się na jakimkolwiek etacie uważa za rzecz niemożliwą i – wbrew naturze – woli żyć bardzo biednie ze stypendiów, nagród, drobnych publikacji i honorariów za spotkania autorskie, a emeryturą się nie martwi, gdyż na przyszłość przewiduje Nobla.

A tu właśnie dochodzimy do całkiem świeżej sprawy. Od początku 2018 r. honoraria za spotkania autorskie klasyfikowane są nie jako umowy o dzieło, ale jako prace zleczone i obciążone większym podatkiem, bez możliwości odliczenia pięćdziesięciu procent kosztów uzyskania przychodu. Wobec tego nie zalicza się ich także do przychodów z pracy artystycznej. Podobnie potraktowana została praca tłumaczy oraz aktorów na próbach. Być może zostanie to zmienione, o co się upominaliśmy, ale ten przykład pokazuje, że także przy czysto liberalnym, dochodowym podejściu istnieje możliwość manipulacji i nie wszystko jest jasne.

Na razie trwają intensywne dyskusje. Daleko jeszcze do wypracowania konkretnych założeń ustawy, która – jak chce Ministerstwo Kultury – mogłaby być częścią ustawy o prowadzeniu działalności artystycznej, albo – jak to widzi większość stowarzyszeń – powinna być odrębna. Zobaczymy!

Zbigniew Fałtynowicz

Cztery obrazy („suwalsko-krakowskie”¹) z Leszkiem Aleksandrem Moczulskim

Leszek Aleksander Moczulski | ur. 1938, zm. 2017. Poeta, autor tekstów piosenek. Współtwórca Teatru STU. Laureat nagrody Krakowska Książka Miesiąca za książkę poetycką *Elegie o weselu i radosne smutki* (1997).

1.

W październiku 1990 r., wraz z Jarosławem Sieradzkim, przeprowadziłem z Leszkiem Aleksandrem Moczulskim rozmowę, która ukazała się sześć lat później pod tytułem *Kochaj tylko Wenecję... pracy, piękna i dobrej myśli* w mało komu znanym piśmie „Ocalenie przez Poezję”. Oto początek tej rozmowy:

Zbigniew Fałtynowicz: Dwa są miejsca, w sensie geograficznym, znaczące w Twojej biografii: Suwalszczyzna, gdzie się urodziłeś, spędziłeś dzieciństwo i wczesną młodość oraz – oddalony od niej – Kraków, w którym mieszkasz i tworzysz od czasów studiów. Różnica między nimi ogromna...

Leszek Aleksander Moczulski: Ja przede wszystkim chciałem wyjechać do Wenecji, aby się uczyć. To jest niezaspokojone pragnienie wyższej szkoły. Nie ma innej Wenecji w Polsce niż Kraków. Byłem w dziesiątej klasie z wycieczką w Krakowie i los mój został przesądzony.

W 1989 r. opublikowałeś wybór wierszy *Odwitania z Suwalszczyzną*, w którym realnie i w pamięci istniejąca „domowa ojczyzna”, dająca poczucie zakorzenienia, wpisana została w krąg Twojego widzenia i rozumienia porządku świata.

Kraków? Suwalszczyzna? Nie, nie. To fizyczne, biologiczne. Budzę się rano w Krakowie. Wiem, że trzeba zacząć dzień od pochwalenia Pana Boga. Patrę w okno. Nawet kiedy jest słońce i wyjątkowo jak na Kraków piękne niebo, mówię: to nie jest moje niebo; to jest niebo Południa. Nigdzie nie ma

takich obłoków jak tam, gdzie się urodziłem i wychowałem. Są one opisane w *Panu Tadeuszu*, te obłoki, niebo Północy. Jestem synem marnotrawnym. Wychowałem się w scalonym świecie Sernetek, z dziadkiem Antonim. [...] A potem wielki świat. Ta moja Wenecja-Kraków. Nowinki paryskie, wstyd za dziadka Antoniego, głupstwa ucieczek przed *sacrum*, wreszcie grzech najcięższy (przeciwko Duchowi), czyli zlekceważenie „dziedzictwa dzieciństwa”. Te wszystkie „pozytywizmy” czy „neopozytywizmy”... [...] Po wielu latach rozumiałem, że [ten scalony świat Sernetek] była to moja pierwsza prawdziwa Wenecja. Nie ta, co prawda, „od pałaców nad kanałami”, ale ta z drugiej strony, rybacka, prosta, „ludowa”. Ale tak samo nieśmiertelna. [...] powiedziałem sobie: „Kochaj tylko Wenecję... pracy, piękna i dobrej myśli”.

2.

W sobotni wieczór 18 października 1902 r. w krakowskim Teatrze Miejskim sala teatralna wypełniła się wcześniej niż zwykle, bo jeszcze przed godziną 7. Przybyła zwykła publiczność premiera oraz liczni wielbicieli poetki. [...] Z powodu późnego przybycia jubilatki wieczór rozpoczął się niemal o trzy kwadranse na 8. W przedśionku teatru dyrektor przyjął jubilatkę i wprowadził do loży na pierwszym piętrze, pięknie ozdobionej kwiatami, a publiczność przywitała jej przybycie hucznymi oklaskami. Odegrano dwie jednoaktówki przerobione z nowel jubilatki, mianowicie: „Miłosierdzie ludzkie” przez Adolfa Nowaczyńskiego i „Bociany” przez Andrzeja Marka. W przerwie p. Wysocka wypowiedziała wiersz „Do granicy”; p. Mrozowska wiersz „Nad starą tamą”. P. Kotarbiński ze zwykłym zapalem i siłą wygłosił wiersz „Z łak i pół”. Uscenizowanie jednego z najpiękniejszych wierszy jubilatki „W piwnicznej izbie” powiodło się nader szczęśliwie. Entuzjazm sali znalazł wyraz w gorących owacyjnych oklaskach, skierowanych

1 Leszek Aleksander Moczulski urodził się 18 lutego 1938 roku w Suwałkach. Miasto nad Czarną Hańczą odwiedzał wielokrotnie i nigdy go nie opuścił. W Krakowie mieszkał na stałe od 1956 roku. Pod Wawelem pozostał na zawsze – zmarł 17 grudnia 2017 roku i spoczął na cmentarzu na Salwatorze.

do wspaniale udekorowanej łoży pierwszego piętra, gdzie jubilatka zasiadła w otoczeniu swych dzieci oraz pani Maternowej z Pragi i Marii Dulębianki. Tak relacjonowano na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” (1902 nr 43) pierwszy dzień obchodów w Krakowie jubileuszu 25-lecia literackiej działalności Marii Konopnickiej.

Po stu dziesięciu latach, czterech miesiącach i jednym dniu w łoży na pierwszym piętrze dużej sali tego samego teatru zasiadł (w niedzielne samo południe 17 lutego, w przededniu swoich 75. urodzin) inny poeta rodem z Suwałk – Leszek Aleksander Moczulski. Było czternaście minut po dwunastej, kiedy na scenę weszli Anna Dymna i Krzysztof Orzechowski. Dyrektor teatru przywitał zgromadzonych: „Teatr swój widzę nie tylko ogromny, ale pełen publiczności. Czyż może być większe szczęście? Ale uroczystość jest wielka i godna takiej obecności”. Tłum rzeczywiście kłębił się przed teatrem już od godziny jedenastej. Po wejściu krakowianie, miłośnicy i cotygodniowi bywalcy salonów poezji, przyjaciele Jubilata, historycy literatury, profesorowie UJ, poeci, fani Skaldów z całej Polski zapełnili wszystkie z 936 miejsc siedzących i trudne do zliczenia miejsca stojące. Anna Dymna, gospodyni 404. Krakowskiego Salonu Poezji, zwróciła się do przybyłych słowami: „Dzisiaj jest wielkie święto, wielki jubileusz naszego przyjaciela, czarodzieja, który pisze wiersze. Kiedy czytam te wiersze, to ogarnia mnie spokój, cisza, robi mi się zielono i wszystko mi się uśmiecha – cała jestem w skowronkach”. Gdy wybrzmiewała ta wypowiedź, jupitery skierowane zostały na łożę Jubilata. Zagrzmiały oklaski.

W jednym z celnych komentarzy, spajających poszczególne segmenty programu, Krzysztof Orzechowski powiedział z nieukrywanym żalem, że „jedyną skazą dzisiejszego Jubilata jest to, że nie urodził się w Krakowie”.

Tak to Kraków przygarnął Marię Konopnicką, wybitną poetkę, która urodziła się w dziewiętnastym wieku w Suwałkach. Ponad wiek później przygarnął także Leszka Aleksandra Moczulskiego, wybitnego poetę dwudziestego stulecia, który urodził się w Suwałkach.

3. Podczas wernisażu wystawy *Leszek Aleksander Moczulski – Nie nicość, nie nicość, nie nicość/ A Miłość, a Miłość, a Miłość* w suwalskim Muzeum Okręgowym 12 marca 2013 r. odczytany został list poety, w którym napisał on:

[...] Kiedy układam słowa wiersza lub piosenki, często powracają mi w pamięci obrazy stron rodzinnych. Posłużę się tu jednym cytatem:

O, te jeziora, co wokół rozlane,
borów i lasów, i ciszy potęga.
To, co się kocha na zawsze zostaje....

Zostaje na zawsze w żywej pamięci miasto moje rodzinne Suwałki, dom na ulicy Żeromskiego, moi kochani Rodzice oraz ich przyjaciele suwałczanie rodowici i eks-grodnianie i oczywiście moje Rodzeństwo. W pamięci na zawsze zostaje krajobraz – ten od chwili pierwszego zauroczenia przyrodą Suwalszczyzny, oglądany jeszcze oczami małego dziecka, gdy przemieszkivaliśmy w kilku

wioskach na skraju puszczy Augustowskiej, po wysiedleniu nas z domu rodzinnego w Suwałkach przez Niemców w roku 1941. I ten krajobraz z czasów dorastania – od pierwszych dotknięć jeziora wiosłem, po dłuższe wyprawy Czarną Hańczą z namiotem. Krakowowi wiele zawdzięczam, tu studiowałem, debiutowałem, tu wreszcie najdłużej żyję. Ale codziennie, gdy tutaj o poranku spoglądam na niebo, a jest to niebo Południa, nie opuszcza mnie myśl, że moje niebo to niebo Północy, niebo bogate w obłoki pełne tajemniczych kształtów, rozpięte nad ziemią suwalską. I wiem, że ta myśl bliskiej łączności będzie mi towarzyszyć zawsze [...].

4. Fragment nieznanego wiersza Leszka Aleksandra Moczulskiego z ostatniego okresu *Wstęp do życia*:

[...] *Jeśli nie tu, to gdzie jestem
Złote słońce las przenika
Trawa śpiewa nad mą rzeką
I w strumieniach drży muzyka*

*Byłem cały pod chmurami
Wśród osiczyn pokrzyw białych
Teraz mą ojczyznę Kraków
Tu nie cały tam nie cały
[...]*

Jaki motyw jest wspólny dla tych czterech opisanych tu obrazów? (wybranych z wielu innych). Motyw suwalsko-krakowski. Motyw krakowsko-suwalski. Co ten motyw spaja? Wenecja. Praca, piękno i dobra myśl. Miłość.

Zbigniew Fattyłowicz | ur. 1954. Edytor, redaktor, animator kultury. Wydał m.in. *Przewodnik. Miłosza/Krasnogruda* (2012). Starszy kustosz w Muzeum Okręgowym w Suwałkach.

Leszek Aleksander Moczulski

Moja olcha

Tak dużo błękitu nad głową
Więc co mi jeszcze trzeba
Obłoki nad pochyloną olchą
Przemycają zieleń do nieba

To trochę jak testament
I trochę tak jak oda
Gdzie Puszcza Augustowska
I Czarnej Hańczy woda

Życie to góry doliny
I lasy niosące echo
Ta myśl mnie nie opuszcza
Że każdy ma swe drzewo

Tu duszy mej połowa
Bo druga jest w Krakowie
Tu szumi las pradawny
Tu duszy mojej spowiedź

Nad wodą – Czarną Hańczą
Olchy z olchami tańczą
Olcha tęskni za ludźmi
Do niej ja tęsknię bardzo

Na brzegu rzeki olcha
Co nigdy się nie podda
Tyle ciszy by dotknąć radości
I widzę przez trzciny leśnych gości

Ty olcho na mnie patrzysz
Jaka tego przyczyna
Sama a więc samotna
Jedna olcha jedyna

O, olcho!
Mą duszę utęsknioną
I tych co w życiu są jak turyści
Obejmij, otocz i przemów
Zielonymi nad wodą liśćmi

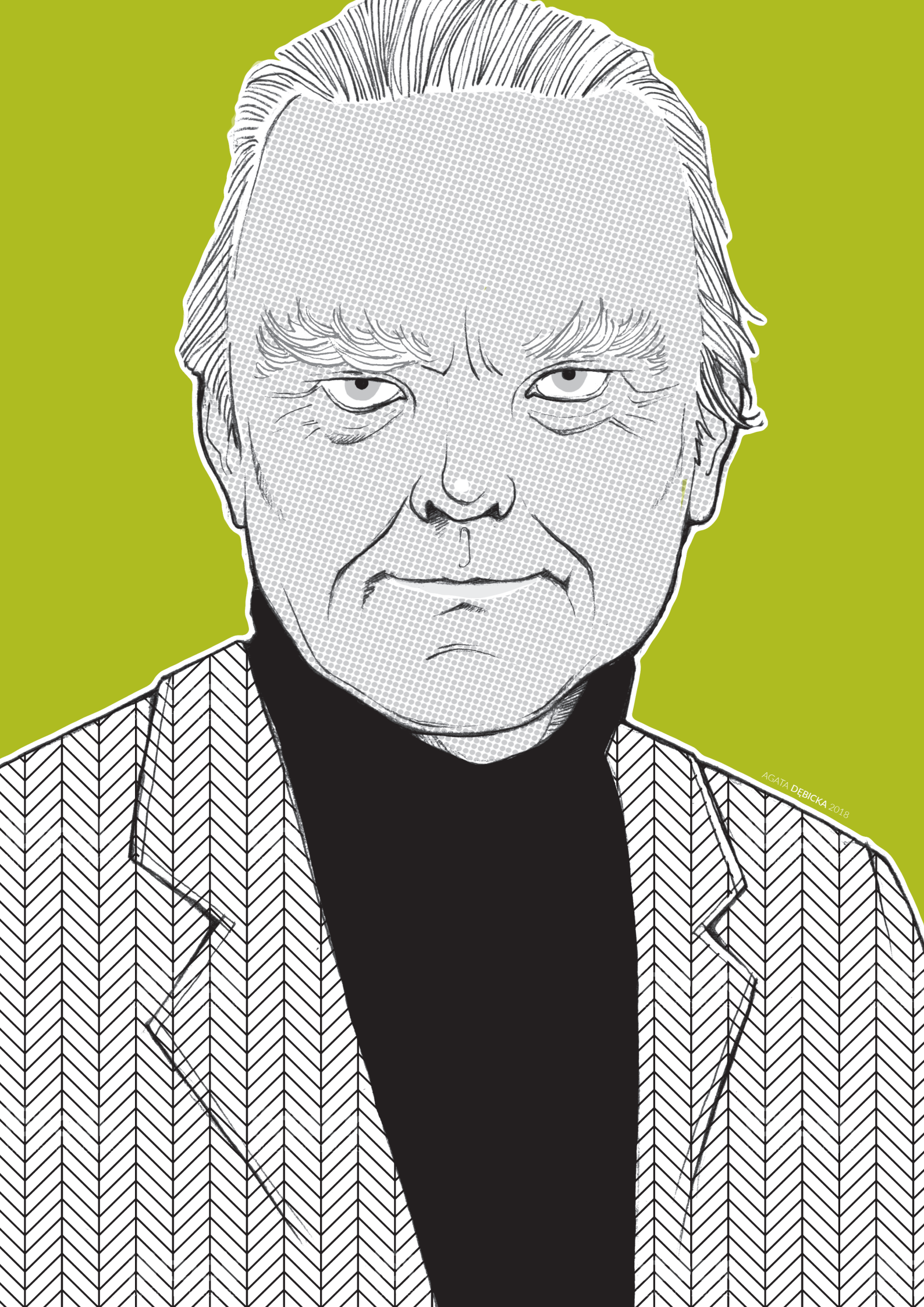
Ach,

baśniowe dni wsnione w dni realne,
przeżycia zwykłe z dzieciństwa, dziś astralne.
Ach, tak wygląda Czarna rzeka, Czarna Hańcza
w oczach tamtego dziecka, dziś wygnańca.
A nad Wigrami gaworzy żaba z ptakiem w trzcinach.
Ty wodo wszystkich jezior, ma jedyna.
Korony drzew puszczy z drugiego brzegu,
nie wyjechałem wcale stąd, choć tak ode mnie tu daleko.
Łąki wzdłuż brzegów rozpostarte bujną trawą,
widzi to człowiek z zielenią wokół całą.
Ach, Sobolewo, ta zaginiona wśród wzgórz kraina,
przez powietrze widzę, w chmurze lasu Sobolewo zasypia.
Czas wracać dokąd? Serce nie chce wiedzieć,
tak pięknie tutaj w czerwcu, w lecie.
Więc jak Ariadny trzymam z nicią rękę Zbyszka,
by kiedyś jeszcze wrócić, choć życie grzmi i błyska.
Gdy się spotykamy, gdzieś się dotykamy,
gdzieś w zaciszu serc tęsknota się budzi.
Czy odwzajemniamy tęsknotę tych wierzb,
tych jezior, tych pól do ludzi?
Splot dróg się zwierza, słysząc tupot świata,
a Suwalszczyzna w obłokach nade mną,
przede mną w kwiatkach.

Suwałki, 10-14 czerwca 2013
Kraków, 16 czerwca 2013

Samotność i nie samotność

Samotność i nie samotność,
ulotność i nie ulotność.
Wielość, a tak jedna.
Kres, a przecież bez dna.
Tam, gdzie nie ma godzin,
tam, skąd tu przychodzisz.
Nie nicość, nie nicość, nie nicość.
A Miłość, a Miłość, a Miłość.



Adam Lizakowski

Jak poznałem **Czesława** **Miłosza**

Czesław Miłosz | ur. 1911, zm. 2004.

Poeta, eseista, tłumacz, prozaik.

Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1980).

San Francisco, listopad 1986

Po raz pierwszy poetę Czesława Miłosza zobaczyłem jesienią 1984 r. w San Francisco w jednym z teatrów przy Haight Street, blisko skrzyżowania z ulicą Van Ness. Było to spotkanie poetyckie zorganizowane przez Amnesty International w dowód solidarności z politycznymi więźniami, twórcami, intelektualistami mieszkającymi w Pakistanie (wzięto w nim udział wiele sław poetyckich, m.in. Josif Brodski).

Rosyjskiego poetę zapamiętałem najlepiej z wielu względów; z jego poezją zetknąłem się w „Literaturze na Świecie”, będąc jeszcze w Pieszcach. Teraz, po tylu latach, miałem okazję go zobaczyć, podać mu rękę w korytarzu podczas przerwy i podziękować za wspaniałą recytację wierszy. Brodski jako jedyny z czytających nie nalał sobie wody do szklanki, ale pił ją prosto z kryształowego dzbana. Zachowywał się na pełnym luzie, nawet żartował z publicznością. Woda kapła mu po brodzie, którą ocierał rękawem. Brodski nie czytał swoich wierszy – on je śpiewał po rosyjsku. Nigdy nie widziałem nikogo, kto tak pięknie i melodyjnie interpretowałby swoje wiersze. Brodski był nie do podrobienia, jedyny w swoim rodzaju poeta śpiewający wiersze.

Miłosz czytał wiersze po angielsku bardzo sztywno, stwarzał wrażenie człowieka niezwykle poważnego, ale i on próbował swoimi minikommentarzami do wierszy rozbawić czy rozprężyć zebraną publiczność. Dopiero na koniec wystąpienia przeczytał jeden z wierszy po polsku, na życzenie publiczności, która wręcz domagała się usłyszenia ich w oryginale. Czytał pięknie melodyjnym głosem, akcentując polskie samogłoski, za co otrzymał rzęsiste brawa od zgromadzonych.

Po zakończeniu spotkania wraz z kilkoma rosyjskimi znajomymi podszedłem do niego, aby pogratulować i podziękować

za piękną poezję. Przy okazji poeta podpisał mi swoją książkę *Rodzinną Europę*, zamieniliśmy dosłownie kilka słów po polsku, nic więcej.

✱

Swoją przygodę z Czesławem Miłoszem podzieliłbym na trzy części, które w znacznym stopniu wpłynęły na moje życie. Będąc jeszcze w Pieszcach pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, spotkałem Miłosza jako tłumacza poezji z języka angielskiego. Przede wszystkim zafascynowały mnie jego przekłady poezji Walta Whitmana i poezji amerykańskiej. Później, gdy poeta otrzymał Literacką Nagrodę Nobla w 1980 r., nadszedł czas na jego poezję. Trzecia faza przypada na czas mojej emigracji, kiedy to amatorsko zająłem się fotografią, którą jednak nigdy się nie interesowałem, ale zawsze chciałem mieć „kilka zdjęć z Wielkim Poetą”. Niestety, zdjęć zrobionych razem z poetą mam niewiele, a spowodowane jest to tym, że większość naszych spotkań odbywała się prywatnie w jego domu. Zdjęcia wykonałem osobiście moim tanim aparatem fotograficznym podczas wizyty u poety w Berkeley lub podczas spotkań poetyckich na terenie San Francisco Bay Area.

Miłosz wśród Amerykanów zaraz po otrzymaniu Nagrody Nobla i powstaniu Solidarności uchodził za symbol *freedom fighter* z jednej strony, z drugiej natomiast za tłumacza Biblii. Pomiedzy jednym zajęciem a drugim było wielkie pole do spekulacji, kim tak naprawdę jest Czesław Miłosz, poetą, tłumaczem Pisma Świętego czy wojownikiem, który swoimi wierszami „zapalił zielone światło” dla przemian społecznych w Polsce. Niechętnie godził się na miano poety walczącego

z komunizmem i wielokrotnie powtarzał Amerykanom, że jego Nagroda Nobla nie ma nic wspólnego z ruchem Solidarności, bo on już wcześniej, w maju 1981 r., został wytypowany na kandydata do niej.

W jego domu w Berkeley było zawieszone na ścianie małe kolorowe zdjęcie z papieżem Janem Pawłem II. Stoją obok siebie, dwaj wielcy Polacy, papież patrzy na poetę, a ten trzyma w ręce swoje tłumaczenie psalmów Dawidowych. Świadczy to o tym, że religia i Bóg były bardzo ważne dla poety, dużo ważniejsze niż to, co się działo wokół niego w Ameryce.

Dla przeciętnego Amerykanina spotykającego poetę na tzw. mieście, stacji benzynowej czy w kawiarni, Czesław Miłosz stanowił zagadkę (nie licząc jego znajomych i studentów z uczelni), bo duchem był w Ameryce nieobecny. Był ciałem, mieszkiał i żył wśród ludzi, ale jego myśl i twórczość zajmowało coś zupełnie innego niż to, czym oni żyli i co przeżywali. Dla Miłosza wrzenie lat 60. ubiegłego wieku było prawie niedostrzegalne. To, co się działo w Ameryce: wojna w Wietnamie, protesty młodych ludzi w jego mieście (na jego uczelni strzelano do studentów), pozostawały poza uwagą poety. On pisał o Europie małych ojczyzn, o tej drugiej Europie, zajmował się dobrem i złem, Simone Weil, Fiodorem Dostojewskim i Williamem Blakiem.

„Stara” Polonia, nie tylko w San Francisco Bay Area, ale i w całej Ameryce właściwie, żadnego kontaktu z poetą nie miała. Oni go nie zapraszali, a on zawsze miał ważniejsze rzeczy do zrobienia, niczego nie proponował, nie narzucał się. Wiedział, że wśród nich nie ma czytelników, zakładał z góry, że Polacy w Ameryce to przede wszystkim ludzie szukający pracy i chleba, a nie kultury. Oficjalnie nigdy tego nie mówił, ale jak większość polskich intelektualistów w Ameryce ubolewał nad takim stanem rzeczy. Pamiętam, że były próby zaproszenia go na imprezy polonijne; celowała w tym organizacja pani Wandy Tomczykowskiej The Polish Arts and Culture Foundation w San Francisco, z których to zaproszeń poeta rzadko kiedy korzystał, albo wcale. Pani Wanda bardzo dbała o prestiż Polaków w San Francisco i dla niej takie spotkanie z noblistą (w jej organizacji) było szczytem marzeń. Tym bardziej że Amerykanie znali animozje pomiędzy Polakami i absolutnie ich nie rozumieli. Nie było mowy, aby poeta miał jakiś kontakt z weteranami II wojny światowej, tzw. emigracją żołnierską czy Kongresem Polonii Amerykańskiej (oddział na Północną Kalifornię), której prezesem był wówczas profesor historii w San Francisco State University Jerzy Lerski. Cicho-ciemny, kurier, wysłannik rządu polskiego w Londynie w czasie wojny do Polski, gdzie na spadochronie w nocy lądował gdzieś w Kieleckiem.

„Młoda” Polonia, czyli ta po 1981 r., też z poetą właściwie żadnego kontaktu nie miała. Tak samo jak ci powojenni musieli szukać pracy i chleba; kultura zawsze była i będzie na końcu. Ważniejsze są pieniądze na mieszkanie, ratę za samochód, chleb, buty dla dziecka niż tomik poezji. Ci młodzi ludzie, co jeszcze kilka miesięcy wcześniej w Polsce strajkowali za wolnymi sobotami, tutaj w Ameryce marzyli o tym, aby pracować i to jak najwięcej, nierzadko po dziesięć godzin dziennie, bo taki jest przeciętny dzień pracy w Stanach. To jest zrozumiałe i nie trzeba o tym dużo pisać. Na spotkaniach amerykańskich, a miał je poeta kilka razy

w roku, rodaków nie spotykałem. Jeśli już, to były pojedyncze osoby zupełnie mi nieznane i nie wiadomo, jakim cudem w San Francisco, w Kalifornii, się znalazły. Można wysnuć przypuszczenie, że poeta stronił od Polonii, chociaż nie wiem, czy rzeczywiście stronił, czy to tylko moje przypuszczenia. Po prostu tak się „działo”, nie było tak zwanej „chemii”, jak mówią Amerykanie, pomiędzy nim a rodakami. Zabrakło jakiejś mądrej osoby, która by potrafiła przekonać obie strony do wzajemnej „miłości”, na której skorzystaliby na pewno wszyscy. Przede wszystkim poeta piszący wyłącznie po polsku miałby czytelników, czy nawet tylko słuchaczy (to bardzo by mu pomogło psychicznie), a Polacy wiedzieliby, że są znani nie tylko z ciężkiej ponad ludzkie siły pracy, ale i mają swoich ludzi w strefie kultury amerykańskiej.

Podobnie było podczas wykładów uniwersyteckich poety, na których tłumów ludzi (Amerykanów) nie było, również rodaków na University of California w Berkeley nie widziałem. Byłem prawdopodobnie jedynym Polakiem, obcym, tzn. niezwiązanym z poetą, który chodził za nim po księgarniach, teatrach, instytucjach kulturalnych, na wykłady akademickie oraz w miejsca, w których miał odczyty. Nawet jeździłem za nim po miastach wokół San Francisco, np. do Palo Alto, gdzie w 1987 r. na Uniwersytecie Stanforda odbierał Nagrodę Praw Człowieka Fundacji Aurora w imieniu państwa Zbigniewa i Zofii Romaszewskich.

Jesienią 1986 r. poznałem noblistę Czesława Miłosza osobiście. Po wymianie kilku listów poeta zaprosił mnie do siebie do Berkeley. Nastąpiło to 27 marca 1987 r. Znajomość nasza rozpoczęła się bardzo prozaicznie. Wysłałem list z prośbą o spotkanie. Ja, młody gniewny, pełen dumy i pychy autor zaledwie dwóch cienkich tomików wierszy (i to w języku angielskim) uważałem, że dwaj poeci mieszkający tak blisko siebie (Berkeley i San Francisco) powinni się poznać. I to jak najszybciej. Ostatecznie przejechaliśmy pół świata i – widocznie cudowna złożoność życia tak chciała, abyśmy zetknęli się właśnie tutaj, w Kalifornii. Trzeba wierzyć w to, co się robi, w swoją gwiazdę, aby być poetą, w szczególności na emigracji, w Ameryce. Moja wiara w szczęśliwą gwiazdę mocno była oparta na micie, że w Ameryce wszystko można, wszystko jest możliwe, trzeba tylko chcieć.

Na długo przed pierwszą wizytą u poety nasza wizja jego mieszkania. Podzieliłem się nią z gospodarzem podczas pierwszej cudownej wizyty w jego domu na Grizzly Peak. Skąd u mnie taka wizja się wzięła? Do dzisiaj nie wiem. Jednak wysłuchał mnie bardzo uważnie...

Słabo oświetlony pokój gdzieś na końcu domu. Nikt nie ma tu wstępu: ani żona, ani świeże powietrze, ani słońce. Książki są wszędziebylskie, wypełniają pokój od podłogi, aż po sam sufit. Cud, że takie wielotomowe kolumny przy codziennych ruchach ziemi jeszcze się nie rozsypały.

Biurko stoi przy oknie. To znaczy biurko już od wielu lat nie spełnia swojej podstawowej roli, ponieważ nie ma na nim ani centymetra kwadratowego wolnej powierzchni. Obecnie to magnes przyciągający papier. Wśród zakurzonych papierowych teczek, w których kartki dawno już pożółkły, stosy powycinanych recenzji, rachunków za telefon sprzed pięciu lat, gazet we wszystkich językach europejskich, tuziny otwartych książek z zakładkami. Gdzieś na samym dnie zakopany notes z najważniejszymi numerami telefonów.

Wśród tych szpargałów leżą prawdziwe perły polskiej poezji. Wiersze napisane trzy lub osiem lat temu, któraś z ich wersji, może piąta, może piętnasta. Ponieważ poeta jest pracowity i bardzo wymagający względem siebie i swojej pracy, jeden wiersz przepisuje wielokrotnie, do momentu, aż go zgubi lub o nim zapomni. Na biurku leżą różnego rodzaju prośby młodych poetów, o recenzje i wsparcie, błagania o jedno chociażby pochlebne zdanie. Są też na nim mądre rozprawy magisterskie i doktorskie rozkochanych w poezji mistrza kandydatów na stopnie naukowe. Oczywiście poeta nawet do nich nie zajrzał. Nudzą go takie wynurzenia ludzi zupełnie nieorientujących się w życiu emigranta i w jego dziele.

Czasem poeta myśli sobie, że dobrze byłoby wyrzucić część niepotrzebnych papierów do kosza. Kosz od wielu lat jest pełny, tak pełny, że nie ma kosza, a tylko jeszcze jedna sterta papierów w rogu pokoju. A po drugie, komu by się chciało zastanawiać, co wyrzucić? Przecież najważniejsze papiery leżą na biurku, a te zupełnie nieważne dawno zostały wyrzucone. Na pewno teraz o tym nie będzie myślał, ponieważ pisze poemat o dzieciństwie. W tym celu zebrał wiele książek przyrodniczo-zielskich, naukowych, pamiętników. Wiadomo, dzieciństwo to okres najważniejszy w życiu poety, w którym kształtuje się jego przyszła osobowość artystyczna.

Taką oto opowieścią rozpocząłem swoją rozmowę z Miłoszem. Jest wczesny wieczór, ogień wesoło tańczy w kominku. Jest ciepło i przyjemnie. Wytworzył się wspaniały nastrój poetycki. Mistrz zdążył już podpisać przywiezione przeze mnie sześć książek. Poezja zawładnęła naszymi sercami. Być może twórcza atmosfera wylegująca się w fotelach stwarza taki poetycki nastrój. Napięcie i straszna trema ze mnie opada, rozluźniam się. Gospodarz oferuje drinka, czuję, jak dobra opatrność boska puszcza do mnie oko.

✱

Cisza. Pijemy alkohol bez słów. Na stole śledzie w oleju i grubo pokrojony czarny, ziarnisty chleb. Gospodarz nie zagryza, a jedynie wacha chleb i odkłada go na talerzyk. Kot o imieniu Tiny wszedł do pokoju, rozejrzał się, podszedł do mnie i pozwolił się pogłaskać. Rozglądam się z ciekawością, poeta siedzi naprzeciwko mnie na długiej kanapie. Z jego prawej strony mały stolik, na nim telefon. Siedzę w wielkim fotelu, dzieli nas ława kawowa. Pani, która otworzyła mi drzwi, ma na imię Carol, nie mówi po polsku, krząta się w kuchni, raz po raz zagląda do pokoju z życzliwym uśmiechem.

Gospodarz świetnie orientuje się, co gdzie ma, co gdzie leży. Przyjemnie jest go słuchać, na każde moje pytanie odpowiada z ochotą i nieukrywaną przyjemnością. Wymienia daty, szczegóły i okoliczności z taką drobiazgowością, że dech w płucach zapiera. Nie jest przecież pierwszej młodości, ale pamięć trenowana przez lata pozwala mu z łatwością skakać przez wzgórza i doliny naszej najnowszej historii literatury i w ogóle współczesnej historii. Nie męczy jej nawet najłżejsza zadyszka. Widząc, że kilka tytułów tomików poeta ma podwójnych, czy nawet potrójnych, nieśmiało proszę go o podarowanie mi któregoś z nich. Nie odmawia, daruje mi je z dedykacją, wzbogacając moją kolekcję książek napisanych przez niego.

W pokoju bardzo malutkim, na biurku średniej wielkości, umiejscowionym przy samym oknie, stoi lampka. Z lewej strony listy przeczytane, na samym wierzchu leży mój sprzed kilku dni, pośrodku nożyk do rozcinania kopert, jakieś zdjęcia, słowniki. Słowem, najwyższej klasy porządek. Od tej dokładności kręci mi się w głowie. Po chwili dowiem się, że gospodarz dba w podobny sposób o swój piękny ogród.

Nie miałem też odwagi poprosić go o pozwolenie na zrobienie kilku zdjęć. A wiersze, które ze sobą przywiozłem, które przez cały czas nie dawały mi spokoju – nawet o nich nie wspominałem. Po wielu latach, w 1995 r., zwróciło się do mnie Wydawnictwo Dolnośląskie z Wrocławia z prośbą o udostępnienie zdjęć profesorowi Andrzejowi Zawadzcie, który podjął pracę nad książką *Miłosz*, wydaną w serii A to Polska właśnie. I tak rozpoczęła się moja trzecia przygoda z Czesławem Miłoszem, tak zwana fotograficzna, która trwa do dzisiaj. Zdjęcia poety wystawiano już w wielu miejscach, od Chicago po Wilno i od Pieszyc po Warszawę; były też zamieszczone w wielu pismach literackich wydawanych w kraju i za granicą.

✱

Ważnym momentem było zwrócenie się do mnie pana Jacka Czernika, pracownika z Dolnośląskiej Biblioteki Publicznej we Wrocławiu, z prośbą o udostępnienie moich zdjęć na wystawę organizowaną przez jego bibliotekę oraz Konsulat Generalny w Krakowie.

Uroczyste otwarcie wystawy *Miłosz po amerykańsku* | Fotografie z archiwów Andrzeja Miłosza i Adama Lizakowskiego odbyło się 10 czerwca 2011 r. W pierwszej części znalazły się zdjęcia wykonane w latach 70. i 80. przez brata poety, Andrzeja Miłosza. Na część drugą wystawy złożył się mój Fotostatnik, czyli te wszystkie amatorskie fotografie (jednak mające przecież wartość dokumentalną), które jako młody poeta wykonałem Czesławowi Miłoszowi, kiedy odwiedzałem jego dom na Grizzly Peak w Berkeley. Ukazują one poetę w domu, w ogrodzie, na ulicy, w księgarni; wiele z tych zdjęć powstało podczas prywatnych spotkań.

W sumie moje zdjęcia zrobione panu Czesławowi były pokazywane na prawie pięćdziesięciu wystawach na dwóch kontynentach. W Chicago i Krakowie, Dzierżonowie i Rzeszowie, Kielcach i Wrocławiu, i wielu innych miejscach. Teraz mogę za to oficjalnie podziękować swojemu poecie publicznie.

Serdeczne dzięki, panie Czesławie, bo tak się do niego zwracałem.

Adam Lizakowski | ur. 1956. Poeta, tłumacz.

W latach 1982-2016 na emigracji w USA.

Ostatnio wydał *Jak zdobyto Dziki Zachód. Wiersze i poematy* (2017).

Adam Lizakowski

Miłosz

Mógłby być górskim wodospadem
nigdy pustynią czy ziemią jałową
wielkim jagiellońskim dębem w cieniu którego
umęczony wędrowiec zawsze znajdzie wytchnienie
potrafił z powietrza wyłapać bąbelki życiodajnego tlenu
nasycić nim poezję, słowa jego są jak ziarna
które w czytelniku rosną, rozwijają się, kwitną
kołyszają się łany czekając na rękę żniwiarza,
jest księżycem, który przyciąga fale morza
a piękne kobiety śpią niespokojnie,
jest aniołem z wielkimi krzaczastymi brwiami
w kształcie skrzydeł ptaka spłoszonego
w środku nocy z gniazda do którego nigdy już
nie powróci, ale wciąż pamięta zapach trawy
jabłek, biel pokoi, kształty domów, jeziora, rzeki
jest litewskim niedźwiedziem mieszkającym
w pięknym mieście Berkeley,
w cudownej Kalifornii, na wzgórzu niedźwiedzi Grizzly
ale on nie pomrukuje, on śpiewa pieśń o tym
że nikomu nie warto zazdrościć, o kolibrach
kwiatkach kapryfolium, dziewczęcych pośladkach
biednym chrześcijaninie patrzącym na płonące getto
o miastach do których nigdy nie wróci, tobie i mnie.
Kim jest Miłosz dla mnie tysiące razy pytałem siebie?
matką karmiącą jasną dorodną piersią
z cienkimi niebieskimi żyłkami
której życiodajne mleko piję w upale chicagowskim.
Jakie jest znaczenie jego poezji w moim życiu?
czy to bilet w podróż do dalekich krajów,
do lasów tropikalnych w których wielobarwny
śpiewak skacze z gałązki na gałązkę
wyśpiewując pieśń starodawnych puszczy
rzek, piasek pustyni wygrzewa się w słońcu
a skały z lekkością motyli uniosły się w przestrzeń
ku dalekim galaktykom, gdzie czas płynie pionowo.
Miłosz-muza żyjąca w cieniu eukaliptusów z widokiem
nad Zatokę San Francisco, mieście wielkości mrówki,
którego światła odbijają się w wodzie, jak obłoki,
poeta wierny swoim ideałom młodości,
nasłuchuje gry świerszczy, patrzy
w jasno-żarzące się ślepieć aut, o czym myśli?

W 1990 roku zapytałem go o to przy wódce i śledziach,
słońce w Zatoce już się utopiło, a noc na atramentowo
pomalowała czubki złotego mostu:
Och!!! Panie Adamie –westchnął, gdyby tak się dało
dożyć do setki, a potem raz jeszcze licznik cofnąć do zera.

Kamila Łabno

Zofia Hertz – Czesław Miłosz wybór korespondencji z lat 1979–1980¹

1 lutego 1951, po pięcioletniej karierze w służbie dyploma-
tycznej PRL Czesław Miłosz wystąpił do władz francuskich
o azyl polityczny. Nieocenionego wsparcia, w związku ze
zmianą politycznego frontu, udzielił mu Instytut Literacki
w Maisons-Laffitte. Dzięki staraniom Jerzego Giedroycia i Jó-
zefa Czapskiego we francuskim MSW Miłosz uzyskał zgodę
na pozostanie w podparyskim miasteczku, sugerowano jed-
nak, aby unikał publicznego manifestowania swojej obecności.
W rezultacie pobyt, przynajmniej przez pierwsze miesiące,
utrzymywano w ścisłej tajemnicy, a gdy w domu „Kultury”
pojawiali się goście lub znajomi, przedstawiano poetę, nie po-
dając jego prawdziwych personaliów. Wilę opuszczał rzadko,
a jeśli już to czynił, to zawsze w obecności Zygmunta Herta,
w razie konieczności podając nazwisko „Kwiatkowski”. To wła-
śnie Hertz, pełniący w domu „Kultury” funkcje administracyjne,
otoczył Miłosza szczególną, koleżeńską opieką. Relacja ta
z czasem przerodziła się w wielką przyjaźń.

„Czesław, gdy mieszkał u nas – wspominała Zofia Hertz, naj-
bliższa współpracowniczka Jerzego Giedroycia – był w okrop-
nej formie”. Zła kondycja Miłosza, powodowana niepokojem
o najbliższą rodzinę (żona Janina została z dziećmi w Ameryce)
,o własną przyszłość, rzutowała na atmosferę całego domu
i jego mieszkańców. Podczas wieczornych rozmów, nierzadko
przeciągających się do późnych godzin nocnych, dochodzi-
ło do burzliwych kłótni, których powody sprowadzały się

do różnic w ocenie polskiej emigracji, wydarzeń w kraju czy
zadań „Kultury”. Pisarz posuwał się do wygłaszania skrajnych
i bolesnych w odbiorze opinii (np. spór o istnienie lub nieist-
nienie łągów), aby wywołać u rozmówcy wzburzenie – cze-
go z perspektywy czasu żałował: „Na mieszkańców Maisons
przerzucałem moją niechęć do Polaków emigracyjnych, jak-
że niesprawiedliwie”. W maju 1951, niedługo po konferencji
prasowej zorganizowanej przez Kongres Wolności Kultury,
na łamach paryskiej „Kultury” (1951 nr 5) ukazał się artykuł
Miłosza pt. *Nie*, który odbił się szerokim echem w środowi-
skach emigracyjnych. Dwa lata później Instytut Literacki
wydał *Zniewolony umysł*. W marcu 1952 trwająca trzynaście
miesięcy wizyta Miłosza w podparyskim Maisons-Laffitte do-
biegła końca, ale jego zażyłość z tym środowiskiem trwała
i umacniała się. Po kilkuletnim pobycie w Paryżu, pisarz wy-
jechał do Ameryki, skąd regularnie prowadził korespondencję
z Zygmuntem Hertzem aż do jego śmierci w 1979. W posło-
wiu do wydanych w 1992 nakładem Instytutu Literackiego
listów Zygmunta Herta do Czesława Miłosza poeta wspo-
minał: „Przez dwa dziesiątki lat Zygmunt był moim wiernym
korespondentem. Uprawiał z zamiłowaniem sztukę dziś już
prawie zapomnianą, jego listy były uroczne, błyskotliwe, in-
teligentne, nieraz tak zabawne, że pobudzające do spasmów
śmiechu, choć przeważał makabryczny warszawski humor.
[...] Nasza przyjaźń utrzymywała się jakby poza literaturą”.

1 | 9 IV 1979 | [*Maisons-Laffitte*]

Kochany Czesiu,
Dzisiaj dostałam pierwsze 20 stron Twojej korekty². Przede wszystkim muszę Ci wytłumaczyć powód tylu błę-
dów, mianowicie postawili w drukarni nowy linotyp, który – jak się okazało – był całkowicie „niedotarty”. Stąd tak
ogromna korekta, gdyż składa – jak zawsze – nasz doskonały linotypista. Z numerem kwietniowym KULTURY³

¹ Archiwum Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (AIL), Spuścizna Zofii Hertz, sygn. POZIH01/146.

² Chodzi o korektę zbioru esejów i przekładów poetyckich, wydanych w 1979 roku nakładem Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte: Cz. Miłosz, *Ogród nauk*, Paryż 1979.

³ „Kultura” 1979, nr 4 (379).

to była prawdziwa tragedia: nieraz trzeba było przeszkładać 3/4 szpalty, tak że błędy w Twoim tekście są już, mimo wszystko, mniejsze. Ale na to nic nie mogę poradzić. W drukarni nie ma mechanika stałego i zanim przyjdzie – a wiesz, jak to teraz jest – to linotypista musi coś robić.

Wysyłam Ci jednocześnie w osobnej paczce drugą część korekt – już do końca książki. Zanim przejdę do wyjaśnień, które są niezbędne, kilka słów co do części pierwszej, w sprawie łamania. Naturalnie *Wstęp* idzie jako pierwszy. Potem od nowej strony artykuł *Gorliwość tłumacza*. Widzę z Twoich notatek, że chcesz, aby każdy tłumaczony poeta był od nowej strony. Rozumiem, że nie od początku strony, tylko od 3/4 – tak jak zawsze zaczyna się nowy artykuł, czy nowy rozdział, bo inaczej byłoby to paskudne technicznie.

Ostatni esej z tej pierwszej części to *Ecclesiastes* plus *Księga Eklezjasty*. Czy chcesz koniecznie, aby sam poemat był od nowej strony? Wydaje mi się, że tak jak poprzednio komentarz o autorze był po wierszach, tak w tym wypadku poprzedza sam poemat, ale chyba powinno to być zaraz po tekście. Odpowiedz na to pytanie, żeby potem nie trzeba było przefamiwać.

Część druga, której korekty teraz Ci wysyłam: każdy esej pójdzie od nowej strony. Najpierw wyjaśnienie. Cztery eseje z tych, które były drukowane w KULTURZE, nie zostały rozsypane – względnie miały nie być rozsypane – są to: *Gorliwość*, *Ziemia jako raj*, *O piekle* i *O twórcach*. Jak się okazało „w praniu”, niektóre strony ołowiu zginęły i trzeba było przeszkładać. To, co pozbiali w drukarni, zostało oznaczone przez nich literkami „A”, „B”, „C” i „D”. [...]

Gdybyś chciał zmienić jeszcze jakąś kolejność, to bardzo proszę, napisz szybko, bo zaraz po Świętach, jak przyślesz korekty, chciałabym to dać do łamania, żeby Ci potem przysłać jeszcze raz do wglądu i sprawdzenia. Ja nie piszę, bo naprawdę nie mam kiedy. Zygmunt jest ciągle chory. Robią mu teraz dożyłne zastrzyki, po których jest zupełnie połamany; seria siedmiu co dzień, a potem trzy tygodnie przerwy i znowu, i tak przez trzy miesiące. Najgorsze właśnie jest to, że jest okropnie osłabiony i że ubranie się to prawdziwie ciężka dla niego praca. W tej chwili zresztą do środy, bo to będzie ostatni zastrzyk z serii, prawie cały czas albo leży u siebie, albo na takim „relaksie” w *jardin d’hiver*, ale na więcej go nie stać. Do tego nie ma apetytu i właściwie trzeba go zmuszać do jedzenia. Przez tę chorobę schudł potwornie, tym bardziej że już poprzednio zrobił sobie kurację odchudzającą, jako że po Bożym Narodzeniu był potwornie gruby i ciężko mu było chodzić, ale byś go po prostu nie poznał: sylfida. A co w tym wszystkim najgorsze, to że jako człowiek, który nigdy w życiu nie chorował – nawet na grypę czy katar – i który zawsze był bardzo silny fizycznie, nie może po prostu zrozumieć, że nie ma obecnie siły. Myślał, że w tydzień po operacji wszystko będzie tak jak dawniej, a tu niestety trzeba się uzbroić w dużą cierpliwość. Nie jest to proste. Ściskam Was Oboje serdecznie i cieszę się, że Janka czuje się lepiej. Czy przyjedziesz do Europy tego lata?

[ZH]

2 | 23 IV 1979 | *Berkeley*

Kochana Zosiu,
Potwierdzam, co mówiłem telefonicznie. Porządek jest taki, że najpierw idzie *Wstęp*, następnie eseje, które były drukowane w „Kulturze”, następnie przekłady z komentarzami. Tak że są w książce 2 części, a właściwie 3, bo trzecią jest *Eklezjastes*. Pozostaje kwestia, jak oddzielić te części i czy trzeba oddzielić.

W części pierwszej, eseistycznej, prosiłem o wyeliminowanie paru końcowych pozycji z ostatniego *Ogrodu nauk* w „Kulturze” z podtytułem *Polonistyka*. Ale nie całego. Tak że na końcu części eseistycznej daj *Polonistykę* i pod tym tytułem trzy kawałki – o głupim diable, o Warszawie przedwojennej i o wierszu francuskiego poety [Jeana] Le Louet. To byłoby nawet dobre przejście do części następnej, otwierającej się esejem pt. *Gorliwość tłumacza*.

Powiedziałem Ci, że komentarz do *Eklezjasty* idzie u mnie przed tekstem poematu, co jest o tyle logiczne, że przekłady wierszy różnych poetów zaczynają się od eseju ogólnego pt. *Gorliwość tłumacza*. Stąd powstaje jakby potrzeba rozdzielenia poszczególnych części książki. Gdybyś jednak uznała takie rozdzielenie za niepotrzebne albo niewskazane, komentarz do *Eklezjasty* można dać zaraz po tekście, zmieniając jedno słowo na końcu – zamiast: „A ten mój krótki wstęp” byłoby: „A ten mój krótki komentarz”.

Oprócz korekty przesyłam Ci jedną stronę wiersza [Williama] Cowpera, z wprowadzoną teraz przeze mnie */esprit d’escalier/* poprawką.

Wiem, jak Ci jest ciężko i ile musisz dźwigać. Choć czasem lepiej, że musimy dźwigać. U nas w domu ciągle ból, zgryzota i smutek, tak że z mego nienadążania mnóstwu obowiązków czerpię jedyną pociechę, jedno goni drugie i ledwo się spostrzegę, a dzień upłynął. Ucałuj ode mnie Zygmunta.

Całuję Cię,
Czesław

3 | 3 V 1979 | *Maisons-Laffitte*

Kochany Czesiu,
Dziękuję za list z 23. 4. br., który otrzymałam przed dwoma dniami, ale druga porcja korekt jeszcze nie nadeszła. Jak widzisz, poczta funkcjonuje coraz lepiej!

Jak tylko dostanę tę drugą porcję korekt, to zaraz dam całość do zrobienia poprawek i łamania. Naturalnie każemy doszkładać tę część *Polonistyki*, którą wymieniasz. Jak tylko całość będzie złamana, względnie nawet tylko pierwsza część, to zaraz Ci wyślę do sprawdzenia.

Kiedy masz zamiar spłynąć do Francji? Czy na początku czerwca, czy później? Bo ewentualnie, jeżeli na początku, to mógłbyś drugą korektę zrobić tutaj na miejscu.

U nas po staremu. Roboty bardzo dużo, Zygmunt rozpoczął wczoraj drugą serię zastrzyków i chociaż znosi je lepiej niż w ub. miesiącu, to jednak bardzo go męczą. Naturalnie czuje się już lepiej, jedynie to najgorsze, że ciągle jest jeszcze słaby i trudno mu się z tym pogodzić. Do tego wszystkiego pogoda straszna: wczoraj i dzisiaj padał śnieg! Jest zimniej niż zimą. Jak co roku, tylko że zawsze z innych powodów, zapowiada się znowu katastrofa dla rolnictwa. Zresztą to naprawdę potworny widok, wszystkie drzewa w kwiatkach, liście kasztanów zupełnie oklapłe, jak flaki, i nosa nie chce się wytknąć na zewnątrz – szarość, zimno i pada. Tylko jeden raz pamiętam śnieg w maju, ale to było w Polsce, w dzień śmierci Marszałka Piłsudskiego.

Ściskam Cię mocno i do zobaczenia,
[ZH]

4 | 10 XI 1979 | *Berkeley*

Kochana Zosiu,
Myślę ciągle o Zygmuncie i o Tobie, niewiele z tego można słowami wygadać. Poczułem się osamotniony, bo Zygmunt przez wiele lat był moim łącznikiem ze światem przez swoje listy, a nawet w ostatnim okresie, kiedy ja raczej do niego pisałem, był jakimś punktem odniesienia, ciepłem przyjaźni. A kiedy go nie ma, moja skrzynka pocztowa zawiera same listy w interesach i rachunki. Z Polski ludzie rzadko piszą, bo nie lubią przechodzić przez cenzurę, w Paryżu Józek [Czapski]⁴ i Kot [Jeleński]⁵ są niepiśmienni, tak jak i Janek Lebenstein⁶. W rezultacie jest tylko Berkeley, jakby reszta świata się zapadła, i tutejsze sprawy, przy czym sporo zgryzot. Tyle że Janka od paru miesięcy jest w lepszym nastroju, bo zaczęła brać pigułki na depresję, które pomogły, i można się dziwować sekretom chemii, jeżeli pigułki zmieniają światopogląd. Gdybyś była bardzo *à plat*, to jednak nie wzdygaj się, czasem pomóc sobie choćby pigułkami, warto. Gdyby nie to lekarstwo, byłoby bardzo trudno.

W październiku był ten zjazd w Yale, gdzie przewodniczyłem jednej z *p a n e l s* poświęconej 400-leciu uniwersytetu. Zaprosiłem samych wilnian, „polską perspektywę” miał przedstawiać [Zbigniew] Folejewski⁷, ale zachorował, zastąpiła go Irena Sławińska⁸ z KUL, właśnie będąca w Ameryce. Litewską perspektywę przedstawił [Tomas] Venclova⁹, żydowską profesor Arkadiusz Kahan z University of Chicago, białoruską d[okto]r [W.] Tumasza¹⁰ z Białoruskiego Instytutu w New Yorku. Oczywiście spotkały mnie zarzuty, że zrobiłem imprezę „kontrowersyjną”, ale moim zdaniem była żywsza niż tego rodzaju akademie. Jedynym zgrytem był Białorusin. Bo jednak rzutować białoruskość wstecz na wiek XVI, kiedy narodowości białoruskiej nie było, i wyrażać żal, że uniwersytet został w Wilnie założony, bo gdyby nie to, studenci białoruscy jeździliby do Włoch i Niemiec na studia i nie polonizowaliby się, to już lekka przesada, a w gruncie rzeczy hyż, który dobrze nie wróży. W New Haven było mi dobrze, bo mieszkalem u prof. [Aleksandra] Schenkera¹¹ w jednym pokoju z Jerzym Turowiczem, czyli przyjacielem od lat. U Schenkerów też mieszkała Sławińska, czyli byłem w swoim gronie. Ale oni przecie mieszkają daleko i krótkie to było widzenie. W Yale miałem wieczór autorski, na którym podeszła do mnie Agnieszka Osiecka, której powiedziałem o śmierci Zygmunta. Zapytałem jej: co, to pani nadal jest żoną Passenta? Na to ona, że już się rozeszli, ale że znowu się zeszli. Coś mnie podkuśiło i powiedziałem jej: z panią to będę rozmawiać, a z pani mężem to nie. Bo byłem wściekły na jego artykuł prawowiernie podgryzający o papieżu, drukowany w „New York Times”. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, po prostu ze złości.

4 Józef Czapski (1896-1993) – malarz, eseista, pisarz, współzałożyciel Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte.

5 Konstanty A. Jeleński (1922-1987) – eseista, tłumacz, współpracownik paryskiej „Kultury”.

6 Jan Lebenstein (1930-1999) – malarz, grafik, zilustrował m.in. *Folwark zwierzęcy* George’a Orwella.

7 Zbigniew Folejewski (1910-1999) – historyk literatury polskiej i rosyjskiej, sławista, wykładowca na University of California oraz University of British Columbia (Vancouver), kolega Miłosza z czasu studiów.

8 Irena Sławińska (1913-2004) – teatrolog, historyk literatury, profesor KUL, znawczyni twórczości Norwida.

9 Tomas Venclova (1937) – poeta, eseista, tłumacz, historyk literatury, wykładowca na University of California.

10 W. Tumasza, *Listy do Redakcji*, „Kultura” 1956, nr 9 (107), s. 160.

11 Alexander M. Schenker (1924) – profesor sławistyki na Yale University.

Była duża party i ktoś mi powiedział, że Passent jednak Żyd, więc zasługuje na tolerancję. Nie wydaje mi się to przekonywujące: po co się pcha, jak tak i zmusza siebie do nadrabiania? Różne takie kawałki zbierałem, myśląc, że nie mam komu o nich napisać, jak nie ma Zygmunta i jakby się cieszył opisem sceny, kiedy młody [Andrzej] Zabłudowski /filozof, syn tego komunisty, ekszczozora/ siadł za Passentem i powiedział: dzień dobry, Daniel, a ten pocałował go w rękę. Dlatego, że ja tamto powiedziałem – chyba z ironii, że niby Zabłudowski raczy się z nim przywitać. Albo całe młode pokolenie „elity” już zagranicą – była w Yale córka Przybosia, która wykłada w Ameryce, Daniela Międzyrzecka w New Yorku etc.

I Zygmunta ubawiłyby plotki z Festiwalu Filmowego w San Francisco. Byłem na *Człowieku z marmuru* Wajdy – ogromne kino zapchane do ostatniego miejsca. Potem udało się dostać kopię na parę dni i pokazaliśmy naszym studentom. Dyrektor Pacific Film Archive opowiedział mi ze śmiechem, że komuniści amerykańscy wystosowali protest do ambasady sowieckiej – skargę na Polskę i Węgry, które przysyłają na festiwal filmy antykomunistyczne, co ma b[ardzo] zły wpływ w Ameryce.

Poza tym normalnie wykładam, i ze względu na znaczne, także fizyczne polepszenie się u Janki, mogę to robić, nie mając żadnej pomocy w domu, bo Janka tyle opieki nie potrzebuje i nawet robi lepsze gotowanie. Nie myślałem, szczerze mówiąc, że to będzie możliwe.

Całuję Ciebie serdecznie,
pozdrów Jerzego i Dudka¹²,
Czesław

5 | 2 II 1980 | *Berkeley*

Kochana Zosiu,

Piszę do Ciebie, bo tęsknię do Zygmunta. Tak to jest. I jeżeli tym listem Ciebie rozraniem, trudno. Ale zarazem może trochę i pocieszam moim do Zygmunta przywiązaniem. Nie mogę do niego pisać, to piszę do Ciebie. Choć jakoś mi nie do śmiechu, jak by było, gdyby on żył. Zresztą życie moje monotonne, co już dobrze. Wykładam, mam też wykladać w roku przyszłym. Przez dłuższy czas obywaliśmy się bez pomocy, ale teraz znów Bogusia zaczęła przychodzić parę razy w tygodniu, kiedy ja całe dnie jestem na uniwersytecie i Janka jest sama, choć tym razem chodzi już raczej o sprzątanie, gospodarstwo i *dame de compagnie* niż o pielęgniarstwo. Wyrzekłem się wszelkich trunków /oceniam poświęcenie, ale szkodzą mi na zdrowie/ z wyjątkiem wódki, której wpływ jest dobroczynny, pod warunkiem, że nie miesza się pracy i picia, tj. udziela się sobie alkoholu jako nagrody po dniu pracy. Sheba, kiedy bywałem u nich w La Bouteille /nomen omen/, piła jak smok, poczynając od 5-ej p[o]p[ołudniu]. Czy gdyby nie piła, nie spotkałaby jej choroba i śmierć? A tak, to przynajmniej miała przyjemność.

Toni¹³ jest 100 procent wielbiciel kapitalizmu. Tak wpłynęło na niego stanowisko głównego inżyniera, który stawia po kątach, wyrzuca mniej sprawny personel etc. Bądź tu mądrym.

Jerzy Ci opowie o Moich kłopotach z [Karlem] Dedeciussem¹⁴, bo do niego równocześnie list piszę.

Całuję Cię
Czesław

[dop. dn. 3 II 1980]: Jest jakaś telepatia, bo ten list pisałem wczoraj, a dzisiaj rano tj. w niedzielę 3 II zatelefono-wałaś. To tak miło słyszeć twój głos, zupełnie jak kogoś z najbliższej rodziny. I Janka powiedziała, że jak to, ty sam pojedziesz, ja też chcę do Zosi pojechać.

Te kłopoty z Dedeciussem niepoważne i wynikające z tego, że nie umiem po niemiecku, to narobili mi alarmu, że jego wstęp do mego tomu wierszy po niemiecku jakiś nie fair. Ivar Ivask, redaktor „World Literature Today”, napisał do mnie, wściekły, że Dedecius mówi o mnie jako o poecie na Zachodzie nieznanym, podczas kiedy ja za poezję dostałem Neustadt Prize¹⁵. Ale w tekście, który ktoś mi przetłumaczył, nie jest to tak drastyczne. Także jedyna moja pretensja do Dedeciusa jest o tytuł, wymyślony przez niego i dany bez porozumienia ze mną, tudzież o niedokładne daty pod wierszami. Ale kto tam będzie się handryczyć, czasu na to nie ma.

Zgodnie z sugestią Jerzego nagrodę przeznaczam na Towarzystwo Kursów Naukowych. Choć gdyby wynikało z sytuacji, że cele wydawnicze w Polsce /„Zapis” etc./ potrzebują bardzo pieniędzy, można by podzielić po połowie albo tysiąc. [...]

Czesław

Zofia Hertz | ur. 1910, zm. 2003. Współzałożycielka Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte i najbliższa współpracowniczka redaktora Jerzego Giedroycia, a po jego śmierci dyrektor podparyskiej oficyny.

Kamila Łabno | ur. 1989. Doktorantka w Instytucie Historii Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie. Obecnie pracuje nad biografią Zofii Hertz.

¹² Henryk Giedroyc, brat redaktora naczelnego „Kultury”.

¹³ Anthony Oscar Miłosz, syn Czesława Miłosza.

¹⁴ Karl Dedecius (1921-2016), tłumacz i popularyzator literatury polskiej i rosyjskiej w Niemczech.

¹⁵ Miłosz otrzymał Neustadt International Prize for Literature (zwaną też „Małym Noblem”) w 1978 roku.

Jacek Wojciechowski

Stygmat smutku

Dmitrij Bykow 50
Izdatielstwo E Moskwa 2018

Dmitrij Bykow | ur. 1967. Rosyjski prozaik, poeta i dziennikarz. Biograf Maksyma Gorkiego, Bułata Okudźawy, Borysa Pasternaka.

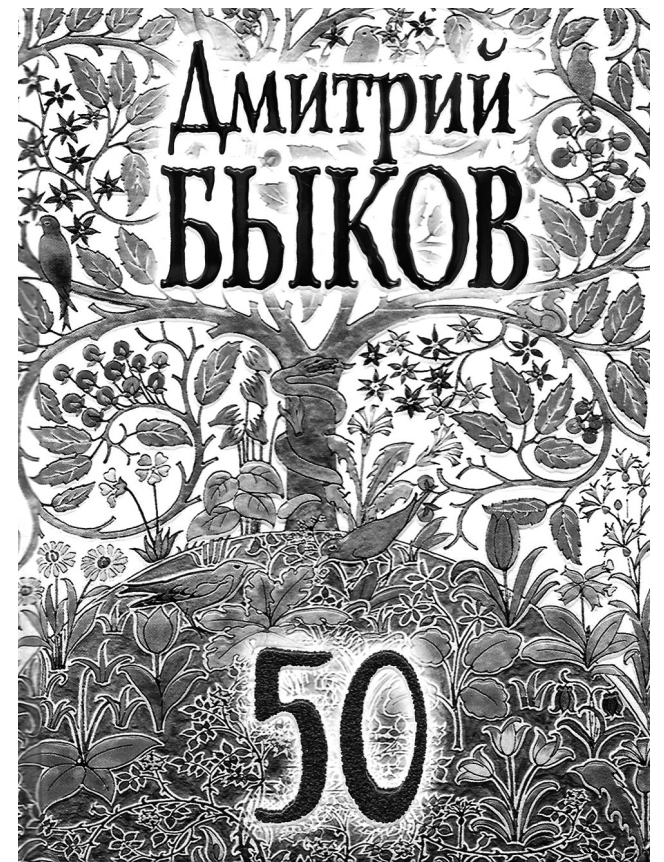
Moskiewski dziennikarz i literat Dmitrij Bykow popularnością nie dorównuje słynnemu hokeiście o takim samym imieniu i nazwisku, ale opinie o nim – zwłaszcza zagraniczne – sugerują, że to jednak we współczesnym rosyjskim życiu literackim jest postacią znacząca. Trochę na wyrost przylepia mu się także etykietę opozycjonisty, którym wprawdzie po części jest i nieraz miewał kłopoty z władzą, lecz do żadnej awangardy demokratycznej nie należy, ani nie aspiruje do liderowania. Zachowuje się umiarkowanie.

Od nauczania rosyjskiej literatury w szkołach średnich, całkowicie przerzucił się na pisanie, regularne w czasopiśmie „Ogoniok” i w redagowanym przez siebie miesięczniku „Czto czitał”. Jest też rozpoznawalny za sprawą parodystycznych audycji *Obywatel poeta* (realizowanych z aktorem Michaiłem Jefremowem) w radiu Echo Moskwy, które wśród słuchaczy tamtejszych mediów cieszy się raczej przeciętnym zainteresowaniem.

Książkowy dorobek piśmienniczy, nie dosyć że wielogatunkowy, ma ilościowo niebywały. Jeśli dobrze policzyłem, opublikował piętnaście tomów prozy, trzynaście poezji, dziesięć eseistycznych i jeszcze napisał dramat sceniczny *Miedwied’*. Ma szczególny talent narracyjny, jest z niego frapujący gaduła, natomiast tę twórczą lawinę jednak cechuje duża amplituda jakościowa. Obok tekstów ciekawych, wartościowych i ważnych trafiają mu się rzeczy dużo słabsze.

Za biografię Borysa Pasternaka – rzeczywiście świetną – otrzymał nagrody Bolszaja Kniga oraz Nacjonalnyj Bestseller 2006. Nie gorsza była też biografia Bułata Okudźawy jego autorstwa, chociaż obeszło się już bez laurów formalnych. Natomiast trzecia z napisanych biografii, Maksyma Gorkiego, nie wzbudziła entuzjazmu.

W Polsce nie tak dawno ukazały się jego dwie książki prozatorskie, obie w przekładzie Ewy Rojewskiej-Olejarczuk. To bardzo dobra i mądra powieść *Uniewinnienie* (Wydawnictwo Czwarta Strona, Poznań 2015) oraz mocno uduchowiony i przegadany tom *ŻD* (Wydawnictwo Czwarta Strona, Poznań 2016).



Niedawno dobiegł do pięćdziesiątego roku życia i wobec tego sprokurował sobie jubileuszowy tom, zatytułowany jak wyżej, z prowokacyjnie (?) paskudną okładką (jest kolaż *Adam i Ewa* znanego kiedyś angielskiego architekta i wnętrzarza Ch. F. A. Voyseya), natomiast, ku zaskoczeniu, złożony z poezji, poetyckiej prozy oraz z utworów imitujących wiersze. Zdziwienie bierze się stąd, że Bykow jest przede wszystkim bardzo sprawnym narratorem i widać to w prozie, tymczasem z poezją radzi sobie rozmaicie. Zapewne zdecydowała intencja stworzenia nastroju poważnego i pogłębionej refleksji, co udało się częściowo, bo zwarty i skondensowany styl lirycznych wypo-

*Trochę na wyrost przylepia
mu się także latkę opozycjonisty,
którym wprawdzie po części jest
i nieraz miewał kłopoty z władzą,
lecz do żadnej awangardy
demokratycznej nie należy,
ani nie aspiruje do liderowania.
Zachowuje się umiarkowanie.*

Tom ma charakter zbiorczy: przywołuje dokonania z różnych lat, jest więc z tego powodu niespójny, wielospojrze- niowy, trochę na podobieństwo opowieści szkatułkowej, jakkolwiek na dobrą sprawę każdy zbiór wierszy częściowo taki właśnie bywa. W każdym razie nie musi się tego czytać w linearnej kolejności. Natomiast niejake wątpliwości naszły zapewne niezbyt szczodrego wydawcę, skoro szarpnął się rap- tem na tysiąc egzemplarzy nakładu. Trudno to uznać za gest, bo w skali Rosji to tak, jakby słodzić Bałtyk kilogramem cukru. Tymczasem autorska oferta wydaje się interesująca lite- racko oraz niebanalna refleksyjnie, nawet jeżeli nie w każdej zapisanej frazie. Klamrą, która spaja całość, jest *smutek* – eg- zystencji, przemijania, tworzenia się pustki – sygnalizowany rozmaicie, być może nieco nihilistycznie, ale delikatnie, cho- ciaż jednocześnie przejmująco i wyraźnie. Na rewersie okład- ki, w słowie autorskim, zapowiedział Bykow na jubileusz na- stępny ofertę radosną. Ale na razie nijakiej radości ani uciechy nie widać. Trochę na przekór dorobkowi prozatorskiemu i tej witalności, którą emanował w Auditorium Maximum. Z wielofabularnej całości na pierwszy plan wysuwa się kil- ka ważniejszych wątków, które współtworzą tonację główną. Oto więc, z pozoru banalny, motyw jeżdżenia lokalną elek- tryczką na dację, przez podmoskiewskie stacyjki i osiedla: zawsze te same, z nieodmiennym miejscem docelowym, w towarzystwie częściowo rozpoznawalnych współpasaże- rów. Czasami, jeżeli przytrafi się ktoś całkowicie obcy, pró- by identyfikacji spalają na panewce. Otóż to jest kręcenie się w kółko, pośród niezmiennych akcesoriów i bez żadne- go efektu finalnego. Po prostu wędrówka naokoło ilu- zorycznego ronda, którą ktoś na wyrost nazwał życiem. Które – według Bykowa – jest puste. Tak samo jak nocny pejzaż opustoszałych ulic Moskwy (a Londynu, Krakowa,

Amsterdamu to nie?), gdzie powinien być wściekły ruch, gwar i niebываły ścisk, tymczasem nie ma absolutnie nic. To zresztą być może na chwilę przynosi wytchnienie i ulgę, lecz w ujęciu szerszym pozostawia otwarte pytania o sens egzy- stencji. No bo skoro wszystko, co z takim wysiłkiem skonstru- owano, nie pozwala na przewyżczenie dziurawej pustki, to być może szarpać się nie warto.

Jest też inna ścieżka, która prowadzi do zamazania sensu rzeczywistości, mianowicie nieuchronne następstwo usta- lonych z góry pór roku, jakkolwiek w potraktowaniu innym niż u nas. Bykow forsuje tezę, że to jesień i wiosna niszczą wszystko, co posiada wartość, natomiast wyłączne uroki – to jednak jest Rosja! – ma jedynie zima: śnieżna, biała, pięk- na, oraz powiązana z ciepłem rozpalanych ognisk. Więc zi- mowy pejzaż świata to unikalne piękno, warte uwagi. Nie do przelicytowania.

Ale żeby je zaakceptować, trzeba – jak sędzę – być Rosjani- nem właśnie, albo Norwegiem, bądź Islandczykiem. Tutaj, nad Wisłą, takie spojrzenie na świat przyjąłoby się ewentualnie z dużymi oporami, lub wcale.

Poza tym w stosunkowo licznych wypowiedziach Bykow chętnie wyklóca się z Bogiem. Dosyć zajadle, jakkolwiek osta- tecznie przyznaje mu rację. Ma przede wszystkim pretensje, że skonstruował świat tak a nie inaczej, a potem przestał się nim interesować. No: może nie do końca.

*Klamrą, która spaja
całość, jest smutek –
egzystencji, przemijania,
tworzenia się pustki –
sygnalizowany rozmaicie,
być może nieco nihilistycznie,
ale delikatnie, chociaż
jednocześnie przejmująco
i wyraźnie.*

Według Bykowa Bóg, mimo innych zamiarów, uchronił jed- nak od kasacji Gomerę – zapis przez podwójne rr, o Sodo- mie zaś żadnej wzmianki nie ma – a to z tego powodu, że ostatni tam sprawiedliwy zaczął nagle szlajać się po bur- delach oraz popełnił morderstwo. W tych okolicznościach symboliczna metafora grzeszności znalazła uzasadnienie dla dalszego trwania. Trudno wobec tego zrozumieć autorskie zastrzeżenia. Poza wszystkim przecież, żeby umotywować istnienie nieba, konieczne jest piekło w całej okazałości. W ogóle zaś to świat Boży istnieje tylko dla tych szczęśliw- ców, którzy umieją widzieć i potrafią słyszeć. Krótkowidze i przygłusi nie mają zielonego pojęcia, co teoretycznie mogło- by być dla nich. No to o co ten spór?

Są w tym tomie także inne impresje przemysłeniowe oraz sugestie do rozważenia, lepiej lub gorzej skojarzone z tymi, które już zreferowałem. Teksty zamieszczone pochodzą bo- wiem z okresu mniej więcej dwudziestu lat, toteż różnorod- ność ma uzasadnienie.

Jest więc oto serwis militarny – przypisywany Rosji czy trze- ba, czy nie. Do wojska tam rekrutują wszędzie: w Moskwie i również w podmoskiewskich daczach. Butna postawa rekru- tów trwa jednak tylko do wysłania na front oraz do pierw- szego wystrzału i do pierwszych zwłok. Potem wracają już inni ludzie – jeżeli przeżyją. Może więc w armii nie powinno być takich, którym naprawdę chce się żyć? Bo zresztą wojsko i wojna to kompletny bezsens: burżuj walczy z chamem, ale bywa, że i żona z mężem albo ojciec z synem. Nie wiadomo po co, zawsze bowiem efektem jest pustka i całkowita rujnacja wszystkiego.

*Poza tym w stosunkowo licznych
wypowiedziach Bykow chętnie
wyklóca się z Bogiem.
Dosyć zajadle, jakkolwiek
ostatecznie przyznaje mu rację.*

Obecnie takiej refleksji w Europie nie ma. Natomiast Rosja- nin czuje ją przez skórę. No bo Afganistan, Czeczenia, Syria... Może tylko przejęcie Krymu akurat w Rosji (uważa Bykow) ni- kogo szczególnie nie zbulwersowało. No bo czy to wojna? Czy też tylko powrót do sytuacji sprzed lat.

A oto całkiem inny wątek opowieściowy. Kiedy służby arez- towały dysydenckiego męża, żona wycofała się z zamierzenia rozwodu. W Rosji bowiem tylko żony mogą dostarczać pacz- ki do więzienia. Zatem: głównie po to są. Inni krewni takich uprawnień nie mają. Wobec tego ukonstytuował się specjalny cykl: ślub > dzieci > czekanie na areszt > więzienie. Powtarzal- ny, bo tymczasem dzieci dorastają, pobierają się, czekają na areszt, no i potem ktoś znowu musi dostarczać do więzienia paczki. Jeżeli ktoś nie wie, co to jest prawdziwy horror, to By- kow potrafi mu dokładnie wyjaśnić.

Chociaż w innym miejscu dopowiada, że jednak dysydent to ktoś częściowo niewydarzony. Nie umie rozpoznać wyjścia wśród mnożonych z godziny na godzinę zakazów i nakazów, ani zdecydować, czy walczyć o niemożliwe zwycięstwo, czy też przystać w końcu na upokarzającą amnestię. No i pozo- staje w trwałej niepewności, czy to wobec niego zawinił świat oraz władza, natomiast co do siebie jest przekonany, że on sam zrobił światu jakieś świństwo.

Pytanie fundamentalne: czy warto więc być przeciwnikiem tyrana? Wszystko wskazuje, że nie, bo to diadostwo i bezna- dzieja. Nikt nie wysłucha, nie doceni, nie zapamięta. Z kolei jak to jest być tyranem i imperatorem? Na starość też nikt nie wysłucha, nie zapamięta, ani nie doceni. W sumie, po jednym oraz po drugim nie zostanie żaden ślad.

Nie można powiedzieć, żeby Bykow skutecznie podnosił na duchu; jest na to zbyt szczerzy. Chyba że ewentualnie w formie ostrzeżenia – że jednak ktoś zapamięta nazwiska oprawców i prześladowców. A potem? No właśnie: co z tego miałoby wynikać potem.

Jest jeszcze w tym tomie, w końcu dość opasłym, propo- zycja innej wersji dziejów, Rosji oraz świata. Przyjmijmy, że w 1917 r. bolszewicy pouciekali, Lenin w kobiecym przebraniu

dotarł do Szwajcarii, gdzie następnie dokonała się rewolu- cja rzeczywista, z nieodzownym zawołaniem hasłowym „bij Żyda,” a Piter zajął Judenicz albo Kornitow, wprowadzając łagodny terror *biały*, jakkolwiek nie aż tak liberalny, żeby nie zesać Kiereńskiego na Sybir. No i co? Trudno powiedzieć.

Finalną konkluzję autora, rozsianą po całym tym tomie, można zsyntetyzować tak oto: trzeba wziąć na wstrzymanie i powiedzieć sobie – dosyć. Nie chcieć niczego ponad to, co jest, ponieważ w istocie niczego w ogóle nie ma, zatem więcej nie będzie na pewno. Zero plus zero nie sumuje się w jeden. Po co komu spodnie, jeśli nie ma tyłka lub do czego koło, sko- ro nie ma taczki. Nie warto zabiegać o wszystko, nie tylko dla- tego, że to nie jest osiągalne. Jest zbędne.

*Pytanie fundamentalne:
czy warto więc być przeciwnikiem
tyrana? Wszystko wskazuje, że nie,
bo to diadostwo i beznadzieja.
Nikt nie wysłucha, nie doceni,
nie zapamięta. Z kolei jak to jest,
być tyranem i imperatorem?
Na starość też nikt nie wysłucha
nie zapamięta, ani nie doceni.
W sumie, po jednym oraz
po drugim nie zostanie
żaden ślad.*

Ta zgrzebna i smutna deklaracja nie wygląda jednak na roz- paczliwy krzyk maltretowanego dysydenta. To pogłębiona refleksja pięćdziesięciolatka, który w maratonie życia zrobił sobie krótką przerwę i przyjrzał się swoim dotychczasowym przebiegom. Wydały mu się upiornie puste, więc zapropono- wał namysł: sobie oraz innym – z niepewnym oczekiwaniem na wnioski.

Jacek Wojciechowski | Bibliotekoznawca, długoletni dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Krakowie. Profesor emerytowany Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Znawca literatur Europy Wschodniej.

Aleksander Błok

Wiersze

Alksander Błok | ur. 1880, zm. 1921.

Rosyjski poeta-symbolista epoki srebrnego wieku, dramaturg.

Kroki Komandora

W. A. Sorgenfrejowi

Ciężka, szczelna u wejścia zastona,
Nocne niebo – w mgły tumanie.
Czymże teraz twoja wolność osławiona,
Strach poznawszy, Don Juanie?

Pyszna twa sypialnia pustką zionie,
Służba śpi i noc dokoła.
Gdzieś w dalekiej, nieznajomej, błogiej stronie
Obudzony kogut woła.

Czym rozkoszy głos dla przeniewiercy?
Chwile życia policzone.
Donna Anna śpi, złożywszy na krzyż ręce,
Donna Anna śni sny nieprześnione...

Czyje rysy zastygły niemiłe,
W lustrach w krąg odzwierciedlone?
Anno, Anno, słodko spać w mogile?
Słodko śnić sny nieprześnione?

Życie puste jest, szalone, kuriozalne!
Stań do walki, dawne przeznaczenie!
W odpowiedzi zaś – miłośnię i triumfalnie –
Z śnieżnej mgiełki płynię rogu pienie...

Przelatuje, bryzgnąwszy światłami,
Silnik czarny i cichy jak sowa,
I cichymi, ciężkimi krokami
Sam Komandor wchodzi w dom bez słowa.

Drzwi na oścież. Z mrozu, że dreszcz bierze,
Na kształt nocnych zegara charkotów –
Bije zegar: – Zapraszają na wieczerzę.
Oto jestem. A tyś gotów?

Nie ma odpowiedzi na pytanie.
Cisza. Żadna odpowiedź nie pada.
Straszne w pysznej sypialni świtanie,
Służba śpi i noc już błada.

Zimno, dziwnie w godzinę poranną,
O świtanu – noc jest mętna.
Panno Światła! Gdzieżeś, donno Anno?
Anno! Anno! – Cisza smętna.

Tylko w groźnym porannym tumanie
Głos zegara ostatni raz płynie:
Donna Anna w chwili śmierci twojej wstanie.
Anna wstanie w ostatniej godzinie.

październik 1910 – 16 lutego 1912

przekł. Zbigniew Dmitroca

Scytowie

*Panmongolizm! Choć nazwa dzika,
To pieści czule moje ucho.*
Włodzimierz Sołowjow

Miliony – was. Nas – mrowie, mrowie, mrowie.
Spróbujcie bitwę stoczyć z nami!
Tak, my – Azjaci, tak, myśmy – Scytowie,
Z kosymi i żądnymi krwi oczami!

Dla was – stulecia, nam – godzina starczy.
My, jak posłuszni słudzy, w szyku
Trzymaliśmy wśród wrogich dwu ras tarczę –
Mogołów i Europejczyków.

Przez wieki kuło wasze palenisko
I zagłuszało grom lawiny,
I dziwną bajką było rozwalisko
Pięknej Lizbony i Messyny.

Wyście przez setki lat na Wschód patrzyli,
Sptawiając naszych skarbów wiele,
I kpiąc czekaliście stosownej chwili,
By wycelować dział gardziele.

I nadszedł czas. Nieszczęścia grzmiały dokoła
I każdy dzień tragedie mnoży,
I przyjdzie dzień – nie będzie śladu zgoła
Po waszych dawnych miastach może!

Dopóki dręczysz się cierpieniem błogim,
Dopóki żyjesz, stary świecie,
Stań, niczym Edyp, przed Sfinksem złowrogim
Z jego zagadką sprzed stuleci!
Rosja to Sfinks! Smuci się i raduje,
Krwi oblewając się mnogością,
I tak się w ciebie wpatruje, wpatruje
I z nienawiścią, i z miłością!...

Kochać jak my od dawna nie umiecie
I już nie pamiętacie wcale,
Że wciąż istnieje miłość na tym świecie,
Która człowieka gubi, pali!

Kochamy wszystko – zimnych liczb porządek,
Dar boskich wizji nas porusza,
Nam zrozumiały – galijski rozsądek
Oraz germańska mroczna dusza...

My pamiętamy – paryskie gorąco,
Weneckich ulic chłodek miły,
Woń cytryn, z gajów dalekich płynącą,
Kolonii zadymione bryły.

Kochamy ciało – w całej rozciągłości:
Smak, kolor i śmiertelny zapach.
Czy winniśmy, gdy chrzęstną wasze kości
W ciężkich i czułych naszych łapach?

Przywykliśmy stepowe konie harde
Łapać za mocne uździenice
I łamać koniom kręgosłupy twarde,
Poskramiać krnąbrne niewolnice.

Chodźcież tu do nas z okropności wojny!
Szczere się z wami uściśniemy!
Dopóki czas – schowajmy oręż zbrojny.
Kamraci! Braćmi się staniemy!

A jeśli nie – cóż, to nie nasza strata
I nam dostępne wiarołomstwo!
Przeklinać będzie was przez długie lata
Późne i pełne skaz potomstwo!

Szeroko się po lasach rozstąpimy
Przed Europą urodziwą!
I w waszą stronę wtedy się zwrócimy
Swoją scytyjską mordą krzywą!

Wszyscy na Ural! Wprost na Ural śpieszcie!
My zaś plac boju uprzątamy
Stalowych maszyn, co zmierzają wreszcie
Z mongolskiej hordy czambułami!

Lecz nie będziemy od dziś waszą tarczą,
Do walki już nie przystąpimy.
My popatrzymy, jak dwie armie walczą,
Swymi oczami wążutkami.

Nie drgniemy, kiedy na pobojuwisku
Hun będzie z trupów odzież zdierał
I białych braci mięso piekł w ognisku,
Miasta z oblicza ziemi ścierał...

O stary świecie, usłysz to wołanie!
Na świętą ucztę pobratymców,
Ostatni raz na bratnie ucztowanie
Woła cię lira barbarzyńców!

30 stycznia 1918

przekł. Zbigniew Dmitroca

Anna Achmatowa

Wiersze

Anna Achmatowa | ur. 1889, zm. 1966.
Rosyjska poetka, tłumaczka. Przedstawicielka akmeizmu.

✱ ✱ ✱

Gdy pośród samobójczej trwogi
Naród niemieckich czekał gości
I gdy rosyjskiej cerkwi progi
Opuszczał duch bizantyjskości,

Gdy miotająca się stolica,
Godności swej do cna wyzbyta,
Niczym pijana wszetecznica,
Już nie wiedziała, kto ją chwyta.

Głos usłyszałam. Tchnął otuchą.
I tak przemawiał: „Pójdźże ze mną,
Zostaw krainę grzeszną, głuchą,
Na zawsze porzuć Rosję ciemną.

Ze krwi obmyję twoje dłonie
I z serca czarny wstyd wymiotę,
Imieniem nowym ja osłonię
Największą klęskę i zgryzotę”.

Lecz obojętnie i spokojnie
Rękami zacisnęłam uszy,
Aby te słowa nieprzystojne
Zbolałej nie zbrukały duszy.

jesień 1917
Petersburg

przekł. Zbigniew Dmitroca

Oszczerstwo

I nie odstępowało mnie w życiu oszczerstwo.
Jego chód pełzający w śnie słyszałam często
I nawet w martwym mieście pod okrutnym niebem,
Gdy błąkałam się, chodząc za dachem i chlebem.
Jego odbłaski płoną w każdym ludzkim oku,
Jako zdrada lub jako niewinny niepokój.
Ja się go nie obawiam. Na każde wyzwanie
Surową, zastróżoną odpowiedź dostanie.
Lecz czuję, że ten dzień nadchodzi nieuchronnie –
O bladym świetle przyjdą przyjaciele do mnie
I mój najmiłszy sen zakłóca ich lamenty,
I na ostygłej piersi złożą obraz święty.
Nikomu nieznajome wtedy wejdzie ono
I we krwi mojej gębą niezaspokojoną
Nierzeczywiste krzywdy liczy do znudzenia,
Swoją głębię wplatając w rzewne panichidy pienia.
I wszyscy zrozumieją, dlaczego tak bredzi,
Żeby na siebie spojrzeć nie śmieli sąsiedzi
I żeby ziała pustka w krąg mojego ciała,
Żeby po raz ostatni dusza zapałała
Ziemską niemocą, lecąc w porannej mgle lekkiej,
I współczuciem do ziemi żegnanej na wieki.

styczeń 1922
Wagon Bełżec – Petersburg

przekł. Zbigniew Dmitroca

Krzysztof
Bielawski

Sentencje delfickie o przyjaźni

15. Φίλοις βοήθει [*Filois boethei*]

Pomagać przyjaciołom

Zacunek dla przyjaciół, razem z szacunkiem dla bogów, rodziców i praw, stanowił najsilniejszy imperatyw moralny greckiego życia¹. Jak to zwięźle wyraził Izokrates w pierwszej mowie (p. 16): Τοὺς μὲν θεοὺς φοβοῦ, τοὺς δὲ γονεῖς τίμα, τοὺς δὲ φίλους αἰσχύνου, τοῖς δὲ νόμοις πείθου – „Bój się bogów, czcij rodziców, szanuj przyjaciół i bądź posłuszny prawom”.

Kiedy Hezjod przepowiadał zupełny upadek moralny wieku żelaznego, opisał całkowite złamanie relacji przyjaźni – *philia* – między wszystkimi: rodzicami a dziećmi, gośćmi a gospodarzami, przyjaciółmi a rodzeństwem (*Prace i dni*, 182–188, por. 327–334). W greckim rozumieniu przyjaźni wyraźny akcent spoczywał na działaniu, nie na sentymentach, jakkolwiek silne zaangażowanie emocjonalne stanowiło jej rys rozpoznawczy².

Szczególnym obowiązkiem przyjaźni – co jest prawdą starą jak świat i dobrze zadomowioną w przysłowiach wszystkich języków – jest pomoc w nieszczęściu, w „biedzie”. Eurypides zapisał słowa: τοὺς φίλους / ἐν τοῖς κακοῖς χρή τοῖς φίλοισιν ὠφελεῖν – „przyjaciele powinni pomagać przyjaciołom w nieszczęściach” (*Orestes* 665–666).

Bibliografia
BLUNDELL M.W., *Helping Friends and Harming Enemies: A Study in Sophocles and Greek Ethics*, Cambridge 1989.
KONSTAN D., *Friendship in the Classical World*, Cambridge 1997 (obszerna bibliografia: s. 177–198).
KONSTAN D., *Greek Friendship*, *AJPh* 1996, vol. 117, s. 71–94.
WALKER A.D.M., *Aristotle's Account of Friendship* in the *Nicomachean Ethics*, „*Phronesis*” 1979, vol. 24, s. 180–196.

1 M.W. BLUNDELL, *Helping Friends and Harming Enemies: A Study in Sophocles and Greek Ethics*, Cambridge 1989, s. 31.
2 Zob. D. KOSTAN, *Friendship in the Classical World*, Cambridge 1997, s. 56–58. Na temat *philia* zob. też obszerny komentarz do sentencji 20.

20. Φιλίαν ἀγάπα [*Filian agapa*]

Miłuj przyjaźń

Cóż bardziej oczywistego od przyjaźni? Homeryccy bohaterowie – z wzorcowym związkiem Achillesa i Patroklosa na pierwszym planie – pozostają ze sobą w bliskich relacjach, są sobie wzajemnie „drodzy”, „mili”, „bliscy”, co opisuje przymiotnik φίλος (*philos*), lub też są dla siebie prostu „przyjaciółmi” – przymiotnik ten może się łatwo urzeczownikawiać³. Niezwykle ważnym prawem jest w poematach Homerowych ξενία (*ksenia*) – prawo wzajemnej gościnności, wyrażające się w wymianie darów i uprzejmości, zakorzenione w wielopokoleniowych relacjach⁴. W szóstej pieśni *Iliady* (224 i nn.) do pojedynku na śmierć i życie stają naprzeciw siebie Diomedes i Glaukos, ale nagle odkrywają, że ich dziadków łączyło prawo gościnności. Porzucają włócznie, oddają się przyjaznej rozmowie i wymieniają między sobą dary. Są dla siebie wzajemnie ξεῖνοι φίλοι – „przyjaciółmi i gośćmi” – oraz ξεῖνοι πατρώοι – „przyjaciółmi ze względu na swoich ojców”. Ta relacja jest w wizji poety niezwykle silna i osobista, przynależy do praw podstawowych – świeżo rozpoznani przyjaciele odstępują od pojedynku, obiecują unikać się w bitwie i nigdy nie stanąć przeciwko, chociaż zarazem ich armie nadal są sobie wrogie i mogą oni zabijać w boju towarzyszy broni przyjaciela.

Abstrakcyjny rzeczownik φιλία (*philia*) – przyjaźń – pojawia się jednak w zachowanej literaturze greckiej stosunkowo późno. Nie występuje u epików – Homera, Hezjoda czy w hymnach homeryckich – ani u poetów lirycznych⁵. Pierwszy raz pojawia się u Ajschylosa (*Błagalnice* 533, *Prometeusz*

3 A.W.H. ADKINS, *Friendship and Self-Sufficiency in Homer and Aristotle*, CQ 1963, vol. 13, s. 30–45.
4 G.R. STANTON, *Φιλία and ξενία in Euripides’ Alkestis*, „Hermes” 1990, Bd. 118, s. 42–54.
5 J.-C. FR AISSE, *Philia. La notion d’amitié dans la philosophie antique. Essai sur un problème perdu et retrouvé*, Paris 1974, s. 36.

w *okowach* 128 i *Agamemnon* 355) i późniejszych tragików (Sofokles: *Elektra* 226, *Edyp w Kolonos* 201; Eurypides: *Alkestis* 279, 473, 876, 917, 930, *Hipolit* 254, 364, *Hekabe* 933, *Herakles szalejący* 1200, *Orestes* 138), u historyków – Herodota (3, 82, 18; 4, 153, 1; 8, 87, 8), Tukidydesa i Ksenofonta (bardzo często, zwykle w odniesieniu do relacji politycznych i militarnych sojuszy) – oraz, oczywiście, u filozofów, od Platona poczynając. Prawdziwą karierę słowo to zrobiło dopiero u Arystotelesa, który poświęcił przyjaźni i temu rzeczownikowi obszerne partie swoich dzieł etycznych.

Philia opisuje wszelkie możliwe relacje – zarówno rodzinne, jak i pozarodzinne – w których więzom formalnym lub społecznym towarzyszy zaangażowanie emocjonalne⁶. Bywa, że przyjaźń przeciwstawiona jest rodzinie i więzom krwi. Tak dzieje się w *Orestesie* Eurypidesa (804–806). Bohater, opuszczony przez bliskich, znajduje pomoc jedynie w Pyładesie, który postanawia towarzyszyć mu wbrew wszelkim przeciwnościom. Orestes mówi: „Otóż to: mieć przyjaciół, nie tylko rodzinę./ człowiek twych obyczajów, choćby nawet obcy,/ przyjaciel, więcej wart jest niż tysiące krewnych”⁷.

Przyjaźń może też być pojęciem politycznym i oznaczać wzajemne życzliwe relacje między państwami, miastami czy władcami, które umożliwiają wspieranie się wzajemne wobec zagrożeń zewnętrznych oraz zawieranie militarnych sojuszy⁸. Osobnym problemem jest w tej sentencji czasownik ἀγαπάω – „kocham”, „miłuję”. Należy do słów opisujących silną pozytywną emocję, których katalog jest w grece znacznie obszerniejszy niż w jakimkolwiek nowożytnym języku europejskim. Mamy czasownik φιλέω, oznaczający ogólnie głębokie zaangażowanie, sympatię, przyjaźń lub miłość, mamy ἐράω – wyrażający miłość pełną pasji, zazwyczaj erotyczną, mamy στέργω, który najczęściej opisuje miłość między członkami najbliższej rodziny, rodzicami i dziećmi lub rodzeństwem, i wreszcie ἀγαπάω – oznaczający miłość najbardziej bezinteresowną, wolną od namiętności, ale głęboką i silną. W polszczyźnie uciekanie się do słowa „miłować” jest wyrazem desperacji, ponieważ należy ono do języka archaicznego, pozostającego poza głównym nurtem codziennego języka żywego, silnie zaznacza swoją obecność jedynie w tekstach liturgicznych i języku biblijnym.

W tradycji chrześcijańskiej dość adekwatnie różnicę między miłością *philia* i *agape* oddaje rozmowa między Jezusem a Piotrem w zakończeniu Ewangelii Janowej (21, 15–17), gdy Piotr jest trzykrotnie pytany przez swego mistrza o miłość. Jezus dwukrotnie pyta o miłość *agape* – ἀγαπᾶς, w polskim przekładzie Biblii Tysiąclecia: „czy miłujesz Mnie?”, na co Piotr konsekwentnie odpowiada innym słowem: φιλῶ – „kocham”. Za trzecim razem Jezus jakby się poddał i pyta słowem użytym przez Piotra: φιλεῖς – „czy kochasz?”, na co Piotr z ulgą odpowiada trzeci raz: φιλῶ – „tak, kocham”. Tak jakby Piotr zdawał sobie sprawę, że miłość, jakiej domaga się Jezus, jest dla niego za trudna, że nie zdoła sprostać jej wymaganiom i to, o czym może jedynie zapewnić, to jest *philia*.

6 D. KOSTAN, *Greek Friendship*, *AJPh* 1996, vol. 117, s. 71–94.
7 EURYPIDES, *Tragedie*, s. 421.
8 G. HERMAN, *Ritualised Friendship and the Greek City*, Cambridge 1987, s. 105 z odniesieniem do Tukidydesa s. 7, 33, 4.

Angielskie przekłady mają tu rozwiązania rozczulające, ale może nieco bardziej adekwatne od polskich: „Do you love me?”, „O yes, you know, you know that I have affection for you” (*World English Bible*), albo: „you can see that you are dear to me” (*Weymouth New Testament*), czy wreszcie: „you know that I am your friend” (*Open English Bible*), *de facto* tyle co zwykłe: „I like you”...

Połączenie w tej sentencji tych dwóch idei – *philia* i *agape* – jest zastanawiające i przejmujące zarazem. To tak, jakby powiedzieć „kochaj miłość”, ponieważ *philia* bez wątpienia jakąś miłość, głęboką wzajemną więź w relacji osobistej opisuje. Nie jest to jednak żaden anakolut, żadna tautologia, „masło maślane”, oznacza to „troszcz się o bliskie relacje, dbaj o nie, bądź uważny i nieustannie ponawiaj swój wybór”, bo *philia* jest dużo bardziej podatna na zranienia i krzywdę niż *agape*, która zdaje się góry przenosić – to jej poświęcił swój słynny hymn św. Paweł w 13 rozdziale Listu do Koryntian.

Przyjaźni dotyczy jeszcze sentencja 15, o pomaganiu przyjaciołom, i sentencja 105, która zaleca pilnowanie, strzeżenie przyjaźni.

Bibliografia
ADKINS A.W.H., *Friendship and Self-Sufficiency in Homer and Aristotle*, CQ 1963, vol. 13, s. 30–45.
DAVIDSON J., *The Greeks and Greek Love: A Bold New Exploration of the Ancient World*, New York 2007.
DIRLMEIER F., *ΦΙΛΟΣ und ΦΙΛΙΑ im vorhellenistischen Griechentum*, München 1931.
FERGUSON J., *Moral Values in the Ancient World*, London 1958 (rozdział IV: *Friendship*, s. 53–75).
FRAISSE J.-C., *Philia. La notion d’amitié dans la philosophie antique. Essai sur un problème perdu et retrouvé*, Paris 1974.
HERMAN G., *Ritualised Friendship and the Greek City*, Cambridge 1987.
KOSTAN D., *Friendship in the Classical World*, Cambridge 1997.
KOSTAN D., *Greek Friendship*, *AJPh* 1996, vol. 117, s. 71–94.
PRICE A.W., *Love and Friendship in Plato and Aristotle*, Oxford 1989.
STANTON G.R., *Φιλία and ξενία in Euripides’ Alkestis*, „Hermes” 1990, Bd. 118, s. 42–54.

28. Φίλοις εὖνόει [*Filois eunoei*]

Bądź życzliwy dla przyjaciół

Kolejna sentencja poświęcona przyjaźni⁹. Przyjaźń jest pojęciem kluczowym dla greckiej kultury i obejmuje relacje rodzinne i pozarodzinne, którym towarzyszy silne zaangażowanie emocjonalne. Może też dotyczyć stosunków o charakterze politycznym między rodzinami, miastami czy państwami.

We wszystkich tych możliwych relacjach przyjaźń przejawia się przede wszystkim w sposobie, w jaki przyjaciele się traktują. Sentencja ta radzi, by przyjaciołom okazywać zawsze

9 Zob. komentarz do sentencji 20.

życzliwość. Dokładniej mówiąc – jeśli spojrzeć na czasownik *eunoao* – żeby mieć dla nich dobry (*eu, εὖ*) umysł (*nous, νοῦς*), dobre myśli – życzliwość. I żeby życzliwe nastawienie umysłu szło przed ukazującymi je działaniem, słowem, gestem.

Do przyjaciół zawsze bądź dobrze usposobiony, zawsze myśl o nich dobrze.

Bibliografia
FRAISSE J.-C., *Philia. La notion d'amitié dans la philosophie antique. Essai sur un problème perdu et retrouvé*, Paris 1974.
HERMAN G., *Ritualised Friendship and the Greek City*, Cambridge 1987.
KOSTAN D., *Friendship in the Classical World*, Cambridge 1997.
KOSTAN D., *Greek Friendship*, AJPh 1996, vol. 117, s. 71–94.
MITCHELL L., *Φιλία, εὐνοια and Greek Interstate Relations*, „Antichthon” 1997, vol. 31, s. 28–44.
STANTON G.R., *Φιλία and ξενία in Euripides’ Alkestis*, „Hermes” 1990, Bd. 118, s. 42–54.

37. Φίλῳ χαρίζου [*Filo charidzu*]

Raduj przyjaciela

Na temat tego, kim jest *philos* – „przyjaciel” i czym jest *philia* – „przyjaźń”, piszę w komentarzach do sentencji 15, 28 i 105 i tam też (oraz do bibliografii) odsyłam czytelnika.

Ta sentencja mówi, najogólniej rzecz biorąc, o tym, jak zachowywać się wobec przyjaciela w zwykłych, codziennych kontaktach. Jakie mieć wobec niego nastawienie. Z czasownika *charizomai* (χαρίζομαι) wynika, że ma to być postawa, która w całości stanowi wyraz *charis* (χάρις¹⁰) – wdzięczności, życzliwości, wzajemności i wdzięku – takiego postępowania, które sprawia radość i przyjemność. Χαρίζομαι znaczy przede wszystkim „robić lub mówić coś, co sprawia przyjemność” – jest miłe i wyraża wdzięczność i szacunek, przynosi radość i poczucie wyjątkowości – zwłaszcza zaś dawać podarunki, które cieszą, dary, które są wyrazem wdzięczności i odpowiedzią na doznaną serdeczność. Wszystkie aspekty tego ostatecznie nieprzekładalnego czasownika są równocześnie obecne w tej sentencji: wdzięczność, wzajemność, dar, uprzejmość. Intrygujące też i istotne jest to, że w całym delfickim spisie czasownik ten występuje w takiej samej formie: nakazu – aż trzy razy. Oprócz omawianej tu, jeszcze w gnomach 45 i 136, które są nieco bardziej jednoznaczne, jeśli chodzi o zawężenie znaczeń tego czasownika. Sama *charis* jest jeszcze treścią sentencji 75¹¹.

„Raduj”, jak przetłumaczyłem χαρίζου, może oznaczać „bądź miły lub uprzejmy”, jednak bycie miłym lub uprzejmym bywa lub może być bardzo powierzchowne, a nawet cyniczne. W greckim słowie tkwi znacznie głębsza treść. Uprzejmość może być powierzchowna, wdzięczność – już nie.

¹⁰ Według ARYSTOTELESA (*Etyka nikomachejska* 1133a3 – 5: τοῦτο γὰρ ἴδιον χάρι- τος ἀνθυπηρετῆσαι γὰρ δεῖ τῷ χαρισσμένῳ, καὶ πάλιν αὐτὸν ἀρξαι χαρίζομενον. ποιεῖ δὲ τὴν ἀντίδοσιν τὴν κατ’ ἀναλογίαν ἢ κατὰ διάμετρον οὐζέυςις) *charis* jest przysługą, która domaga się innej przysługi i wymusza wzajemność. Jest to dar, który wdzięczność i wyraża, i zarazem ją prowokuje.

¹¹ Zob. komentarze do wszystkich wymienionych sentencji.

Sentencja mówi o tym, że należy bliskim sprawiać radość i przyjemność z prawdziwej wdzięczności oraz że ta wdzięczność zawsze ma swój konkretny wyraz i najlepiej okazać ją przez obdarowywanie. Ten aspekt „dawania” jest obecny w sentencji 45: Ἐχων χαρίζου („Jeśli masz, dawaj”). Z kolei sentencja 136⁶⁶ – Χαρίζου ἀβλαβῶς („Obdarowuj bez szkody”) – zwraca uwagę na to, że obdarowywaniu może towarzyszyć krzywda lub szkoda – βλα- βῆ – należy się osobno zastanowić, co to oznacza.

Imiesłów perfektywny od omawianego wyżej czasownika – κεχαρισμένος – jest często używany przymiotnikowo jako określenie daru: albo dla człowieka, albo – zwłaszcza – dla boga. Dar musi zostać przyjęty i być „miły” obdarowanemu. Κεχαρισμένον to jest to, co sprawia radość. I to jest to, co należy w tej sentencji rozumieć jako obowiązek wobec przyjaciela.

Bibliografia
HERMAN G., *Ritualised Friendship and the Greek City*, New York 1987.
MACLACHLAN B., *The Age of Grace: Charis in Early Greek Poetry*, Princeton 1993.
MITCHELL L.G., *Greeks Bearing Gifts: The Public Use of Private Relationships in the Greek World*, 435–323 B.C., Cambridge 1997.
PADILLA M., *Gifts of Humiliation: Charis and Tragic Experience in Alcestis*, AJPh 2000, vol. 121, s. 179–211.
PONTANI F., *Noblest Charis: Pindar and the Scholiasts*, „Phoenix” 2013, vol. 67, s. 23–42.
Reciprocity in Ancient Greece, ed. by Ch. Gill, N. Postlethwaite, R. Seaford, Oxford 1998, a zwłaszcza tamże: J.-M. BREMER, *The Reciprocity of Giving and Thanksgiving in Greek Worship*, s. 127–138, oraz E. BELFIORE, *Harming Friends: Problematic Reciprocity in Greek Tragedy*, s. 139–158.
SEAFORD R., *Reciprocity and Ritual: Homer and Tragedy in the Developing City-State*, Oxford 1994.

105. Φιλίαν φύλαττε [*Filian fylatte*]

Strzeż przyjaźni

Temat pojęcia przyjaźni omówiłem w obszernym komentarzu do sentencji 20 – tam też znajduje się podstawowa bibliografia.

Tutaj warto zastanowić się nad czasownikiem φυλάττειν (*phylattein*) – „strzec, pilnować” – ponieważ rada zawarta w tym powiedzeniu odwołuje się do praktycznych i konkretnych znaczeń i skojarzeń, jakie to słowo wywołuje.

Z czasownikiem tym spokrewniony jest pospolity rzeczownik φύλαξ – „strażnik”. W *Iliadzie* strażników mieli i Trojanie, i Grecy, pierwszą scenę wielkiego Ajschylosowego *Agamemnona* otwiera mowa strażnika, który wygląda znaków powrotu króla do Argos, Platon mówi nawet o „ochroniarzach” (φύλακες τοῦ σώματος), a u historyków – Tukidydesa i Ksenofonta – mamy wartowników, oddziały straży przybocznej i straże nocne, wszystko to są φύλακες. Strażnik czuwa, ostrzega przed niebezpieczeństwem, ochrania i broni, otacza opieką i niestrudzenie pełni służbę w dzień i w nocy. Te wszystkie znaczenia niesie w sobie czasownik *phylattein* zawarty w tej sentencji.

Przyjaźni trzeba strzec, trzeba przy niej czuwać, przewidywać jej zagrożenia i zapobiegać możliwym atakom na nią. Czuwanie nad przyjaźnią wymaga czasu i poświęcenia, uwagi i determinacji, uważności i nawet wiedzy – bycie strażnikiem jest profesją. Czasownik *phylattein* jest związany z obowiązkiem służby wojskowej, z rozkazami, które trzeba wypełniać. „Stanie na straży” jest służbą dla większego dobra.

Zbiór 148 sentencji greckich został przekazany w późnej redakcji Stobajosa w jego *Florilegium* (IV wiek n.e.). Nazywane są sentencjami Siedmiu Mędrców albo sentencjami delfickimi. Stanowiły one istotny punkt odniesienia w greckim określaniu własnej tożsamości. Także dziś odczytujemy w nich samą istotę antycznej „greckości”, greckiego humanizmu i greckiego ducha.

Prezentowane tu sentencje i komentarze podano za:

K. Bielawski, *Delficki trójnóg. Sentencje delfickie*, Kraków-Bergamo 2017.

Ilustracje: **Anna Bielawska**



Biblioteka Antyczna
prezentuje:

Katarzyna
Różycka-Tomaszuk

O *Cyceronie* *i Attyku*



Cyceron, Marcus Tullius Cicero | ur. 106, zm. 43 p.n.e.
Rzymski mówca, mąż stanu, filozof.

Listy Marka Tulliusza Cycerona do brata, do Marka Brutusa, do znajomych, wreszcie – do najbliższej mu osoby, Tytusa Pomponiusza zwanego Attykiem, to wśród antycznej korespondencji zachowanej do naszych czasów zbiór niezwykle. I ze względu na swoją obszerność (ponad osiemset listów; razem z tymi, których Cyceron był adresatem – ponad dziewięćset), i ze względu na czas, jaki obejmuje (burzliwe ćwierćwiecze 68-43 p.n.e.), i ze względu na wielowątkowość, tematyczną i stylową różnorodność, przede wszystkim zaś dlatego, że w przeważającej mierze składa się on nie z listów literackich, lecz osobistych, prywatnych, choć – jak chyba wszystko, co pisał Cyceron – będących świetną literaturą.

Żył Marek Tulliusz w dramatycznych czasach upadku republiki i narodzin rzymskiego jedynowładztwa; należał do ważnych, a zwłaszcza we własnym poczuciu, najważniejszych postaci życia publicznego. Jego korespondencja stanowi bezcenne źródło historyczne, przynosząc czytelnikowi – oprócz informacji o wydarzeniach, portretów pierwszo- i drugoplanowych postaci ówczesnej sceny politycznej, komentarzy, diagnoz i prognoz – fascynujący, niejednoznaczny wizerunek samego Cycerona: Senatora republiki rzymskiej, konsula roku 63, człowieka, którego nie urodzenie, lecz talent i zasługa (on sam mówi o cnocie, *virtus*) wprowadziły do ówczesnej elity i którego owa elita nigdy w pełni nie zaakceptowała; konserwatysty i tradycjonalisty niezdołnego (niechcącego?) – mimo całej swej przenikliwości oraz niejednokrotnie demonstrowanego pragmatyzmu – zrozumieć przyczyn, dla których powrót do przeszłości był niemożliwy, i wyciągnąć z tego politycznych wniosków. A zarazem: wielkiego mówcy i pisarza, znawcy greckiej filozofii i retoryki, filhellena i twórcy mitu o początkach rzymskiej fascynacji kulturą grecką. Jawi się zatem Cyceron w świetle tej korespondencji jako subtelny intelektualista, bystry, czarujący człowiek, naiwny i nieskuteczny polityk, pozbawiony i hartu fizycznego, i hartu ducha.

Kilkanaście lat po jego tragicznej śmierci historyk Liwiusz napisze, że Cyceron okazał dzielność jedynie w jej obliczu. Zginął 7 grudnia 43 r. p.n.e. nieopodal Kajety (dzisiejsza Gaeta) nad Morzem Tyrreńskim; jednym z zabójców miał być człowiek, którego kiedyś bronił w sądzie. Zginął z woli Marka Antoniusza – w ostatnich miesiącach życia Cycerona, kiedy, nie piastując żadnego urzędu, z energią i determinacją przewodził zwolennikom republiki przeciwko cezarianom, to właśnie Antoniusz był jego największym wrogiem – i za zgodą dwudziestoletniego wówczas Gajusza Oktawiusza, przyszłego Oktawiana Augusta, który jeszcze nie tak dawno działał w przymierzu z senatem i z którym Cyceron wiązał wielkie nadzieje.

Głowę i ręce Cycerona kazał ponoć Antoniusz zawiesić na rostrach, ozdobionej dziobami okrętów mównicy z Forum Romanum – prawa ręka napisała drugą filipikę, jedną z czterech drastyczności niewygodną. Grecki historyk z przełomu II i III w. n.e. Kasjusz Dion powiada, że wcześniej żona Marka Antoniusza Fulwia (jej pierwszym mężem był inny śmiertelny wróg Cycerona – Publiusz Klodiusz) przebiła język mówcy szpilką do włosów. Kiedy w 43 r. Antoniusza ogłoszono wrogiem publicznym, Fulwię wspierał materialnie nie kto inny jak bankier i filantrop, właściciel rozległych dóbr ziemskich w Epirze – Tytus Pomponiusz Attyk, przyjaciel Cycerona; wspierał on zresztą również przeciwników jej męża, tak jak cztery dekady wcześniej, będąc przyjacielem Korneliusza Sulli, wsparł jego przeciwnika – Mariusza. Wykształcony, z wielkim sukcesem mnożący odziedziczone bogactwo i nigdy oficjalnie niezaangażowany w politykę Tytus Pomponiusz Attyk był „przyjacielem wszystkich”; jego córka została żoną Marka Wipsaniasza Agryppy, najbliższego współpracownika i przyjaciela Oktawiana, wnuczka – pierwszą żoną przyszłego cesarza Tyberiusza.

Znajomość z Cyceronem rozpoczęła się na początku lat 70. w Atenach, gdzie obaj studiowali, i trwała aż do śmierci Marka Tulliusza, bez względu na zawirowania w prywatnym i publicznym życiu tego ostatniego, a także problemy w zakończonym ostatecznie rozwodem małżeństwie brata Cycerona i siostry Tytusa Pomponiusza. Attyk był najbardziej zaufanym powiernikiem i doradcą Cycerona: służył mu pomocą finansową, prowadził jego interesy, podczas wieloletniego pobytu na wschodzie kupował dlań dzieła sztuki. Cyceron z zachwytem wspominał w listach o jego bibliotece i bardzo pragnął kiedyś ją nabyć. Ich korespondencja była niezwykle intensywna, Cyceron pisał niekiedy codziennie i stale domagał się od przyjaciela nowych – albo po prostu jakichkolwiek – wiadomości. Wiele listów zaginęło, z lat 66–62 nie zachował się żaden, nie znamy także listów pisanych przez Attyka. Być może to on – wedle jednej z hipotez był Attyk również wydawcą korespondencji Cycerona – przyczynił się zniszczenia tych, których republikańska, antycezariańska czy też antyoktawiańska wymowa mogła zachwiać jego neutralną pozycją.

Bez względu na to, jak intrygująca może się wydawać osoba Attyka, jak niezwykła jego pozycja w ówczesnym Rzymie, warto pamiętać słowa Seneki Młodszego, który znał korespondencję obu przyjaciół:

Marek Tulliusz Cyceron

przeł. Katarzyna Różycka-Tomaszuk

Listy do Attyka | ks. 1-2

Podstawa przekładu: M. Tulli Ciceronis *Epistulae ad Atticum*, edidit D.R. Shackleton Bailey, vol. I: *Libri I–VIII*, Stugardiae 1987 („Bibliotheca Teubneriana”); kolejność listów (chronologiczna) za: Cicero’s *Letters to Atticus*, edited by D.R. Shackleton Bailey, vol. I: 68–59 B.C. 1–45 (*Books I and II*), Cambridge 1965 („Cambridge Classical Texts and Commentaries” 3, Cicero’s Letters to Atticus, vol. I)

11 (1,2)

[Rzym, wkrótce po poprzednim liście, tj. po 17 lipca 65 r.]

[11,] Donoszę ci, że za konsulów Lucjusza Juliusza Cezara i Gajusza Marcjusza Figulusa zostałem pobłogosławiony synkiem; Terencja ma się dobrze.

Od dawna żadnego listu od ciebie. Już wcześniej pisałem ci szczegółowo o swoich planach. Zamierzam teraz bronić mego rywala Katylinę. Sędziowie są tacy, jakich chcieliśmy, i to przy pełnej zgodzie oskarżyciela. Mam nadzieję, że jeśli uznają go za niewinnego, łatwiej mi będzie porozumieć się z nim podczas kampanii; jeśli zdarzy się inaczej, zniosę to z godnością.

[11,2] Bardzo bym chciał, abyś wkrótce przyjechał. Panuje bowiem powszechne przekonanie, że twoi przyjaciele, ludzie znakomici, będą przeciwni mojemu wyborowi. Wiem, że w pozyskaniu ich życzliwości będziesz mi nadzwyczaj pomocny. A zatem postaraj się być w Rzymie, jak postanowiłeś, na początku stycznia.

12 (1,12)

[Rzym, 1 stycznia 61 r.]

[12,1] [...] Zdarzyło się coś jeszcze i chciałbym, ażebyś zajął się całą tą sprawą, dobrze się w niej rozeznawszy.

[12,2] Otóż mam wyzwolenca, ostatniego hultaja – chodzi o Hilarusa, twego rachmistrza i klienta. Donosi mi o nim tłumacz Waleriusz – a i Tyillos pisze, że słyszał tę historię – że, mianowicie, jest on teraz u Antoniusza. Antoniusz, ściągając z ludzi pieniądze, na prawo i lewo rozpowiada, że część bierze dla mnie i że ja wystąłem wyzwolenca, aby stał na straży naszych wspólnych zysków. Dosyć mnie to poruszyło, nie dawałem wprawdzie tej historii wiary,

Podobnie listy Cycerona nie pozwalają, by zagładzie uległo imię Attyka. Nic by mu nie pomógł w tym ani zięć Agrypa, ani mąż wnuczki Tyberiusz, ani prawnuk Druzus Cezar. Pośród tak wielkich imion byłby przemilczany, gdyby nie połączył go ze sobą Cycero.

(przeł. Wiktor Komatowski)

W 2016 r. w serii *Biblioteka Antyczna* ukazała się pierwsza część *Listów do Attyka* Marka Tulliusza Cycerona, zawierająca dwie pierwsze spośród szesnastu ksiąg tej korespondencji. Autorką przekładu jest Katarzyna Różycka-Tomaszuk, wstępu i przypisów – Krystyna Stebnicka.

Publikowane niżej listy, poza pierwszym, pochodzą z roku 61 p.n.e., kiedy to w Rzymie wybuchł skandal związany z udziałem przebranego za kobietę Publiusza Klodiusza (wówczas jeszcze jego imię rodowe brzmiało Klaudiusz) w zastrzeżonym dla kobiet święcie ku czci Bona Dea, a także z roku 59 p.n.e. – pierwszego roku rządów triumwiratu Cezara, Pompejusza i Krassusa (Cyceron określał ich mianem dynastów). Obszerne przypisy znajdujące się w edycji książkowej nie zostały tu wykorzystane; wyrażenia i cytaty greckie podano wyłącznie w polskim przekładzie (zapisanym kursywą), rezygnując z przytaczania wersji oryginalnej.

ale jakieś pogłoski krążyły. Wszystko to wybadaj, rozpoznaj, przepatrz, a tego gałgana usuń stamtąd, jakim tylko chcesz sposobem. Jako autora plotki Waleriusz wymienia Gnejusza Plaucjusza. Tobie to wszystko powierzam, byś zorientował się, w czym rzecz.

[12,3] Panuje powszechne przekonanie, że Pompejusz jest mi bardzo przyjazny. Wszyscy pochwalają jego rozwód z Mucją. Słyszałeś, myślę, że Publiusz Klodiusz, syn Appiusza, został przyłapany w kobiecych szatach w domu Gajusza Cezara podczas składania ofiar w intencji ludu i że się uratował, bo wyprowadziła go stamtąd mała niewolnica. To straszliwa hańba. I na pewno bardzo cię zmartwi.

[12,4] Nie mam już o czym ci pisać, zresztą piszę ten list całkiem, dalibóg, wytracony z równowagi. Odszedł z tego świata mój lektor Sozyteus, przemiły chłopiec, a jego śmierć przejęła mnie bardziej, niż śmierć niewolnika powinna.

Proszę, pisz do mnie często. Jeśli nie będzie o czym, pisz, co ci przyjdzie do głowy.

W kalendy styczniowe [1 stycznia], za konsulów Marka Messalli i Marka Pizona

13 (1,13)

[Rzym, 25 stycznia 61 r.]

[13,1] Otrzymałem już trzy twoje listy: jeden za pośrednictwem Marka Korneliusza (przypuszczam, że dałeś mu go w Trzech Karczmach), drugi przekazał mi twój gospodarz z Kanuzjum, trzeci, jak piszesz, oddałeś ze statku, gdy zwolniono cumy, a wszystkie nie tylko – jak to mówią uczniowie retorów – skrzą się dowcipem, lecz i wyróżniają oznakami przyjaźni i przywiązania. Zmusiłeś mnie tymi listami do pisania odpowiedzi, ale dlatego się z tym nie kwapilem, że nie mogę znaleźć zaufanego kuriera.

Bo iluż jest takich, którzy potrafią dostarczyć list, co ma choć trochę więcej wagi, nie ulżywszy sobie jego przeczytaniem? W dodatku przecież nie do ciebie akurat jedzie każdy, kto się udaje do Epiru. Wyobrażam sobie zresztą, że złożysz ofiary w swojej grocie Amaltei i zaraz ruszysz oblegać Sykion, choć tak naprawdę nawet co do tego nie mam pewności, kiedy się wybierasz do Antoniusza i jak długo pozostaniesz w Epirze. Nie mam więc odwagi powierzyć nieco swobodnie napisanego listu ani Achajczykom, ani Epirotom.

[13,2] Doszło zaś po twoim odjeździe do zdarzeń, które zasługują, bym je opisał, listu wszakże nie mogę wystawić na ryzyko zaginięcia, otwarcia czy też tego, że wpadnie w niepowołane ręce. Na początku donoszę ci zatem, że to nie mnie udzielono głosu jako pierwszemu, ale przedłożono nad moją osobę tego poskromiciela Allobrogów; senat szemrał z niezadowolenia, ale mnie to nie przeszkadza. Uwolniłem się bowiem od konieczności okazywania temu przewrotnemu człowiekowi względów i mam pełną swobodę w utrzymaniu swojej pozycji w państwie na przekór jego woli. Zresztą to drugie miejsce cieszy się takim bez mała poważaniem i takie ma znaczenie jak pierwsze, jednocześnie zaś nie krępuje woli wyświadczone przez konsula dobrodziejstwo. Trzeci jest Katulus, czwarty, jeśliś i tego ciekaw, Hortensjusz.

Sam konsul to człowiek ciasnego umysłu, małoduszny a przewrotny, błazen owego irytującego rodzaju, co to budzi śmiech, nie mówiąc nic śmiesznego, bo twarz ma zabawniejszą od własnych żartów. Nie zajmuje się w ogóle sprawami państwa, stroni od najlepszych obywateli, nie sposób się spodziewać po nim niczego dobrego dla rzeczypospolitej, bo nie ma w nim woli, by uczynić coś dobrego, ani też niczego złego, bo nie ma on odwagi, by wyrządzić zło. Natomiast jego kolega i mnie traktuje z największym szacunkiem, i jest obrońcą dobrej strony.

[13,3] Tymczasem tylko nieznacznie różnią się zapatrywaniem, obawiam się jednak, że zakażenie, które już się wdało, będzie postępować.

Pewnie słyszałeś, że w domu Cezara podczas składania ofiar za pomyślność ludu zjawił się mężczyzna w kobiecym stroju i że dopiero, kiedy westalki ponownie złożyły ofiarę, wspomniał o tym w senacie Kwintus Kornifcjusz (on był pierwszy – nie sądzę przypadkiem, że zrobił to któryś z nas); potem na mocy uchwały senatu oddano sprawę westalkom i pontyfikom, którzy uznali, że dopuszczono się świętokradztwa; następnie uchwałą senatu konsulowie zgłosili wniosek ustawodawczy; Cezar zawiadomił żonę o rozwodzie.

Teraz Pizon, z przyjaźni dla Publiusza Klodiusza, dwoi się i troi, by odrzucono wniosek wniesiony przez niego samego, i to na mocy uchwały senatu oraz w sprawie dotyczącej religii. Messalla jak dotąd okazuje zdecydowanie i surowość. Ludzie dobry przestają zajmować się sprawą pod wpływem próśb Klodiusza, który tymczasem zbiera sobie pachółków. Ja sam, choć na początku byłem jak Likurg, z dnia na dzień tagodnieję. Jeden Katon ponagla i naciska. Co tu wiele mówić! Obawiam się, by ta sprawa, zaniechana przez ludzi dobrych, wsparta zaś przez łajdaków, nie okazała się dla rzeczypospolitej przyczyną wielkich nieszczęść.

[13,4] Ten twój przyjaciel [Gnejusz Pompejusz] – wiesz, kogo mam na myśli: pisałeś mi, że począł mnie chwalić, nie wając się dalej ganić – pokazuje, że jest mi wielce przychylny, okazuje względy, miłuje, publicznie wychwala, a w głębi duszy – ale tak, że nie sposób tego nie dostrzec – nienawidzi. Ani cienia w nim życzliwości, ani odrobiny prostoty, w sprawach państwowych żadna z niego znakomitość, nic w nim uczciwego, żadnej odwagi, żadnej niezależności. Ale o tym napiszę ci w szczegółach kiedy indziej, bo są rzeczy, o których jeszcze niewiele wiem, no i nie ośmielę się oddać listu traktującego o takich sprawach pierwszemu lepszemu człeczynie.

[13,5] Pretorzy jeszcze nie wylosowali prowincji. Sprawy tkwią w tym samym miejscu, w którym były, kiedyś wyjeżdżał. Włączę do swej mowy – jak prosisz –opis Mizenum i Puteolów. Już przedtem spostrzegłem, że data

„III dnia przed nonami grudniowymi” [3 grudnia] jest błędna. Wierz mi, że te miejsca w mowach, które chwalisz, i mnie się bardzo podobały, lecz nie śmiałem powiedzieć tego wcześniej, ale teraz, kiedyś ty je pochwalił, wydają mi się jeszcze bardziej attyckie [Ἀττικώτερα [Attikótera]. Coś tam dodałem do mowy przeciw Metellusowi. Poślę ci egzemplarz, skoro z przyjaźni do mnie stałeś się miłośnikiem wymowy.

[...]

VI dnia przed kalendami lutowymi [25 stycznia], za konsulów Marka Messalli i Marka Pizona

16 (1,16)

[Rzym, koniec czerwca lub początek lipca 61 r.]

[16,1] Pytasz mnie o proces – cóż to się stało, że wydano wyrok wbrew powszechnemu oczekiwaniu, i chcesz się dowiedzieć, dlaczego byłem mniej waleczny niż zwykle. Odpowiem ci na modłę Homera: zaczynając od końca.

Otóż jak długo przyszło mi bronić powagi senatu, walczyłem tak zażarcie i z taką mocą, że zbiegały się wokół mnie tłumy, wznosząc okrzyki uznania i pochwały. Jeśli uważałeś kiedykolwiek, że stać mnie na odwagę w sprawach rzeczypospolitej, to w tych okolicznościach z pewnością byłbyś pełen podziwu. Bo gdy tamten zaczął zwoływać ludzi i używając mojego imienia, zagrzewać ich do nienawiści – o, bogowie nieśmiertelni, jakie ja bitwy stoczyłem, jaką rzeź zgłotowałem! Jaki szturm przypuściłem na Pizona, na Kuriona, na całą tę bandę! Jak tępiłem brak rozważy u starców i rozpasanie u młodych!

Często – klnę się na bogów! – pragnąłem, abys był przy mnie i jako doradca w mych zamierzeniach, i jako świadek tych niezwykłych potyczek.

[16,2] Ale kiedy Hortensjusz wpadł na pomysł, żeby trybun plebejski Fufiusz zgłosił ustawę o świętokradztwie, która od wniosku konsularnego nie różniła się niczym, jak tylko wyborem sędziów (a od tego wszystko zależało), i wywalczył, że stało się tak, jak chciał, bo i siebie, i innych przekonał, że tamten nie uniknie kary bez względu na to, kto będzie go sądził, zwinąłem żagle, przewidując marnych sędziów, a kiedy składałem zeznanie, o tym jedynie powiedziałem, co było powszechnie znane i dowiedzione, tak że pominąć tego nie mogłem.

Jeśli więc pytasz mnie o przyczynę niewinnienia – by wrócić do pierwszego pytania – to była nią bieda sędziów oraz ich łajdactwo. A stało się to za sprawą pomysłu Hortensjusza. On bowiem, lękając się, że Fufiusz wystąpi przeciwko wnioskowi zgłoszonemu na mocy uchwały senatu, nie dostrzegł, że lepiej pozostawić tamtego w niesławie i brudzie hańby, niż oddać go niepewnemu sądowi. Wiedziony nienawiścią, czym prędzej przekazał sprawę pod sąd, w przekonaniu, że wystarczy, jak mówił, otowiany miecz, by tamtego pozbawić życia.

[16,3] A jeśli pytasz, jaki był to proces, powiem, że taki, w którego zakończenie trudno uwierzyć, tak że teraz, po zapadnięciu wyroku, inni – bo ja robiłem to od samego początku – krytykują pomysł Hortensjusza. Odrzucanie sędziów odbywało się wśród głośnych krzyków, jako że oskarżyciel, niczym dobry cenzor, odrzucał największych łajdaków, oskarżony zaś, jak litościwy właściciel gladiatorów, oddzielał co uczciwszych, więc gdy tylko sędziowie zajęli miejsca, ludzie dobrych zaczęło ogarniać zwątpienie. Bo nawet na przebierankach w sukienki do kostek nie zjawiła się nigdy gorsza kompania: okryci hańbą senatorowie, golusieńcy ekwici, trybuni [skarbowi], ale z pustką w skarbcu, godni więc raczej miana, jak to się mówi, „skarbowych ludzi”. Było jednak kilku ludzi dobrych, tamten nie zdołał się ich pozbyć podczas odrzucania; smutni i strapieni siedzieli między tymi, od których tak się różnili, pełni niepokoju, czy nie zarażą się hańbą.

[16,4] Gdy podczas wstępnych czynności przedstawiano i badano każdą rzecz, ujawniała się zadziwiająca surowość i nie było żadnej różnicy zdań. Oskarżony niczego nie mógł uzyskać, oskarżyciel dostawał więcej, niż żądał. I co jeszcze? Hortensjusz triumfował – przecież on to wszystko przewidział; nie było nikogo, kto nie sądziłby, że oskarżony został już skazany, i to po tysiąckroć. Pewnie słyszałeś o tym, jak na krzyk stronników Klodiusza – kiedy zostałem wprowadzony jako świadek – sędziowie powstali, by mnie otoczyć i w obronie mej głowy nadstawić Publiuszowi Klodiuszowi własnych karków. Wydało mi się to większym zaszczytem, niż kiedy twoi obywatele nie zgodzili się odebrać przysięgi od składającego zeznanie Ksenokratesa albo gdy nasi sędziowie nie chcieli spojrzeć na obnoszone zgodnie ze zwyczajem księgi rachunkowe Metellusa Numidyjskiego – to, co mnie się zdarzyło, za większy, powiadam, uznaję zaszczyt.

[16,5] I tak słowa sędziów, gdy bronili mnie jako tego, co dla ojczyzny był ocaleniem, złamały oskarżonego, a wraz z nim upadli na duchu wszyscy jego patroni. Nazajutrz zebrał się u mnie tłum tak liczny, jak ten, co odprowadzał mnie do domu, gdy składałem konsulat. Przesławni arepagici zaczęli krzyczeć, że się nie biorą, jeśli nie otrzymają straży. Rzecz idzie pod obrady. Jeden tylko głos był przeciw przyznaniu straży. Sprawa staje na posiedzeniu senatu. Ten wydaje postanowienie ze wszech miar poważne i piękne: chwali sędziów, urzędnikom wyznacza zadanie. Nikt nie myślał, że ten człowiek postanowi odpowiedzieć.

*Teraz powiedzcie mi, Muzy... jak to wpierw płomień ogarnął...*¹

¹ Homer, (Il. 16,112–113), tłum. K. Jeżewska:

*Teraz powiedzcie mi, Muzy, mieszkanki śnieżnego Olimpu,
jak to wpierw płomień ogarnął gładkie okręty Achajów.*

Wiesz, kto to Łysy [Marek Licyniusz Krassus], ten od nannejańskich interesów, ów chwalcą mojej osoby, pi-
sałem ci kiedyś o jego przemowie nader dla mnie szaczonej. W ciągu dwóch dni przy pomocy jednego niewolnika,
i to byłego gladiatora, załatwił całą sprawę: wezwał do siebie, obiecał, zapewnił, dał. Oprócz tego – o bogowie,
to dopiero hańba! – niektórzy sędziowie otrzymali dodatek do zapłaty: noce z pewnymi kobietami albo schadзки
z młodzieńcami z najlepszych domów. A jednak, choć ludzie dobrzy całkiem się wycofali, choć forum wypełnili
po brzegi niewolnicy, znalazło się dwudziestu pięciu sędziów tak dzielnych, że w obliczu największego niebezpie-
czeństwa woleli choćby i zginąć, niż wszystko doprowadzić do zguby. Ale trzydziestu jeden było raczej głodnych
chleba niż dobrej sławy. Katulus, kiedy spotkał któregoś z nich, zapytał:

[16,6] „I po coście się domagali od nas straży? Strach was obleciał, że wyrwą wam pieniądze?”. Wiesz już zatem,
w największym skrócie, jaki był to proces i dlaczego zakończył się niewinnieniem.

Pytasz mnie dalej, jak się teraz mają sprawy państwa i moje własne. Otóż wiedz, że ten porządek w rzeczy-
pospolitej, któryś ty uważał za utwierdzony dzięki mojej rozważnej postawie, ja – za utwierdzony dzięki boskiej
opatrności, który trwałe, jak się wydawało, ugruntowała jedność wszystkich ludzi dobrych i powaga mego
konsulatu, wysłizgnał nam się z rąk – chyba że jakiś bóg spojrzy na nas łaskawie – za sprawą tego jednego sądu, jeśli
sądem nazywać to, że trzydziestu największych w całym ludzie rzymskim łajdaków i drani bierze pieniądze i gwałci
wszystko, co sprawiedliwe i święte; że taki Talna, Plautus czy Spongia, albo inne tego rodzaju odpadki, orzekają,
że nigdy nie zdarzyło się to, o czym, że się zdarzyło, wiedzą nie tylko ludzie, ale i nieme bydłeta.

[16,7] Co się tyczy spraw rzeczypospolitej, powiem ci jednak na pociechę, że nie raduje się zło zwycięstwem
tak ochoczo, jak oczekiwali ludzie podli, zadając rzeczypospolitej tę ciężką ranę. Bo wyobrażali sobie, że gdy upadnie
religia, moralność, uczciwość sądów, autorytet senatu, wówczas zwycięska niegodziwość i rozpasanie wezmą na
najlepszych jawny odwet za cierpienie, jakiego wszystkim nikczemnikom przysporzyła surowość mego konsulatu.

[16,8] I znów ja – a nie wydaje mi się, że chwalam siebie ponad miarę, mówiąc o sobie do ciebie, i to
w liście, który niechaj innym nie będzie czytany – powiadam więc, to znowu ja podźwignąłem ludzi dobrych,
upadłych już na duchu, każdemu po kolei dodając sił i otuchy. Prześladowując zaś sprzedajnych sędziów i nie dając
im spokoju, nie dopuściłem do głosu tych wszystkich, którzy cieszyli się z tego zwycięstwa i sprzyjali mu: konsula
Pizona pozbawiłem wszystkiego, nawet Syrii, którą ten człowiek miał już obiecaną; senat przywołałem do dawnej
surowości i w poniżonych obudziłem ducha; Klodiusza zgniotłem w senacie, i to pod jego obecność, w pełnej powagi
dłuższej mowie i w późniejszej wymianie zdań, mniej więcej takiej [jak zaraz się przekonasz] (tego i owego możesz
z niej skosztować; inne jej partie nie będą miały ani tej siły, ani tego czaru, gdy zniknie owo zapamiętanie się w spo-
rze, przez was nazywane agonem.

[16,9] Gdy bowiem w idy majowe [15 maja] zebraliśmy się w senacie i gdy zapytano mnie o zdanie, sporo
mówiłem o sprawach najwyższej wagi dla rzeczypospolitej i jakby z bożego natchnienia zacząłem mówić, że sena-
torowie od jednego ciosu nie powinni upadać, nie powinni słabnąć; że rana jest tego rodzaju, iż – jak sądzę – ani
jej ukrywać nie należy, ani się lękać, byśmy jako ci, którzy o niej nie wiedzieli, nie zostali uznani za skończonych
głupców, a jako ci, którzy się jej przestraszyli, za najpodlejszych tchórzy; że dwa razy uwolniono Lentulusa, dwa razy
Katylinę, ten zaś człowiek jest trzecim, którego sędziowie wypuścili na rzeczpospolitą.

– Mylisz się, Klodiuszu. Nie dla Miasta zachowali cię sędziowie, ale dla więzienia, i nie chcieli zatrzymać cię
w państwie, ale zabrać prawo do pójścia na wygnanie. Nabierzcie więc ducha, senatorowie, zachowajcie godność.
Trwa jeszcze w rzeczypospolitej zgoda ludzi dobrych; natężył się ból dobrych, nie zmalało męstwo; nie ponieśliśmy
żadnej nowej szkody, lecz tylko dawna wyszła na jaw. Sąd nad jednym nikczemnikiem ujawnił wielu jemu podobnych.

[16,10] I co ja czynię? Umieściłem w liście prawie całą mowę. Wracam do wymiany zdań. Wstaje ładniutki²
chłopaczek, zarzuca mi, że byłem w Bajach. To kłamstwo, ale co tam.

– No cóż? – powiadam. – Mówisz tak, jakbym przebywał w jakimś zakazanym miejscu.

– A co wieśniakowi z Arpinum³ po gorących źródłach? – on na to.

– Powiedz – mówię – co po nich twojemu patronowi, który zapragnął źródeł wieśniaka z Arpinum! (Znasz te
źdroje Mariusza).

– Jak długo jeszcze będziemy znosić tego króla? – pyta.

– Mówisz „król” – odpowiadam – choć ciebie Król⁴ w ogóle nie wymienił?

A on już pożerał w marzeniach spadek po Królu.

– Dom – rzuca – kupiłeś.

Ja na to:

– Można by pomyśleć, że mówisz: „Sędziów kupiłeś!”.

On:

– Nie uwierzyli ci, choć składałeś przysięgę.

² Przydomek Publiusza Klodiusza brzmiał: *Pulcher* (Piękny), tu i w innych listach Ciceron używa zdrobniałej formy *pulchellus* (piękniutki, piękniś).

³ Prowincjonalne Arpinum to miejsce urodzenia Cicerona, a także Gajusza Mariusza, dyktatora, o którym Ciceron wspomina dalej.

⁴ Klodiusz liczył na spadek po szwagrze, Kwintusie Marcjuszu, noszącym przydomek Rex („Król”).

A ja:

– Mnie dało wiarę dwudziestu pięciu sędziów, tobie trzydziestu jeden nie dało, skoro musieli najpierw wziąć
pieniądzke!

Dotknięty do żywego wrzawą, jak się wtedy rozległa, zamilkł i się poddał.

[16,11] Moja sytuacja tak się teraz przedstawia: pozycja, którą mam u ludzi dobrych, jest taka,
w jakiej mnie zostawiłeś; u szumowin i wszelkiej hołoty tego miasta – znacznie lepsza od tej, w ja-
kiej mnie zostawiłeś. Nawet to mi nie przeszkadza, że na pozór moje zeznanie nie miało większej wagi.
Upuszczono krwi nienawiści do mnie, ale nie czyniąc mi bólu, a jeszcze korzystniejsze jest to, że wszy-
scy orędownicy tego haniebnego czynu przyznają, iż ów jawny występek został okupiony u sędziów. Do-
dać jeszcze trzeba, że ta pijawka, co nie rusza się ze zgromadzeń i wysysa skarb publiczny, ten ludek ża-
łosny i wygłodniały, sądzi, że mam u Wielkiego⁵ wyjątkowe względy. I rzeczywiście, spotykamy się często
i z przyjemnością, tak że ci nasi spiskowcy znad kielicha, ci smarkacze z bródkami nazywają go między sobą
Gnejuszem Ciceronem. A na igrzyskach i pokazach gladiatorских urządzano mi nadzwyczajne owacje, bez
żadnych gwizdów pastuszej fujarki.

[16,12] Teraz wszyscy czekają na wybory. Wbrew życzeniom ogółu nasz Wielki pcha tu syna Aulusa, ani
własnym autorytetem nie walcząc w jego sprawie, ani popularnością, lecz tym orężem, o którym Filip powia-
dał, że zdobędzie każdą warownię, byleby mógł wejść do niej osiołek objuczony złotem. Ponoć ten drugorzęd-
ny aktorzyna, konsul, wziął na siebie to zadanie i trzyma w domu agentów, którzy mają płacić. Ja osobiście w to
nie wierzę, ale senat przyjął już dwie uchwały, co się bardzo nie podobają, bo panuje przekonanie, że powzięto
je przeciw konsulowi – wnioskowali Katon i Domicjusz; jedna mówi, że wolno przeszukiwać dom urzędnika,
druga, że trzymanie w domu agentów jest działaniem przeciw rzeczypospolitej.

[...]

18 (1,18)

[Rzym, 20 stycznia 60 r.]

[18,1] Musisz wiedzieć, że niczego tak bardzo mi teraz nie brakuje, jak człowieka, z którym mógłbym podzie-
lić się wszystkim, co napawa mnie troską; który by mnie kochał, był mądry; z którym rozmawiałbym bez kłamstwa,
bez udawania, bez tajemnic. Nie ma tu mego brata, tak prostolinijnego i tak bardzo mnie kochającego, Metellus
zaś to nie człowiek, lecz „głuchy brzeg i powietrze, i pustka bezmierna”. A ty, któryś rozmową i radą tylekroć kołł
moje troski i niepokój duszy, któryś był mi wsparciem w życiu publicznym i najzaufańszym przyjacielem w życiu pry-
watnym, któryś miał udział we wszystkim, co mówiłem i co zamyślam, gdzie ty jesteś? Czuję się tak osamotniony,
że jedyne wytchnienie to czas spędzany z żoną, córeczką i najśłodszym małym Ciceronem.

Bo te moje polityczne, farbowane przyjaźnie błyszczą na forum, w domu nie ma z nich żadnego pożytku.
Gdy więc rano mój dom roi się od ludzi, gdy idę na forum otoczony gromadą przyjaciół, nie znajduję w tym wielkim
tłumie nikogo, z kim mógłbym swobodnie pożartować lub szczerze powzdychać. Dlatego ciebie wyczekuję, ciebie
potrzebuję, ciebie przyzywam. Tak wiele spraw niepokoi mnie i udręcza, ale gdybyś tylko chciał nakłonić do nich
ucho, wyrzuciłbym je z siebie, myślę, w rozmowie podczas jednej przechadzki.

[18,2] Tymczasem jednak domowe troski, co mnie bolą i gryzą, przemilczę, bo nie chcę ich powierzać temu
listowi i posłańcowi, którego nie znam. Zresztą – tylko się nie martw – nie są one nadzwyczaj ciężkie, ale siedzą
we mnie głęboko i gniołą, a nie koi ich rozmowa czy rada przyjaciela, którego tu nie ma. Co do rzeczypospolitej,
to choć nie brakuje mi ducha, samo lekarstwo wciąż nową zadaje ranę. Wystarczy, że przedstawiłbym ci pokrótce,
co się działo po twoim odejździe, a zakrzyknąłbyś, że państwo rzymskie dłużej istnieć już nie może. Zaraz po tym,
jak wyjechałeś, rozegrała się – na początek – komedia Klodiańska; ja, znajdując w niej szansę ukrócenia, jak mi się
zdawało, rozwiążłości i wzięcia w karby młodzieży, zagrałem na wysoką nutę, włożywszy w to wszystkie siły ducha
i umysłu, ale nie kierowała mną nienawiść do kogokolwiek, lecz nadzieja, i nie na poprawienie, lecz uzdrowienie
społeczeństwa.

[18,3] Cios zadał rzeczypospolitej sąd, który dał się kupić i zhańbić. Zobacz, co nastąpiło potem. Narzucono
nam konsula, na którego tylko my, filozofowie, możemy patrzeć, nie wzdychając. Co za klęska! Po tym, jak senat
wydał uchwałę o przekupstwie wyborczym i o sądach, nie wniesiono już żadnej innej; senat jest prześladowany,
odwrócili się od niego ekwici, gdy uchwalono, że „sędziowie, którzy za wydanie wyroku...”. I tak rok ten zwałił dwie
podpory rzeczypospolitej, które ja jeden postawiłem: zniszczył autorytet senatu i rozerwał zgodę stanów. Oto
nastał drugi wyjątkowy rok. Zaczął się od tego, że nie mogły się odbyć doroczne obrzędy ku czci bogini Juwenty,
gdyż w obrzędy własne Memmiusz wtajemniczył żonę Marka Lukullusa. Żle to zniósł Menelaos i się rozwiódł. Ale
podczas gdy ów pasterz idajski tylko Menelaosa obraził, nasz Parys i z Menelaosem, i z Agamemnonem obszedł się
jak z niewolnikami.

⁵ Przydomek Gnejusza Pompejusza (łac. *Magnus*).

[18,4] [...] Tymczasem nie sposób tu znaleźć choćby cienia prawdziwego polityka. Ten, co mógłby nim być, mój przyjaciel Pompejusz – tak właśnie jest i chcę, abyś to wiedział – woli patrzeć w milczeniu na swą haftowaną togusię. Z ust Krassusa nie padnie ani jedno słowo, które mogłoby umniejszyć jego wziętość. Pozostałych już znasz: są tak głupi, że chyba wyobrażają sobie, iż po upadku Rzeczypospolitej zachowają swoje sadzawki z rybami.

[18,7] Jedynym człowiekiem, któremu na czymś zależy, jest Katon, przy czym wynika to, sądzę, raczej ze stałości i nieskazitelności jego charakteru aniżeli z namysłu czy inteligencji; już trzeci miesiąc męczy nieszczęsnych publikanów, którzy tak bardzo byli mu oddani, i nie pozwala senatowi udzielić im odpowiedzi. Nie możemy zatem podejmować decyzji w innych sprawach, dopóki nie odpowie się publikanom. Z tego powodu, jak przypuszczam, nawet poselstwa nie zostaną przyjęte.

[18,8] Widzisz teraz, jak wzburzone są fale, które nami miotają. Jeśli więc w tym, co napisałem tak obszernie, dostrzegasz również to, czegom nie napisał, przyjedź do mnie wreszcie. A choć raczej należy uciekać stąd, dokąd cię wzywam, uznaj, że uczucia, jakie mam dla ciebie, cenisz tak bardzo, iż mimo tych wszystkich nieprzyjemnych okoliczności chcesz tu przyjechać. [Bo jeśli chodzi o cenzus], to postaram się wszędzie ogłosić, że przyjeżdżasz, żeby wpisano cię pod twoją nieobecność; zapisać się tuż przed składaniem ofiary to rzecz na miarę prawdziwego człowieka interesu. Postaraj się więc, bym jak najprędzej cię zobaczył.

XI dnia przed kalendami lutowymi [20 stycznia], za konsulów Kwintusa Metellusa i Lucjusza Afraniusza

26 (2,6)

[Ancjum, wkrótce po poprzednim liście (25 = 2,5), tj. w kwietniu 59 r.]

[26,1] Obiecałem ci w poprzednim liście, że podczas tej podróży powstanie jakieś dzieło, ale że naprawdę powstaje, już nie potwierdzam; błogie lenistwo owładnęło mną tak bardzo, że wyrwać się z tego stanu nie potrafię. Rozkoszuję się książkami, których mam w Ancjum pod dostatkiem, albo liczę fale (bo na łowienie ryb pora zgoła nieodpowiednia); umysł mój wzdraga się na samą myśl o pisaniu.

Geografia, co to ją sobie zaplanowałem, to olbrzymie dzieło. Eratostenesa, który miał być dla mnie wzorem, krytykują Serapion i Hipparch. A co jeśli dołączy do nich jeszcze Tyrannion? To są rzeczy naprawdę trudne do wyłożenia i monotonne. Wbrew temu, co mi się zdawało, nijak się nie da ich przyozdobić. Ale głównie chodzi o to, że każdy powód jest dobry, by nie brać się do pracy. I w ogóle zastanawiam się, czy nie osiąść w Ancjum i nie spędzić tu życia, bo bardziej niż przebywać w Rzymie, wolałbym tutaj być duumwirem.

[26,2] Byłeś mądrzejszy ode mnie, urządzając sobie dom w Buthrotum, ale wierz mi, to miasto Ancjatów bardzo przypomina tamto miasteczko. Naprawdę niedaleko Rzymu znajduje się miejsce, gdzie jest wielu takich, co to nie widzieli na oczy Watyniusza; gdzie tylko ja myślę, żeby nikomu spośród członków komisji dwudziestu włos nie spadł z głowy; gdzie nikt ode mnie nic nie chce, a wszyscy mnie kochają! Tutaj, i tylko tutaj, należy brać udział w polityce. Bo tam nie dość, że nie wolno, to jeszcze napełnia to wstrętem. Napiszę więc Utwory niewydane, w stylu Teopompa, albo jeszcze ostrzejsze, które tobie jednemu odczytam. I całe moje politykowanie to teraz nienawiść do fajdaków, ale niezaprawiona goryczą, za to dająca pewną przyjemność z pisania o nich.

Wracając do rzeczy. Napisałem do kwestorów miejskich w sprawie mego brata Kwintusa. Przekonaj się, co mówią i czy jest jakaś nadzieja na denary, czy też zostaliśmy skazani na cystofory Pompejusza. Poza tym zdecyduj, co robić z murem. Coś jeszcze? Tak: zawiadam mnie, kiedy zamierzasz stamtąd wyjeżdżać.

29 (2,9)

[Ancjum, 16 lub 17 kwietnia 59 r.]

[29,1] [...] Jeżeli umowa dotycząca mojej osoby nie zostanie dotrzymana, będę się czuł jak w niebie, bo nasz jerozolimski organizator [Gnejusz Pompejusz] przenosin do ludu zrozumie, jak pięknie mi się odwdzieczył za te moje wykwintne do obrzydliwości przemowy. Ich odwołanie będzie boską robotą, możesz na to liczyć. Istotnie – o ile mogę wróżyć z domysłów – jeśli ten łobuz pozostanie w łaskach u naszych jedynowładnych panów, nie będzie mógł zagrozić ani „byłemu konsulowi, co niczym pies ujada i kąsa”, ani tym „trytonom z głębin sadzawek”. Bo przecież pozbawiony środków, bez władzy i pozycji w senacie, w kim zdołam obudzić nienawiść? A jeżeli się z nimi poróżni, atakowanie mnie nie będzie miało sensu. Zresztą niech tam sobie atakuje.

Ten obrót w Rzeczypospolitej dokonał się doprawdy gładko i z mniejszym hałasem, niżbym przypuszczał, i znacznie szybciej, niż to się mogło stać. To wina Katona, ale i tych fajdaków, którzy zlekceważyli auspicja i zlekceważyli prawa: prawo Eliusza, prawo Juniusza i Licyniusza, prawo Cecyliusza i Dydiusza. Pozbyli się wszystkich leków mogących uzdrowić Rzeczpospolitą, tetrarchom rozdali królestwa jak latyfundia, a paru ludziom – góry pieniędzy.

[29,2] Już widzę, dokąd zmierza zawiść i gdzie zamieszka. Masz prawo uznać, że ani doświadczenie niczego mnie nie nauczyło, ani Teofrast, jeśli nie zobaczysz wkrótce, że ludzie tęsknią za moimi czasami. Bo jeżeli do niedawna władza senatu była znienawidzona, to jak myślisz, co nastąpi teraz, skoro przypadła nie ludowi, lecz trzem osobnikom, którzy w niczym nie znają miary? Niech więc mianują, kogo chcą, konsulami i trybunami plebejskimi, niech w podwójnie barwioną kapłańską szatę przystroją choćby i wole Watyniusza; niedługo zobaczysz, że znów się będzie wynosić i tych, co się nigdy nie zachwiali, i nawet tego, który zbłądził – Katona.

[29,3] Ja sam, o ile twój koleżka Publiusz mi pozwoli, zamierzam zabawić się w sofistę; wtedy tylko będę się bronił, jeśli zostanie zmuszony, i wówczas, jak przystoi w tym fachu, *ogłoszę, że będę odpędzać człowieka, który mnie pierwszy napadnie*⁶.

Niechaj ojczyzna będzie mi życzliwa. Otrzymała ode mnie, jeśli nie więcej, niżli się jej należało, to z pewnością więcej, niż żądała. Wolę źle podróżować, kogo innego mając za sternika, aniżeli samemu dobrze sterować, wioząc tak niewdzięcznych pasażerów. Ale o tym lepiej rozmawiać, gdy się spotkamy.

[29,4] A teraz posłuchaj odpowiedzi na swoje pytania. Z Formianum zamierzam przyjechać do Ancjum V dnia przed nonami majowymi [3 maja], a w nony majowe [7 maja] wyjechać z Ancjum do Tuskulanum. Jak tylko wrócę z Formianum (chcę tam być aż do dnia poprzedzającego kalendy majowe [29 kwietnia]), zaraz cię zawiadomię. Terencja śle pozdrowienia, a mały Cyceron ściska Tytusa Ateńczyka.

34 (2,14)

[Formianum, ok. 26 kwietnia 59 r.]

[34,1] Coraz bardziej podsycasz moją ciekawość: chcę wiedzieć i o czym rozmawiał z tobą Bibulus, i co powiedziała Wolooka [Klodia], i co się działo na tej swawolnej uczcie. A więc przyjedź i nakarm moje złaknione uszy! Najbardziej, uważam, musimy się obawiać tego, że kiedy ów nasz Sampsysceramus⁷ przekona się, iż ludzie wzięli go na języki, i zobaczy, jak łatwo te jego przedsięwzięcia mogą upaść, zacznie działać bez zastanowienia. Ja sam się czuję wyczerpany do tego stopnia, że wolę żyć pod władzą tyrana⁸ i cieszyć się tym spokojem, w którym teraz gniję, niżli stawać do walki, żywiąc choćby i najlepsze nadzieje wygranej.

[34,2] Nieustannie zachęcasz mnie do pisania, ale nic się w tej sprawie nie dzieje. Mam tutaj bazylikę, w której aż się roi od Formiańczyków, a nie willę. Zresztą mniejsza o tłumy, bo po czwartej ci, co pozostaną, nie są już uciążliwi. Gajusz Arriusz, mój najbliższy sąsiad, co to jest już właściwie domownikiem, powiada, że nie jeździ do Rzymu, żeby po całych dniach tu sobie ze mną filozofować. A z drugiej strony czyha na mnie Sebozus, znajomy Katulusa. No i którego z nich mam wybrać? Wyjechałbym natychmiast do Arpinum, gdyby nie to, że chyba najdogodniej mi czekać na ciebie w Formianum, ale tylko do dnia poprzedzającego nony majowe [do 6 maja]. Bo sam widzisz, na jakich ludzi zostały skazane moje uszy. Oto wspaniała okazja – dopóki oni wszyscy u mnie siedzą – dla każdego, kto chciałby teraz nabyć moje formiańskie włości! Więc możesz sobie mówić: „Weźmy się do czegoś wielkiego, czegoś, co wymaga długich rozmyślań i niezmaconego spokoju”. A jednak uczynię zadość wezwaniom i nie będę szczędził trudu.

39 (2,19)

[Rzym, między 7 a 14 lipca 59 r.]

[...]

[39,3] Nastroje ludu najpełniej uwidoczniły się w teatrze i na widowiskach. Po tym, jak w czasie walk gladiatorskich wygwizdano i tego, kto je wydawał, i jego pomocników, na igrzyskach apollińskich aktor tragiczny Dyflus zuchwale zaatakował naszego Pompejusza: „Tyś wielki jest naszym nieszczęściem!” i tysiąc razy musiał te słowa powtórzyć. A gdy powiedział: „Czas przyjdzie, gdy nad swoim płakać będziesz męstwem” – krzyczał cały teatr, i tak samo było, kiedy mówił dalej. Jak gdyby jakiś wróg Pompejusza napisał te wiersze specjalnie na tę okazję – tak one brzmią. „Gdy powstrzymać nie może prawo ani zwyczaj” – te i pozostałe kwestie wypowiedziane zostały wśród wielkiego zgłębku i krzyków. Gdy wchodził Cezar, oklaski zamarły; tuż za nim pojawił się młody Kurion. Jemu klaskano tak, jak zwykle klaskano Pompejuszowi, gdy Rzeczpospolita była jeszcze bezpieczna. Ciężko zniósł to Cezar. Mówią, że zaraz polecił list do Kapui, do Pompejusza. Są wrogo usposobieni do ekwitów, którzy klaskali Kurionowi na stojąco; zresztą są nieprzyjaciółmi wszystkich. Grożą, że zniosą prawo Roscjusza, a nawet i ustawę zbożową. Naprawdę panuje wielki zamęt. Co do mnie, wolałbym, żeby to, co przedsięwzięli, działo się w ciszy, ale obawiam się, że to niemożliwe. Ludzie nie zniosą tego, co, jak się zdaje, znieść jednak trzeba. Wszyscy mówią już jednym głosem, lecz ten głos wsparty jest nienawiścią, a nie siłą.

[39,4] Nasz Publiusz grozi mi, zachowuje się wrogo. Łada chwila zacznie się sprawa, na którą oczywiście natychmiast przybędziesz. Chyba ta moja konsularna armia, złożona ze wszystkich ludzi *dobrych*, a także wystarczająco dobrych, wciąż jest bardzo silna. Pompejusz okazuje mi życzliwość bynajmniej nie umiarkowaną. Zapewnia, że tamten nie powie na mój temat ani słowa; nie oszukuje mnie w tym, ale sam jest oszukiwany. Po śmierci Koskoniusza zaproponowano mi jego miejsce. To było jak „wezwanie do zajęcia miejsca po zmarłym”. Zrobiłbym rzecz w oczach ludzi najobrzydliwszą pod słońcem i w najmniejszym stopniu służącą memu bezpieczeństwu. Tamtych bowiem nienawidzą ludzie *dobrzy*, mnie – fajdacy, zatem i zachowałbym nienawiść ku sobie, i jeszcze wziął na siebie cudzą.

⁶ Homer, *Illiada*, ks. 24, w. 369, tłum. K. Jeżewskiej ze zmianą dostosowującą.

⁷ Cyceron nazywa Pompejusza imieniem klienckiego władcy Sampsyscerama I z Emesy.

⁸ Tj. triumwirów.

[39,5] Cezar chce, żebym został przy nim legatem. To przywoitszy sposób uniknięcia niebezpieczeństwa, ale ja się od tego nie uchylam. O co więc mi chodzi? Wolę stanąć do walki. Ale nic jeszcze nie jest przesądzone. I znów wzdycham: „Gdybyś tu był!”. Wezwę cię wszakże, jeśli okaże się to konieczne.

Co jeszcze? Co? Otóż jestem pewien, że wszystko przepadło. Po co to dłużej udawać, że tak nie jest?

Pisałem ten list w pośpiechu i – rzeczywiście – nie bez obaw. Kiedyś – albo jak będę miał pośląca, któremu w pełni można zaufać – napiszę ci o tym wszystkim obszerniej, ale nawet jeśli piszę niezbyt jasno, ty przecież zrozumiesz. W tych listach siebie będę nazywał Leliuszem, ciebie – Furiuszem; reszta to będą zagadki.

Do Cecyliusza odnoszę się z największym uszanowaniem i troską. Słyszę, że poślano ci edykty Bibulusa. To one napełniają naszego Pompejusza bólem i gniewem.

40 (2,20)

[Rzym, ok. połowy lipca 59 r.]

[40,1] Anikatowi – takie było, jak zrozumiałem, twoje życzenie – we wszystkim udzieliłem pomocy. Nume-stiusza, któregoś tak gorąco polecał mi w liście, jak najchętniej przyjąłem do grona przyjaciół. Nad Cecyliuszem pilnie czuвам i wspieram go, jak mogę. Jestem całkiem zadowolony ze stosunków z Warronem. Pompejusz darzy mnie czułą przyjaźnią. „Wierzysz mu?” – zapytasz. Wierzę; przekonuje mnie, bo pragnę się czuć przekonany. Ludzie znający się na życiu we wszystkich swoich opowieściach, pouczeniach, nawet w wierszach nakazują mieć się na baczności, a zakazują pokładać ufność. Stosuję się do tej pierwszej zasady – bym miał się na baczności, do tej drugiej – bym nie miał zaufania – stosować się nie potrafię.

[40,2] Klodiusz nadal grozi mi niebezpieczeństwem. Pompejusz twierdzi, że żadnego niebezpieczeństwa nie ma, przysięga, że nie ma; dodaje nawet, że prędzej on sam zginie z ręki tamtego, niż mnie spotka jakaś krzywda. Układają się między sobą w tej sprawie. Napiszę ci, jak tylko pojawi się coś pewnego. Jeśli trzeba będzie walczyć, wezwę cię, byś mi w tym trudzie towarzyszył; jeśli dadzą mi spokój, nie będę odrywał cię od Amaltei⁹.

[40,3] O sytuacji w Rzeczypospolitej napiszę ci krótko, boję się już bowiem, ażeby sam papirus nas nie zdradził. W przyszłości więc, gdybym miał napisać obszerniej, ukryję swoje myśli pod alegoriami. W tej chwili państwo umiera na jakąś nową chorobę: choć wszyscy potępiają to, co się dzieje, choć uskarżają się na to i nad tym ubolewają, choć myślał to samo, otwarcie rozmawiają i nawet głośno płaczą, nikt nie podaje żadnego lekarstwa. Bo uznajemy, że nie sposób się przeciwstawiać, nie ryzykując powszechnej rzezi, a jednocześnie rozumiemy, że kresem ustępstw musi być zagłada. [40,4] Ludzie, pełni podziwu i życzliwości, wynoszą Bibulusa pod niebiosą. Przepisuje się i czyta jego edykty oraz mowy wygłaszane na zgromadzeniach. W całkiem nowy sposób osiągnął nadzwyczajną sławę. Nic nie jest tak popularne jak nienawiść do popularów.

[40,5] Czy tu, czy tam to wszystko wybuchnie, ja jestem pełen obaw. Jak tylko zacznę rozumieć coś więcej, napiszę ci jaśniej.

A ty, jeśli jestem ci miły tak bardzo, jak w istocie jestem, zrób wszystko, byś tu zaraz był, kiedy cię zawołam; byś do mnie pośpieszył. Lecz się staram, i starać nie przestanę, by nie okazało się to konieczne. Pisałem, że będę stał listy do Furiusza, ale zmiana twojego imienia nie jest konieczna; siebie nazwę Leliuszem, a ciebie Attykiem, i nie użyję swego charakteru pisma ani pieczęci, jeśli list będzie tego rodzaju, że nie chciałbym, ażeby wpadł w obce ręce.

[40,6] Umarł Diodotus; zostawił mi około 100 000 sesterców. Bibulus godnym Archilocha edyktem przełożył wybory aż na xv dzień przed kalendami listopadowymi [18 października]. Wibiusz przekazał mi książki. Nieudolny z tego autora poeta i nic nie wie, ale jest z niego jakiś pożytek. Przepisuję i odsyłam.

41 (2,21)

[Rzym, po 25 lipca 59 r.]

[41,1] I co miałbym ci pisać o Rzeczypospolitej, w jakie wchodzić szczegóły?! Ona już całkiem umarła; a przez to godniejsza jest pożatowania niż wtedy, kiedyś wyjeżdżał, że wówczas się zdawało, iż władza, w której uścisku znalazło się państwo, miła jest pospólstwu, a dla ludzi dobrych, choć trudna do zniesienia, nie jest zgubna. Tymczasem dzisiaj wszyscy powzięli nagle tak głęboką ku niej nienawiść, że lękam się, gdzie to wszystko wybuchnie. Bośmy poznali na własnej skórze gniew i nieopanowanie tych, co ze złości na Katona przywiedli państwo do zguby. Ale na początku zadawali trucizny niby tak łagodne, iż można było sądzić, że przynajmniej uda nam się zginąć bezbolesną śmiercią. Tymczasem teraz obawiam się, że gwizdy pospólstwa, pełne niezadowolenia rozmowy ludzi uczciwych, krzyk protestu, który słyszać w całej Italii, tylko rozpali w nich wściekłość.

[41,2] Co do mnie, to miałem nadzieję – o czym zresztą nie jeden raz ci mówiłem – że obrót w Rzeczypospolitej dokona się tak gładko, iż nawet go nie posłyszemy, nie dojrzymy śladu, jaki odcisnął. I tak by się właśnie stało, gdyby ludzie potrafili byli przeczekać, aż burza minie. Ale że najpierw długo wzdychali po kryjomu, to potem zaczęli się już żalić, a na koniec wszyscy mówili na głos i krzyczeli.

9 Chodzi o grotę Amaltei, znajdującą się w posiadłości Attyka w Buthrotum.

[41,3] Ów zaś nasz przyjaciel, co to nigdy nie okrył się niesławą, zawsze chodził w chwale i cześć zewsząd odbierał, dzisiaj – oszepecony na ciele, złamany na duchu, nie wie, w którą się zwrócić stronę. Widzi, że krok w przód to krok w przepaść, cofnięcie się – oznaka niestałości. Z ludzi dobrych zrobił sobie wrogów, z fajdaków nie zrobił przyjaciół. Ale zobacz, jak miękkie mam serce: nie mogłem powstrzymać łez, gdy przed dniem VIII do kalend sierpniowych [25 lipca] widziałem go, jak wypowiadał się na zgromadzeniu o edyktach Bibulusa. On, który w przeszłości stał zawsze na tym miejscu w pozie wyniośtej i wspaniałej, a lud odnosił się doń z miłością i wszyscy okazywali mu przychyłność, jakże był tamtego dnia pokorny, jak uniżony, jak bardzo się nie podobał nie tylko tym, co się tam zebrali, ale i sobie samemu!

[41,4] O, cóż to za widok, jednemu Krassusowi miły, i więcej nikomu! Bo sięgnął gwiazd, kiedy więc je opuścił, wyglądał jak ten, który spadł, a nie ten, który zszedł sam. Gdyby Apelles widział swoją Venus umazaną brudem albo Protogenes swego Jalizosa, uczuliby, myślę, wielki ból; i tak ja ujrzałem ku niemałej przykrości, że ten, którego malowałem, zdobiąc go wszystkimi barwami mej sztuki, nagle zeszeptniał. I choć z powodu sprawy Klodiusza nikt nie sądzi, że powinienem okazywać mu przyjaźń, moja sympatia była tak wielka, że nie mogła jej umniejszyć żadna krzywda. Te wymierzone w niego edykty Bibulusa, godne samego Archilocha, tak się podobają ludowi, że w miejscu, gdzie je wywieszają, nie sposób przejść z powodu tłumu czytających. Ale dla niego samego są tak przykre, że mar-niej z bolesti. I ja, dalibóg, znoszę je z przykrością: i dlatego, że przyczyniają zbyt wiele cierpienia komuś, wobec kogo zawsze miałem najlepsze uczucia, i dlatego, że się lękam, aby człowiek tak gwałtowny, tak skory do chwytania za oręż i tak nienawykły do znoszenia zniewag nie uległ całym swym porywczym sercem uczuciu rozgoryczenia i gniewu.

[41,5] Nie wiem, czym to się skończy dla Bibulusa. Na razie zażywa niebywałej chwały. Gdy przełożył komi-cja na październik, co zazwyczaj dzieje się wbrew woli ludu, Cezar myślał, że przemówi na zgromadzeniu i uda mu się podburzyć tłum, by poszedł pod dom Bibulusa. Ale choć mówił wiele i podjudzał, nie wycisnął z ludzi okrzyku aprobaty. Co tu wiele mówić! Oni czują, że się nie cieszą przychyłnością żadnej grupy. Tym więc bardziej trzeba się nam obawiać przemocy.

[41,6] Klodiusz zachowuje się wobec mnie wrogo. Pompejusz zapewnia, że nic on przeciw mnie nie uczyni, ale wierzyć w to jest niebezpiecznie. Przygotowuję się więc, by dać odpór. Mam nadzieję, że będą mnie wspierać najgorliwiej wszystkie stany. I ja bardzo cię potrzebuję, i sama sprawa wymaga, żebyś się stawił na czas. Jeśli zjawisz się w porę, będę miał pod dostatkiem pomysłów, odwagi, a wreszcie – obrony. Jestem całkiem zadowolony ze sto-sunków z Warronem. Pompejusz mówi wprost bosko. Mam nadzieję, że zejść z pola walki albo w pełnej chwale, albo przynajmniej bez przykrości.

Daj mi, proszę, znać, jak się miewasz, jak się bawisz i jak sobie poradziłeś z Sykiończykami.

43 (2,23)

[Rzym, sierpień (?) 59 r.]

[43,1] Chyba nigdy wcześniej nie czytałeś mojego listu, który został napisany nie moją ręką. Będziesz mógł stąd wywnioskować, jak straszliwie jestem zapracowany. Jako że nie miałem ani jednej wolnej chwili, a jednocześnie musiałem się przejść, by mój biedny głos odzyskał siłę, podyktowałem ten list podczas spaceru.

[43,2] Po pierwsze, chcę, żebyś wiedział, iż nasz przyjaciel Sampsyceramus [Gnejusz Pompejusz] gorzko jest rozczarowany swą obecną pozycją i pragnie wrócić na to miejsce, z którego spadł, nadto dzieli się ze mną swym smutkiem, a niekiedy otwarcie pyta o lekarstwo, choć tego moim zdaniem znaleźć nie sposób; następnie – że wszy-sczy założyciele i stronnicy tej grupy, i wszyscy jej sojusznicy słabną, choć nikt przeciw nim nie występuje, i że nigdy jeszcze wszyscy nie byli tak zgodni ze sobą w odczuciach, i w słowach.

[43,3] Ja (bo z pewnością tego właśnie pragniesz się dowiedzieć) nie uczestniczę w żadnych publicznych na-radach, oddając się całkowicie sprawom sądowym i robocie prawniczej. Dzięki temu, co łatwo pojąć, odżywa wokół mnie pamięć moich dokonań i odżywa się tęsknota za nimi. Ale ten osobnik jednej krwi z naszą Wolooką¹⁰ straszy mnie, i to nie na żarty, i rzuca groźby, wypierając się tego przed Sampsyceramem, a chełpiąc niepomiernie przed wszystkimi innymi. Dlatego, jeśli jestem ci miły tak bardzo, jak z pewnością jestem, wstań, jeżeli śpisz; zacznij iść, jeżeli stoisz; biegnij, jeśli idziesz; jeśli biegniesz, przybывaj jak na skrzydłach. Nie sposób wprost uwierzyć, ile nadziei pokładałam w twoich radach i roztropności, a także – nade wszystko – w twojej miłości i lojalności. Waga sprawy zasługuje być może na długą przemowę, ale to, co łączy nasze serca, zadowoli się krótkim listem. Naprawdę bardzo mi zależy, abys był w Rzymie – jeśli nie uda ci się zdążyć na wybory, to przynajmniej wtedy, kiedy tamten się pokaże.

Bądź zdrow!

10 Publiusz Klodiusz i jego siostra Klodia.

maleńka
uwierz mi
inne nie istnieją
nawet wtedy
gdy je widzisz

Wojciech Pyszczyk

ULICA
BRACKA

Już od 15 lat na murach
przy ul. Brackiej 2 w Krakowie
wyświetlany jest codziennie
jeden nowy wiersz po polsku
i po angielsku.
Aby złożyć swoją propozycję,
zarejestruj się na portalu
emultipoetry.eu

Anna Marchewka

Moc dobrych włosów

„Ten, kto włada marzeniami, włada światem. Ten, kto rządzi włosami, rządzi i kobietami. Ten, kto kieruje ich płodnością, kieruje również mężczyznami. Ten, kto zadowala kobiety, zadowala i mężczyzn; a ten, kto manipuluje ludźmi, którzy marzą o włosach i dzieciach, jest ich królem”, pisze Sofi Oksanen, autorka między innymi *Oczyszczenia* (*Puhdistus*, oryg. 2008, wyd. pol. 2010, przeł. S. Musielak) i *Gdy zniknęły gołębie* (*Kun kyyhkset katosivat*, oryg. 2012, wyd. pol. 2015, przeł. S. Musielak), w swojej najnowszej książce. *Norma* na początku może budzić nieufność, bo wydaje się dziwnie lżejsza niż poprzednie powieści Oksanen. Niby nie ma ku temu powodów, zaczyna się przecież mocno, od pogrzebu Anity, matki tytułowej Normy, a potem, jak w przepisie na dreszczowiec, dzieje się jeszcze więcej i straszniej. Oksanen wykorzystuje w *Normie* elementy literatury gatunkowej: po pierwsze budzi dreszcze, buduje atmosferę narastającej grozy niekończącego się pochodzenia, bo nie o samą mafię handlarzy włosami i dziećmi tutaj chodzi, czyli nie mamy do czynienia z powieścią sensacyjną czy kryminalną. To pierwsza z pułapek, nie od razu można zrozumieć, o jaką stawkę toczy się w tej powieści gra, a tym samym, że to, co postrzegamy jako elementy kultury popularnej czy masowej, bywa symptomami śmiertelnie poważnych zjawisk. Oksanen przygląda się współczesnym obyczajom i realiom, rejestruje z charakterystyczną ostrością porządek, a raczej nieporządek świata opartego na systemowej przemocy.

W *Normie* ta przemoc skierowana jest przeciw kobietom niewystarczająco dobrze sytuowanym: znajdującym się zbyt nisko na drabinie społecznej lub żyjącym w świecie uznawanym za nie ten pierwszy. Kobiety, które wpadają między koła przemocowej maszyny, są ledwo obiektami, funkcjonują tylko jako ciała zdolne przynosić konkretne korzyści, ale komuś całkiem innemu: urodzić dziecko parze z tak zwanego

lepszego świata lub dostarczyć włosy, które uosabiają dużo więcej niż modę czy obowiązujący wzorzec urody. Włosy wskazują na przynależność do klasy społecznej, ale przede wszystkim są świadectwem długiego trwania rasizmu i kolonializmu: mieć dobre włosy znaczy mieć włosy jak biała kobieta. Przykładem może być fraza „Becky with a good hair” spopularyzowana na całym świecie przez Beyoncé Knowles w utworze

Sorry z płyty *Lemonade* (2016). Przemysł fryzjerski (*Norma* to wcale nie jest powieść środowiskowa o salonach pielęgnacji włosów) czerpie korzyści nie tyle z próżności, co z twardych i tymczasem nieprzekraczalnych podziałów społecznych. Peruki z naturalnych włosów (już nie tylko dla osób chorych czy związanych ze środowiskami artystycznymi) często zdobywanych siłą, kradzionych na ulicach czy ze świątyni, na co szerokiej

Sofi Oksanen jest mistrzynią zapętlenia przeszłości i przenoszenia jej do czasów współczesnych. Wierzy, że nie da się po prostu zamknąć oczu i zapomnieć, pominąć. Każda historia domaga się poznania.

SYLWIA CHUTNIK

SOFI
OKSANEN
NORMA

znak

publiczności zwrócił uwagę Chris Rock w dokumentalnym filmie *Good hair* w reżyserii Jeffa Stilsona (2009), kosztują krocie. Filmowych i fabularnych scen dotyczących prostowania czy ukrywania naturalnych włosów można przywołać mnóstwo: choćby *Malcolm X* (1992), ze słynną sceną, w której odtwarzający tytułowego bohatera Denzel Washington splukuje miksturę wypalającą skórę wodą z ubikacji, bo w budynku odcięto dopływ bieżącej wody, czy serial *How to get away with the murder*, w którym Annalise Keating (w tej roli nagradzana Viola Davis) zdejmuje przed kamerą perukę, przełamując tym samym tabu.

Anita, od której pogrzebu Oksanen zaczyna swoją niesamowitą powieść, jest rebeliantką. Chce nie tylko przejąć interesy, by bogacić się we własnej firmie, ale wykorzystać paradoks przemysłu handlującego marzeniami, czyli rozdzielić siłę i przemoc. Anita planuje zwrócić wolność tym, które dostarczają koniecznych dóbr, czyli surogatom traktowanym jak nie ludzkie maszyny do rodzenia i własnej córce, obdarzonej wyjątkowo czy może raczej przekłętą. Norma ma włosy, które rosną z zawrotną prędkością; są nie tylko gęste i w niezwykłym kolorze, ale mają swoje tajemnicze życie, przekazują informacje, reagują na otoczenie czy ludzi. Matka ukrywa ten dar nadmiaru przed światem, nie ujawnia źródła towaru, który wprowadza w obieg, by chronić dziecko przed piętnem potwora, dziwoląga, na którym można zbić interes. Choć plan nie wypalił, to jej śmierć wcale nie oznacza kresu konspiracji. Rewolucja jest możliwa, bo związki między nienormalnymi (w tym przypadku: obdarzonymi ponad normę) kobietami wychodzą daleko poza granice realizmu, czyli czasu i przestrzeni. Ponadnormatywne dziwolągi (kobiet takich jak Norma było więcej), wiemy i wariatki komunikują się wbrew zasadom, bo niby czemu one, czyli z pewnego punktu widzenia: monstra, miałyby się zasad trzymać. Przekazują sobie wiedzę i wzmacniają siebie nawzajem, przygotowując grunt do możliwej-niemożliwej zmiany. Elementy powieści gotyckiej i niesamowitość są Oksanen właśnie do tego potrzebne, by sięgnąć dalej i przedstawić

swoje bohaterki jako osoby, jako podmioty; powieść klasycznie obyczajowa czy sensacyjna musiałaby skapitulować, ogłosić zwycięstwo reguł zastanych. Ma Oksanen jako autorka *Normy* potężną grupę poprzedniczek, by wymienić choćby Mary Wollstonecraft Shelley i jej *Frankensteina*, Margaret Atwood, Angelę Carter, Carol Joyce Oates, Toni Morrison czy Siri Hustvedt; dokłada przy tym swoje pytania o emancypację i o to, jak ją przeprowadzić. *Norma*, ponieważ nie zatrząskuje się w ramach gatunku, nie przedstawia gotowego przepisu na społeczną rewolucję w trybie umożliwiający obieście rolę oprawcy. Zmiana nie tyle musi nadejść, ile trzeba ją zrobić na innych, potwornych zasadach znanych właśnie dziwolągom.

Sofi Oksanen, *Norma*
 przeł. Katarzyna Aniszewska
 Wydawnictwo Znak
 Kraków 2018

Wracać wciąż do domu

Polskie wydanie najnowszej książki Susan Faludi, autorki *Backlash: The Undeclared War Against American Women* (oryg. 1991, przeł. A. Dzierzowska *Reakcja. Niewypowiedziana wojna przeciw kobietom*, wyd. pol. 2013), cenionej i nagradzanej dziennikarki, jest dostępne od miesięcy. *W ciemni* (*In the Darkroom*, 2016), w przeciwieństwie do *Reakcji* ukazało się u nas szybko, bo ledwo rok po premierze, ale głosy krytycznoliterackie i recenzenckie przychodzą powoli. Może to i lepiej, bo choć *W ciemni* wydaje się materiałem na przebój, to wymaga niespiesznej, uważnej lektury, ani trochę nie nadaje się do wykorzystania w trybie sensacyjnym lub plotkarskim. W pierwszym czytaniu emocjonalne przejęcie ma pierwszeństwo, trudno mu się nie poddać, bo zderzamy się z dramatycznymi dziejami rodziny autorki, związanej z najnowszą historią Europy i świata, a sama pisarka okazuje się córką i wnuczką przeżywców, tych, którzy ocaleli z Zagłady. Impulsem do

powstania *W ciemni* był e-mail wysłany przez ojca Faludi do córki po tym, jak przeszedł operację uzgodnienia płci, a wraz z pracą nad książką i wyjazdem na Węgry (ojciec Faludi, urodzonej w Queens w Nowym Jorku, po latach pracy i życia w Stanach Zjednoczonych wrócił do rodzinnego kraju i miasta), zaczęli budować nową więź. Faludi konfrontuje (nas, się) z pragnieniem miłości, akceptacji i szacunku, pytaniami o tożsamość zarówno w wymiarze osobistym, jak i publicznym (autorka jak nikt inny potrafi pokazać zależność między tymi sferami: prywatne jest polityczne; tożsamość jest raczej procesem niż trybem dokonany). Pyta o możliwość przepracowania żałoby i wypowiedzenie traum, na które, wydawało się, nie ma języka. Susan Faludi, przenikliwa i zaangażowana dziennikarka, nie szantażuje czytelników i czytelniczek emocjami, nie zamyka w pułapce intymnego wzruszenia, ale używa go, by w kontekście historycznym zaprezentować analizę mechanizmów i zjawisk wykraczających poza doświadczenie, a przyswojenie takiego materiału wymaga czasu. Współczesny obieg literacki, a raczej należałoby powiedzieć: rynek książki, chce wymuszać na czytelnikach i czytelniczkach wirowanie w zawrotnym tempie nowości, które mają spadać z półek (a co za tym idzie: tracić zasięg) ledwo po kilku tygodniach od chwili od premiery. Nie tylko z przekory wobec tego systemu należy sięgnąć po tę książkę (choć przekora to taki sam, a może jeszcze lepszy powód niż inne); przeoczenie jej byłoby poważnym niedopatrzeniem czy nawet błędem. *W ciemni* dociera najlepiej czytane powoli, w kawałkach i po wielokroć, jeśli to tylko możliwe, rozwija się z kolejnym powrotem jeszcze poważniej.

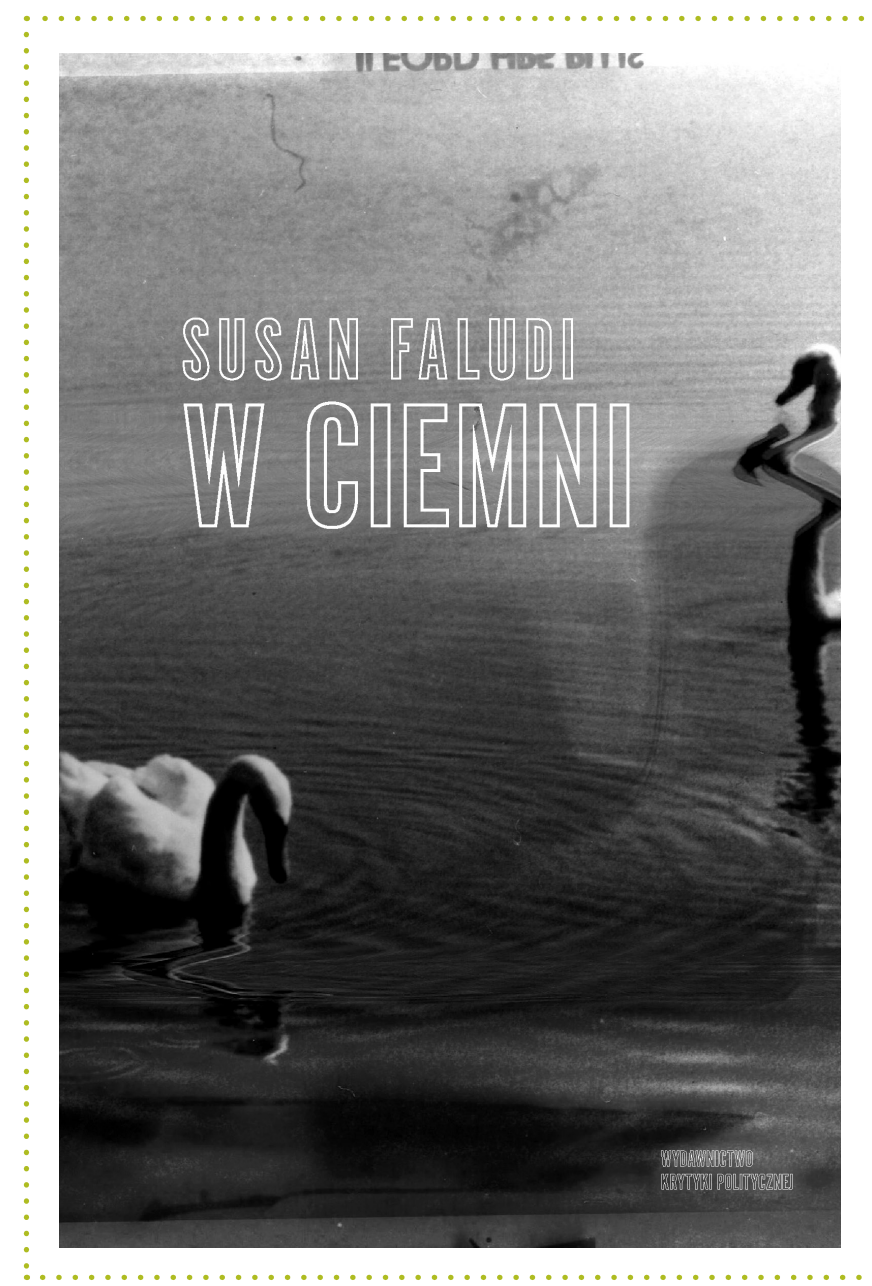
Poważniej, czyli jak? Główne pytanie *W ciemni*, pytanie o tożsamość, dotyczy nie tylko operacji dostosowania płci, którą przeszedł ojciec Faludi i od której cała książka się zaczyna. Faludi zerwała z nim kontakty po dramatycznym rozwodzie rodziców, w czasie którego to Steven Faludi został uznany za ofiarę zdrady żony (ta nie otrzymała alimentów). Sąd orzekł też, że miał prawo bronić się przed obcym, choć sam brutalnie zaatakował i pobił jej nowego partnera, do rozstania

doszło z powodu trwającego latami tyranizowania rodziny. Faludi dokonał napaści, włamując się nocą do domu, z którego został wygnany – po latach widać, jak sytuacja okolorozwodowa przegłębia się w wojennej i powojennej historii ojczyzny, lecz także w późniejszym powrocie Stevena na Węgry wbrew wszystkiemu, który jako jedyny z ocalałych kolegów klasowych podjął taką decyzję; czyli wbrew nacjonalistycznemu i antysemitowskiemu zwrotowi przypieczętowanemu wynikami wyborów. Stefie przyjeżdża do Budapesztu i mówi: jestem stuprocentową Węgierką (cokolwiek tożsamość narodowa znaczy i cokolwiek znaczy być Węgrem lub Węgierką) i nikt nie może odebrać mi prawa, by tutaj być. W przedmowie do *W ciemni* Faludi pisze, że w 2004 r. rozpoczęła „śledztwo, którego przedmiotem był ktoś, kogo ledwie znałam – mój ojciec”.

Jej ojciec, czyli kto? Pytanie „kim jestem?” napędza tę książkę i niekoniecznie wiąże się tylko z główną postacią, od której wszystko się zaczęło, czyli Istvánem Friedmanem/ Stevenem Faludi/ Stefánie Faludi, również dotyczy samej autorki. Susan Faludi mówi na początku, że nie ma wątpliwości: jest kobietą i jest Żydówką. Ale kim jest/ staje się/ była jako córka tych wszystkich ludzi lub jednego człowieka? Czy kolejne etapy życia i wcielenia jej ojca należy traktować jak etapy życia różnych ludzi, czy tej samej osoby? Stefanie mówi do córki domagającej się odwiedzin liceum, w którym uczył się István: „Mówiłam ci, to już nie jest moje życie. To stare dzieje”, po czym dodaje: „Nie rozumiesz”. Rzeczywiście, Susan Faludi nie tylko nie wie (wiele razy wraca wyrzut Stefie: „Opowiadałam ci o tym. W ogóle cię to nie interesowało”), ale i nie rozumie, gdy powoli zaczyna gromadzić wiedzę nie tylko o przeszłości rodziny ojca i jego samego, ale i dotyczącą podstawowej sprawy: jak to możliwe, że nie dostrzegła w Stevenie, agresywnym turbo-macho, Stefie? Czytając *W ciemni*, nie sposób nie myśleć o tym, jaki wpływ miały na samą Faludi, przez wiele lat odcinającą się od najdrobniejszych nawet kontaktów z ojcem, owe „stare dzieje”. Gdy opowieść o losach Istvána Friedmana/ Stevena Faludi/

Stefanie Faludi (przypomina on innego słynnego Węgra, czyli mistrza iluzji i metamorfozy, Houdiniego) rozwija się i dopełnia, nie tylko w fizycznym końcu, ale w dokładnie przeprowadzonym dziennikarskim dochodzeniu, widać, jak wiele wyborów walczącej o wolność i niezależność Susan Faludi determinowanych było przez to, o czym nie miała pojęcia. Czy zerwanie z przemocowym ojcem (czy raczej: osobą w przemocowej roli) było jej samodzielną decyzją, czy też powtórzeniem relacji w poprzednim pokoleniu? Między ojcem Faludi a jego rodzicami relacje były trudne lub nie było ich wcale: wychowywał się w zamożnym,

ale zimnym domu; w czasie wojny István bohatersko i z niewyobrażalnym rozmachem ratuje im życie, wciela się w strzałokrzyżowca z taką brawurą, że nikomu nie przychodzi do głowy kwestionowanie jego tożsamości (po latach Melanie, prowadząca ośrodek dla osób po operacji uzgodnienia płci, skwituje to żartem, że Stefie była transnazistką). Jednak po wojnie właściwie zrywa z rodzicami kontakt, jakby tamtym heroicznym aktem spłacił wszystkie długi. Trzeba tutaj od razu zaznaczyć, że nie jest tak, jak przez chwilę podejrzewa Otto Szekely, szkolny kolega Istvána, że Susan Faludi szuka wyjaśnienia podejmowanych przez ojca w Holokaucie



decyzji. Pragnienie uzyskania jednoznacznej odpowiedzi na pytania „kim jestem? Kim jesteś?” oraz „co naprawdę się wydarzyło” jest całkiem zrozumiałe, tak jak pragnienie usensownienia wszystkiego, co się przydarzyło, ale Faludi nie ulega tej pokusie. Stawia nas przed udokumentowaną, miazdzącą, nieznosną serią wypieranych powtórzeń, kolejnych fal przemocy wobec uznanych za innych czy inne. Język przeciw milczeniu wydaje się szansą na przerwanie tego przymusu.

Polskie tłumaczenie tytułu ustawia lekturę, przekierowuje ją w stronę zawodu wykonywanego przez ojca Faludi (w oryginale znaczy podwójnie, odnosi się również do zaciemnionego pomieszczenia wydzielonego w klubach erotycznych, przeznaczonych do uprawiania seksu z nieznanymi). Był doskonałym retuszerem, cenionym przez magazyny mody i wszystkich, którym potrzebna była zmiana obrazu świata. Kunszt ojca Faludi miał znacznie

głębsze znaczenie, nie tylko pomagał tuszować niedoskonałości urody modelek i modeli, ale znacząco ingerować w uchwycone na fotografii zdarzenie. „Przez cały czas, gdy się do siebie nie odzywaliśmy, i tym bardziej czas, gdy znów zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, w samym sercu łączących nas relacji tkwił konflikt między wymazywaniem i ujawnianiem, między pędzelkiem retuszerem i notesem reporterki, między mistrzem maskowania i uczennicą, która chciała go zdemaskować”, pisze Faludi w trzecim rozdziale książki. „To było niesamowite. Nigdy nie dało się odkryć, co zostało zmienione. Nie dało się odróżnić oryginału od kopii”, mówi dyrektor działu produkcji artystycznej Condé Nast, Dick Cole, przeglądając prace Stevena Faludiego. Córka za życiowe zadanie już w szkole podstawowej ustaliła sobie „wydobywanie skaz i błędów na powierzchnię, a nie ich ukrywanie”. Susan Faludi tak zadedykowała *W ciemni*: „dla Grünbergów ze Spišské Podhradie

i Friedmanów z Koszyc, dla ich dzieci i dzieci ich dzieci – rodziny, którą odnalazłam i która odnalazła mnie”, czyli krewnym rodziców Istvána, Jenő i Rozálii z domu Grünberg. Pragnienie Stefie/ Stevena/ Istvána przynależenia do rodziny spełniło się w nieoczekiwany sposób: Faludi, trochę w imieniu ojca, ale również i własnym, wróciła do domu, o którym nigdy wcześniej nawet nie wiedziała. Wykonała pracę niewykonalną we wcześniejszym pokoleniu, co możliwe było dzięki odziedziczonemu uporowi i sprytowi połączonym z już jej własną potrzebą ujawniania i nazywania.

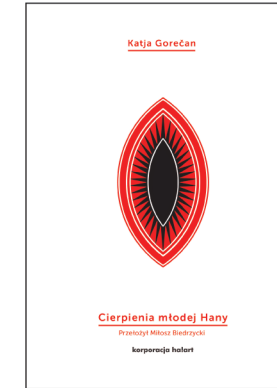
Susan Faludi, *W ciemni*
przeł. Joanna Bednarek
Wydawnictwo Krytyki Politycznej
Warszawa 2017

Anna Marchewka | Krytyczka literacka,
doktor nauk humanistycznych, związana
z Uniwersytetem Jagiellońskim.
Wydała *Ślady nieobecności*.
Poszukiwanie Ireny Szelburg (2014).

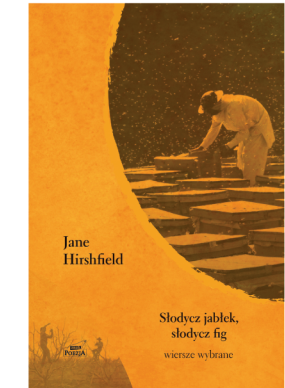
Zaczytani w poezji



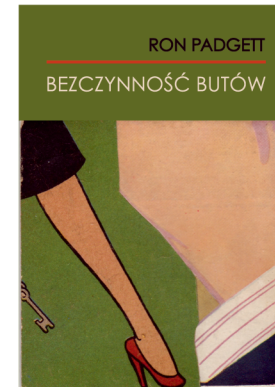
Eugenijus Ališanka
Zastrzegam sobie prawo do milczenia
Wydawnictwo: WBPIČAK
Tłumaczenie: Paulina Ciucka



Katja Gorečan
Cierpienia młodej Hany
Wydawnictwo: Korporacja Ha!art
Tłumaczenie: Miłosz Biedrzycki



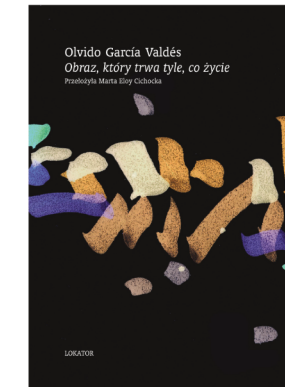
Jane Hirshfield
Słodycz jabłek, słodycz fig
Wydawnictwo: ZNAK
Mieczysław Godyń, Magda Heydel,
Agata Hołobut, Czesław Miłosz,
Adam Szostkiewicz



Ron Padgett
Bezczynność butów
Wydawnictwo: Instytut Mikołowski
Tłumaczenie: Andrzej Szuba



Maria Stiepanowa
Wojna bestii i zwierząt
Wydawnictwo: Wolno
Tłumaczenie: Zbigniew Dmitroca



Olvido García Valdés
Obraz, który trwa tyle, co życie
Wydawnictwo: LOKATOR
Tłumaczenie: Marta Eloy Cichocka

Tomy wydane specjalnie na tegoroczny Festiwal Miłosza (7-10 czerwca)

Miłosz 365
miloszfestival.pl

Organizatorzy:

kbf★

FUNDACJA
MIASTO
LITERATURY

KRAKÓW
UNESCO CITY
OF LITERATURE

Dofinansowanie:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowana
ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

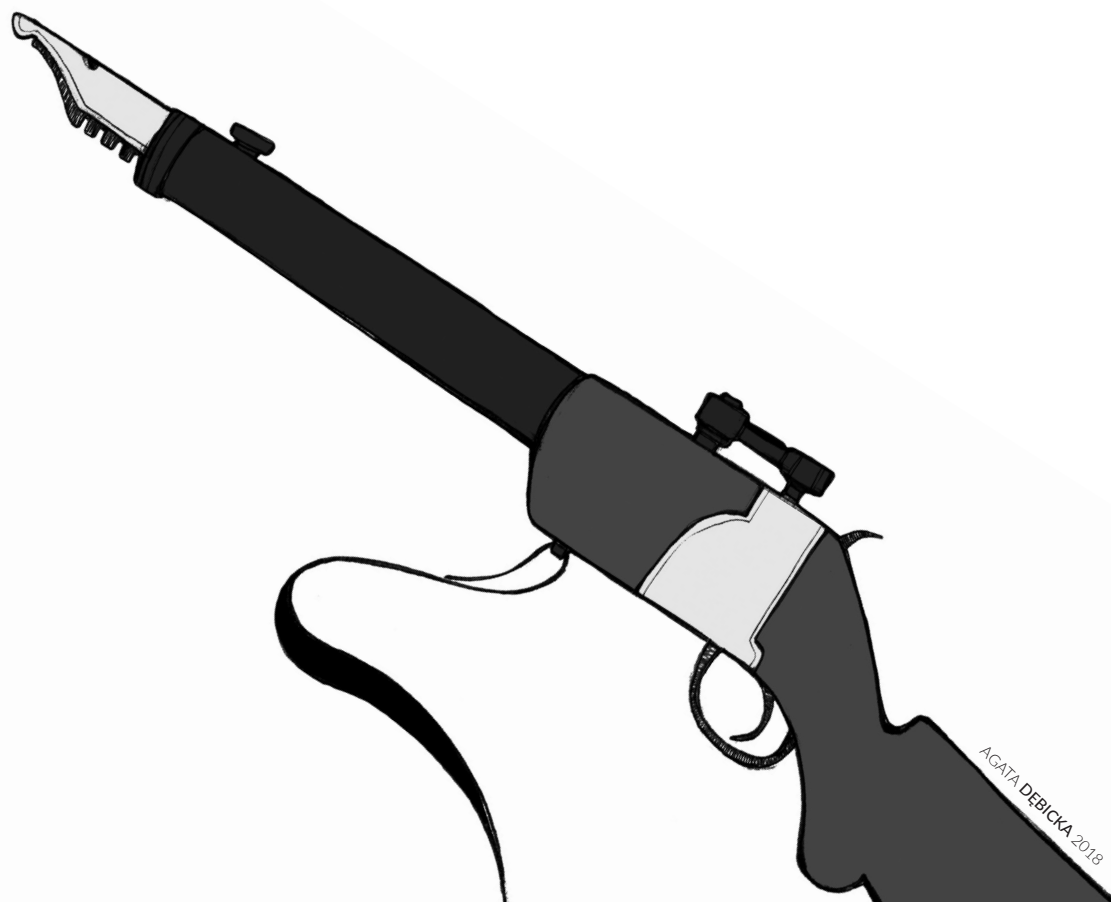
Partner
strategiczny:

MNŁ
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

Partner
dla Krakowa:

BUKOVINA
RESORT

GRUPA
autoremo





Kraków



JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

Miłosz Festival Kraków 7-10.06. 2018

Rok myśliwego



365

miloszfestival.pl

Organizatorzy:



Dofinansowanie:



Dofinansowano
ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Partner
strategiczny:



Partner
dla Krakowa:

